

P. 5786 dnt. 10/11

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/63

1953



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

Czesław MIŁOSZ : **DWA PROCESY**

Bertram D. WOLFE :

AGONIA SOWIECKIEJ HISTORIOGRAFII

ROZMOWA Z VIRGIL GHEORGHIU

SPIS RZECZY :

—	<i>Zeszyty Krajowe „Kultury”</i> ..	3
Czesław Miłosz:	<i>Dwa procesy</i>	5
Stanisław Vincenz :	<i>Dramat polsko - żydowski</i>	14
Jan Ulatowski :	<i>A co z duszą?</i>	23
K. A. Jeleński :	<i>Abstrakcja i nieprzedmiotowość</i> ..	38
Bertram D. Wolfe :	<i>Agonia sowieckiej historiografii</i> ..	43
◆		
Marian Pankowski :	<i>Patrząc na chmury</i>	60
„ „	<i>Biały piach</i>	61
„ „	<i>Wciąż młoda śniadość mowy</i> ..	61
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski :	<i>„Deadlock”</i>	63
Jerzy Prądzyński :	<i>Między Francją i Polską</i>	70
Berlińczyk :	<i>Kronika niemiecka</i>	74
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	77
KRONIKA UKRAIŃSKA		
—	<i>Nieporozumienie czy tani patriotyzm?</i>	82
J. Relidziński, M. Nowara, Zw. Ziemi Północno-Wschodnich, Skarbek-Michałowski, T. Rosol :	<i>Listy</i>	83
SPRAWY I TROSKI		
S. Strzetelski-J. Nowak, K. Hrabek, B.S. Wojtun :	<i>Jeszcze o Free Europe</i>	88
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
J. Marlewski :	<i>Gdańsk w stosunkach polsko-niemieckich</i>	95
KRONIKA KULTURALNA		
M. K. :	<i>Sartre-Camus</i>	115
Jan Ulatowski :	<i>Fr. Mauriac — laureat Nobla</i> ..	117
Wit Tarnawski :	<i>Zarzewiały repertuar</i>	120
—	<i>Konkurs literacki Free Europe</i> ..	122
Krytyk :	<i>Od nadrealizmu do konwencji</i> ..	123
KSIAŻKI		
(j) :	<i>Rozmowa z Gheorghiu</i>	127
(j) :	<i>Od apokalipsy do karykatury</i> ..	130
Jul. Mier. :	<i>Dramat nawrócenia</i>	131
Zygmunt Nagórski, sr. :	<i>Problemy międzynarodowe w literaturze U.S.A.</i>	135
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	138
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	144
◆		
A. Janta i F. Ostrowski :	<i>Listy do Redakcji</i>	145
—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za r. 1952</i> ..	149
—	<i>Résumé en langue française</i> ..	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Styczeń - Janvier

1953

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Bertram D. WOLFE, wybitny historyk i znawca Rosji oraz Sowietów. W swojej działalności historycznej interesuje się również zagadnieniami polskimi (np. odezwa wydana w r. 1945 pt.: „Poland: test of the peace”, oraz w tymże roku artykuł stwierdzający, że Stalin jest odpowiedzialny za zbrodnię katyńską). Ostatnia jego trzynomowa praca pt. „Three who made a revolution” jest biograficzną historią rosyjskiej rewolucji (praca ta była omówiona w nr 5/55 „Kultury”).

Zygmunt NAGÓRSKI, Jr., urodzony 27 września 1912. Dyplom magistra praw otrzymany na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1935.

Zmobilizowany w roku 1939-tym, bierze udział w obronie twierdzy Brześć nad Bugiem. Ucieka z Polski pod koniec 1939 roku. Służba wojskowa we Francji i w Szkocji (Brygada Spadochronowa).

1943-44 jest szefem sekcji odczytowej polskiego Min. Inf. w Londynie. Potem przechodzi do biura prasowego. W r. 1945 wyjeżdża na kontynent jako korespondent wojenny. Po powrocie obejmuje szkodką placówkę Min. Inf. w Edynburgu, która potem przekształca się na Polską Agencję Prasową.

W r. 1948 emigruje do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracuje jako reporter w piśmie „Chattanooga Times” (w stanie Tennessee). Potem objeżdża Stany Zjednoczone jako wykładowca na tematy sowieckie. Mówi głównie o sprawach młodzieżowych. Od r. 1950 pełni funkcję redaktora naczelnego agencji prasowej zwanej Free European Press Service.

W latach wojennych i powojennych pisuje stale do prasy brytyjskiej, amerykańskiej i polskiej. W r. 1945 wydał książkę pt. „Zbrojne Bezrobocie”.

Marek Henryk GORDON, urodził się 25 kwietnia 1918, w Warszawie. Tam też ukończył gimnazjum, a później Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej (PIST), Wydział Reżyserii. Studiował również psychologię na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1938 — 1939 pracuje w zespole Reduta, prowadzonej przez Juliusza Osterwę.

W czasie okupacji niemieckiej przebywa w Warszawie; wstępuje do Armii Krajowej i pracuje w Prasie Podziemnej, po ukończeniu konspiracyjnej Szkoły Dziennikarskiej. Aresztowany i uwięziony przez Niemców w r. 1942 przebywa przez pewien czas w więzieniach warszawskich. W czasie powstania Warszawskiego był polskim sprawozdawcą wojennym (BIP) przy VI Oddziale Sztabu Głównego. Po kapitulacji Warszawy dostaje się do niewoli. W 1945 r. wydaje na emigracji zbiorek poezji powstałych w niewoli pt. „Cudzy chleb”. W r. 1946 wstępuje do Oddziałów Wartowniczych w amerykańskiej strefie Niemiec i jest współredaktorem pisma „Ostatnie Wiadomości”. Jest współzałożycielem i organizatorem Polskiego Klubu Literackiego (PKL). W r. 1948 wydaje napisaną wraz z żoną Wandą komedię w 3 aktach pt. „Wielka Gra” oraz wystawia trzy sztuki własne, na scenach polskich w Niemczech. W r. 1950 opuszcza Niemcy, udając się na emigrację do Stanów Zjednoczonych A.P. W r. 1951 wydaje tomik poezji „Zabawki z majoliki” nakładem Polskiego Klubu Literackiego w Chicago. W tymże roku młodzieżowy zespół w Toronto (Kanada) wystawia jego sztukę pt. „Wyspa Zielonego Diabła”. Obecnie przebywa w Chicago, Ill. i jest pracownikiem Polonijnego pisma „Dziennik Związkowy”.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stéphenson, Paris (18°)

Krajowe Zeszyty «Kultury»

W tych dniach oddaliśmy do sprzedaży III Zeszyt Krajowy „Kultury” pt.: „SOWIETYZACJA KULTURY W POLSCE”. Jest już przygotowany Zeszyt IV „STRUKTURA GOSPODARSTWA POLSKIEGO”, który będzie zawierał następujące opracowania:

Stanisław Gryziewicz :

Struktura gospodarstwa polskiego

Jerzy Zubrzycki :

Zdrowotność i dynamika populacyjna

Władysław Kowalczyk :

Kadry pracowników

Wojciech Zaleski :

Surowce i energetyka

Józef Poniatowski :

Rolnictwo

Stanisław Pawłowicz :

Hutnictwo i przemysł metalowo-przetwórczy

Jan Witczak :

Przemysł chemiczny

Jan Witczak :

Przemysł elektrotechniczny

Stanisław Pawłowicz :

Przemysł włókienniczy

Stanisław Kaźmierczak :

Przemysł rolniczo-przetwórczy

Władysław Kowalczyk :

Transport

Tadeusz Matuszewski :

Handel zagraniczny

P. 9486 Chy

Przewidujemy ponadto specjalny Zeszyt, poświęcony sytuacji Kościoła w Polsce.



Ukazanie się tych publikacji zależy obecnie jedynie od czytelników. Pragniemy to wyjaśnić: wydanie Zeszytów Krajowych było dla nas ogromnym wysiłkiem finansowym, tym większym, że zdecydowaliśmy się pierwszy Zeszyt ofiarować prenumeratom „Kultury” bezpłatnie. Nie chcieliśmy ogłaszać subskrypcji na pierwszą tego rodzaju pracę na emigracji — liczyliśmy na to, że czytelnicy oceniwszy jej znaczenie i wartość, przyjdą nam z pomocą. I nie zawiedliśmy się. Ogłoszona subskrypcja na Zeszyt II-gi nie tylko pokryła jego koszty, ale pozwoliła nam na przystąpienie do druku III-go Zeszytu. Dalsza praca jest uzależniona od rozsprzedaży.



Ponieważ całość wydawnictwa będzie stanowić swego rodzaju encyklopedię wiedzy o Polsce współczesnej — nie wątpimy, że czytelnicy nie tylko nabędą „Sowietyzację Kultury w Polsce”, ale również skompletują poprzednie Zeszyty, jeśli tego dotychczas nie zrobili.



Przypominamy, że ceny poszczególnych Zeszytów są następujące:

RAMY ŻYCIA W POLSCE, T. I-szy	750 fr.
RAMY ŻYCIA W POLSCE, T. II-gi	500 »
SOWIETYZACJA KULTURY W POLSCE	800 »

Dwa procesy

Kiedy Slanski, Clementis i ich towarzysze zawiśli na szubienicy, odraza do tego zdumiewającego zjawiska jakim był przebieg ich procesu skłoniła wielu ludzi na Zachodzie do szukania racjonalnych tłumaczeń; pewne fakty, godzące w nasze wyobrażenia o naturze ludzkiej, przedstawiają się mniej groźnie jeżeli przynajmniej są zrozumiałe.

Czy jakkolwiek analiza polityczna może pomóc w wyjaśnieniu treści oskarżeń i słów oskarżonych? Chyba tylko częściowo. Rzecz wykracza znacznie poza politykę; należy raczej do sfery antropologii. Dlatego pożyteczne jest, być może, przypomnieć o innym procesie, równie zastanawiającym. Proces ten odbył się w r. 1929 we Francuskiej Afryce Zachodniej. Zainteresował on znanego badacza społeczeństw pierwotnych, Lévy-Bruhla. Po jego śmierci „La Nouvelle Revue Française” ogłosiła ten materiał znaleziony w jego papierach (numer z czerwca 1939 r.). Oto historia oparta na aktach sądowych.

Mieszkaniec wioski G., imieniem Maliki C. doniósł władzom o zaginięciu jego trzyletniej córki, Aminaty. Oskarżał o kradzież i zabicie dziecka swoją siostrę Sokonę i sąsiadkę Futumatę. Kobiety przyznały mu się, że zabiły dziecko, żeby je zjeść.

Rozpoczęto śledztwo. Podejrzane nie próbowały ukrywać, że są sprawczyniami zbrodni. Opisały też przed sądem szczegółowo okoliczności w jakich wszystko się odbyło. Sokona utrzymywała, że do tego czynu namówiła ją Futumata, czemu ta nie przeczyła.

Futumata opowiadała:

„W grudniu 1928 roku, nie umiem podać daty, Sokona, moja współniczka, zakradła się do chaty, gdzie mieszkały dzieci Maliki C. i zabrała małą Aminatę. Spotkała się ze mną na brzegu rozlewiska, tam gdzie mieszkańcy wioski czerpią wodę. Dała mi dziecko, które od niej wzięłam i zabiłam bijąc je kijem po głowie. Kiedy mała Aminata była martwa, rozpaliliśmy ogień i umieściliśmy trupa w kotle z wodą do której wsypaliśmy

soli. Skoro potrawa ugotowała się, nałożyliśmy sobie pełną misę i jadliśmy. Ponieważ było tego za dużo na jeden positek, odłożyliśmy resztę na bok, żeby zjeść nazajutrz. Rosół wypiliśmy”.

„ — Jaki motyw skłonił was do popełnienia tej zbrodni?

— Bóg mnie skłonił.

— Kto wpadł na pomysł tej zbrodni?

— To ja zmusiłam Sokonę do ukradzenia małej Aminaty.

— Czy to pierwszy raz jecie ludzkie mięso?

— Tak.

— Proszę podać rzeczywisty motyw waszego czynu — zażądał sędzia. — Czy zabiłyście małą Aminatę, żeby złożyć ofiarę, czy żeby jeść ludzkie mięso?

— Żeby jeść ludzkie mięso, bo to jest dobre.

Dwa razy Sokona oparła się naleganiom swojej przyjaciółki, żeby ukraść dziecko. Dlaczego zgodziła się za trzecim razem? — zapytał sędzia.

— Odmówiłam dwa razy, bo nie chciałam, żeby zostało ukradzione dziecko mego brata. Za trzecim razem Futumata mnie zmusiła, grożąc, że mnie zbije jeżeli się nie zgodzę”.

Trybunał, złożony z administratora francuskiego i dwóch tubylczych asesorów, wydał wyrok. Obie kobiety zostały skazane na karę śmierci. Nie tutaj jednak kończy się ta historia. Wyrok musiał być zatwierdzony przez sąd apelacyjny w Dakarze. Sąd ten, mając spore doświadczenie w podobnych sprawach, uznał, że brak jest w aktach odpowiedzi na niektóre punkty i zażądał przedstawienia dowodów rzeczowych. Nowe śledztwo trwało rok. W międzyczasie jedna z oskarżonych, Futumata, umarła. Sokona, od której domagano się, aby wskazała przedmioty, które służyły do popełnienia przestępstwa, po długim wykręcaniu się, zeznała :

„ — Nie mogę powiedzieć gdzie jest kij, którym Futumata zabiła dziecko, ani kocioł, w którym dziecko zostało ugotowane, bo naprawdę nie używałyśmy ani kija ani kotła”.

Niespodzianka. Powoli zdołano wydostać z kobiety nowy obraz wydarzeń. Nie, nie ukradły i nie ugotowały Aminaty. Wszystko co zeznały poprzednio, zeznały ze strachu. Ze strachu przed kim? Przed wioską G. „Zabiliby nas, gdybyśmy się nie przyznały”. Kto wytworzył w wiosce przekonanie, że to one były winne? Czarownik (z języków europejskich, angielski określa tę funkcję społeczną najdokładniej: witch-doctor) z sąsiedniej wioski O., imieniem Kobaté.

Wzięto na spytki Maliki C. Kto mu wskazał te kobiety jako morderczynie jego dziecka? Witch-doctor z wioski G., imieniem Silip.

„Poszedłem do niego do O. i powiedziałem mu, że ponieważ moja córka zniknęła, chcę wiedzieć jak to się stało. Silip mi powiedział, że dziecko zostało na pewno porwane przez czarownicę i że zgadza się te czarownice odkryć. Nie wskazał ich

wtedy, ale kilka godzin później. Powiedział mi, że Aminata została porwana przez moją siostrę Sokonę. Poszliśmy z nim razem do G. Tam cała ludność została zwołana na plac wioski. Silip pokazał na Sokonę i powiedział jej, że ona porwała dziecko. Sokona przyznała się natychmiast i dodała, że nie była sama, że Futumata pomagała jej zabić i zjeść dziecko”.

Wezwwano Silipa. Zapytano dlaczego oświadczył ojcu dziecka, że zniknięcie Aminaty było dziełem czarownicy.

„ — Powiedziałem mu to, bo zniknięcie tego rodzaju może być tylko dziełem czarownicy”.

Skąd to wiedział?

„ — Przez zabiegi sekretne, które zrobiłem i których nie mogę wyjawić. Gdybym wyjawiał, to bym umarł”.

Czarownika Kobaté nie odnaleziono. Silip zeznał, że Kobaté również uczestniczył w zebraniu na placu wioski G.

Sokona, zapytana jak się zachowała, kiedy wskazał ją witch-doctor, odpowiedziała :

„ — Nie próbowałam protestować, bo to by nie zdało się na nic. Kiedy czarownik mówi, wszyscy mu wierzą, a ponieważ powiedział, że ja jestem winna, powinnam była uważać, że jestem winna”.

„ — A jednak, Sokono, wiecie, że Aminata nie została zabita przez Futumatę ani zjedzona?

— Tak jest, nie została zabita ani zjedzona i Maliki to dobrze wie.

— Jakto wie?

— Bo wie w jaki sposób jego córka umarła.

— W jaki sposób umarła?

— Była chora. Umarła i nie była ani zabita, ani zjedzona. To sam Maliki złożył ją w ziemi”.

Urzędnik prowadzący śledztwo zwraca się do Maliki.

„ — Sokona powiada, że nie tylko wasza córka nie znikła, ale po jej śmierci samiście ją pogrzebali. Czy to prawda?

— Tak, umarła, ale dlatego, że Sokona i Futumata ją zabiły i zjadły.

— Czy byliście przy jej śmierci?

— Tak.

— Nie została więc zabita?

— Została zabita.

— I nie została zjedzona?

— Została zjedzona.

— Czy samiście ją pogrzebali?

— Tak.

— Prowadźcie nas na miejsce, gdzie pogrzebaliście Aminatę”.

Urzędnik, tłumacz, strażnicy i tłum mieszkańców wioski ruszyli, prowadzeni przez Maliki. Zaczęto kopać i znaleziono niezniszczony szkielet dziecka. Czy Maliki rozpoznaje ten szkielet jako szkielet jego córki?

„ — Tak, rozpoznaję. Ta ja sam pogrzebałem tutaj moją córkę”.

Na pytanie dlaczego zadenuncjował swoją siostrę, Maliki odpowiedział, że dwie kobiety zabiły i zjadły Aminatę, ale na sposób czarownic, w rzeczywistości, zewnętrznie, ani zabijając ani jedząc.

Odnieśmy się z powagą do tej szczególnej logiki, według której dziecko zostało i zabite i umarło naturalną śmiercią, zostało i zwyczajnie pogrzebane i zjedzone. Jest to logika, w której zasada sprzeczności ma całkiem inną funkcję niż w cywilizacjach bardziej zaawansowanych. Powaga z naszej strony będzie usprawiedliwiona: tak zwane społeczeństwo prymitywne istniało przez dziesiątki jeżeli nie setki tysięcy lat i w porównaniu z tym nasz czas, utrwalony w kronikach historycznych, jest kroplą w morzu.

„Mentalność prymitywna” szuka wytłumaczenia zjawisk. Jej wysiłek jest ten sam w gatunku co wysiłek Pasteura odkrywającego w bakteriach przyczynę chorób, czy Bohra zgłębiającego budowę atomu. Ten sam jest cel: poznanie świata. Nie rozporządzając nauką i techniką, człowiek pierwotny ucieka się do pomocy magii. Śmierć np. jest dla niego niezrozumiała — chyba że jest ona skutkiem starości albo zadana została przez innego człowieka czy przez dzikie zwierzęta. Każda śmierć musi mieć przyczynę: my również nie ograniczamy się do stwierdzenia, że ktoś zachorował i umarł śmiercią „naturalną”; szukamy powodów w bakteriach, wirusach czy wadliwym funkcjonowaniu mięśnia sercowego. Dla „mentalności prymitywnej” śmierć, im mniej spodziewana, tym bardziej musi być wynikiem działania innych ludzi, tj. czarów. W ten sposób powstaje podwójna rzeczywistość. W jednej rzeczywistości mała Aminata choruje, umiera i ojciec ją grzebie. Ale te dotykane fakty są zaledwie złudną powierzchnią. Istnieje inna rzeczywistość, *s k o n s t r u o w a n a*, i ona to zawiera klucz do „zniknięcia” dziecka: dwie kobiety ukradły, zabiły i zjadły Aminatę, posługując się *n i e t a k i m* kijem i kotłem, które można pokazać.

Wspólnota ściga przestępczynię. Element winy subiektywnej tj. świadomego zamiaru z ich strony nie ma dla wioski większego znaczenia. Nic dziwnego: „subiektywizacja” winy w prawie karnym jest względnie świeżym nabytkiem, którego losy są nadal niepewne. Przez wieki kary były wymierzane na zasadzie odwetu — i jeżeli wytaczano procesy również zwierzętom, to, pomijając sporą dozę antropomorfizacji, głównie dlatego, że np. byk, który zabił kogoś na pastwisku, był winien mocą samego czynu; przelana krew domagała się zapłaty. Lévy-Bruhl, komentując zachowanie się Sokony w czasie procesu, przypuszcza, że, zeznając, właściwie wierzyła w swoją zbrodnię. „To, że nie miała poprzednio świadomości, iż jest czarownicą, nie dowodzi niczego. Załączek zła, który stanowi istotę czarownictwa, przebywa często w kimś bez jego wiedzy. Ob-

jawia swoje istnienie tylko przez szkodliwe postępkę, których jest sprawcą”.

Jednostka w cywilizacji, której przykładem jest wioska G., należy całkowicie do wspólnoty, roztopia się w niej i podporządkowuje się jej bez zastrzeżeń. Czarownicy Silip i Kobaté odślonili mieszkańcom wioski prawdę. Nikt nie mógłby poddać tej prawdy w wątpliwość, bo objawiły ją sekretne zaklęcia zrobione przez ludzi, których rzeczą jest *w i e d z i e ć*. Nie podawała jej w wątpliwość Sokona: „ponieważ powiedział, że ja jestem winna, powinnam była uważać, że jestem winna”. Można się oczywiście zastanawiać w jakim stopniu ten dostęp do ukrytej prawdy jest dla czarowników środkiem kontroli. Spostrzegając np., że jakiś mężczyzna czy jakaś kobieta wyłamują się spod obyczajów obowiązujących każdego członka wspólnoty, mogą łatwo krnąbrnych oskarżyć o czary. Nie będą w tym całkowicie niekonsekwentni. Wyróżnianie się od gromady, inność, mogą być tylko zewnętrznymi oznakami przy pomocy których daje znać o sobie ów załączek zła, ten co na pewno prowadzi do morderstw — popełnianych w swoisty sposób, bez widzialnych narzędzi.

Opowiedziałem o procesie z 1929 r., w pełni świadomy, że analogie poprowadzone zbyt daleko są najpospolitszym źródłem błędów. Niektóre jednak cechy „mentalności prymitywnej” przejawiają się z wielką siłą u ludzi „cywilizowanych” dwudziestego wieku. Nie w nauce i technice. Wiadomo jest, że świat wymyka się naszemu ujęciu i że chcąc poznać rzeczywistość, *k o n s t r u o w e m y j ą*, podstawiając tę zracjonalizowaną (czy matematyczną) wersję na miejsce rzeczywistości nagiej i bezkształtnej. Ponieważ to stwierdza, nauka nie usposabia do pochopnych sądów. Ale co innego dzieje się w sferze, w której każdy jest dzisiaj zanurzony — w sferze zjawisk społecznych i politycznych. Tutaj nie tylko, że są dwie rzeczywistości, ale często nie wolno nawet powiedzieć głośno, że jedna z nich jest tylko próbą interpretacji (zupełnie jak w wiosce G.).

Niejedyn czytelnik gazet, śledząc proces w Pradze (zauważamy, że wiadomości pochodziły wyłącznie z oficjalnych źródeł czeskich) zapytywał siebie jak odnoszą się do tej sprawy ci, których obowiązkiem jest wierzyć, tj. członkowie partii komunistycznych różnych krajów. Jeżeli uważają akt oskarżenia za zbiór fantastycznych bredni, muszą uznać, że walka o władzę prowadząca do użycia podobnych środków wykracza dżikością poza jakiegokolwiek walki o podłożu ekonomicznym znane w historii. Co podważa doktrynę. Jeżeli, przeciwnie, wierzą, że prokurator mówił prawdę, wydać im się musi potwornym fakt, że starzy komuniści sprawujący rządy, mający możliwość realizowania marzeń swego życia, od lat byli zdrajcami i obcymi agentami. Co prowadzi do wniosku, że im ktoś jest wyżej w hierarchii i im

lepszy ma dostęp do informacji, tym gwałtowniej jest anty-stalinowski.

Czy jednak rozwiązanie nie leży gdzie indziej? Może Słanski i towarzysze byli winni, ale winni na innym planie? Maliki wierzył czarownikowi, mimo że sam swoją córkę pogrzał. Tak samo może powinien ufać prokuratorowi posłuszny członek partii, nie przestając ani na chwilę wiedzieć, że nie ma i nie może być rzeczywistego kija ani kotła?

Te okólne drogi myślenia wydadzą się mniej dziwne, jeżeli się uświadomi jak wielka jest presja tego co nazywa się propagandą — a co właściwie już propagandą nie jest, bo z chwilą kiedy wszelkie słowo drukowane i mówione, widowiska, malarstwo etc. służą jednemu celowi, zanika podział na „prawdę” i „propagandę”. Sięgając głębiej, łatwo daje się odkryć solidną podstawę na której wspiera się ta klinika pomysłowych zabiegów. Wszyscy ci co są jako tako obznajmieni z problematyką „socjalistycznego realizmu”, oceniają należycie znaczenie broszury Lenina wymierzonej przeciwko empiriokrytykom. Gdyż, wbrew grymasom takich czy innych intelektualistów, istnieje „rewolucyjna jedność teorii i praktyki”, a czy kto chce czy nie chce, kończy się tutaj zawsze na teorii poznania. Jest wielkim paradoksem, że filozofia chcąc przekreślić filozofię w imię scientyzmu daje w wyniku powrót do magii. Zważmy jednak, że jest to nieuniknione. Teoretycy zapelniający strony „Woprosow Filosofii” trzymają się ściśle tej odmiany monizmu, która neguje przepaść pomiędzy podmiotem i przedmiotem. To co podmiot (tj. umysł ludzki) poznaje z przedmiotu (tj. otaczającego świata) jest według nich wiernym odbiciem, jak na fotograficznej kliszy. To znaczy, że specyficzne prawa według których pracuje umysł nie są brane w rachubę — i nie są brane w rachubę zmiany jakie umysł wprowadza w obraz świata przez sam akt poznania (bo nie jest przecie zawieszony gdzieś poza światem). Używając przenośni, zachodni przeciwnicy tej teorii są jak ludzie, którzy budują baseny na brzegu morza (tzn. poznawanego świata), napuszczają w nie wodę morską, ale ani na chwilę nie twierdzą, że te baseny są r e p r o d u k c j ą morza. Jej zwolennicy, przeciwnie, zapewniają, że potrafią morze w zupełności odtworzyć.

Bez niezbędnej poprawki teoria straciłaby sens polityczny. Przepaść pomiędzy podmiotem i przedmiotem jest obalona, ale tylko dla tych, których umysł pracuje w harmonii z duchem dziejów („Weltgeist”). Inaczej mówiąc, tylko dla klasy wstępującej, na której miejsce w równaniu jest podstawiona partia, na jej miejsce z kolei partia wszechrosyjska, na jej miejsce z kolei — wódz. Wierna reprodukcja morza jest przywilejem i siłą partii. Jest ona — i tylko ona — w posiadaniu instrumentu chwytającego dokładnie rzeczywistość. Umysł, który zechce chwycić świat „na własną rękę”, padnie zawsze ofiarą auto-mystyfikacji. Nawet jeżeli jest to umysł proletariusza: autorytet jest wcie-

leniem świadomości klasowej, która w jednostce przejawia się w stopniu niepełnym, niedoskonałym.

I oto konsekwencje. Której rzeczywistości należy bardziej ufać? Czy tej, która atakuje nasze zmysły, która nas zewsząd osacza i w której jest np. ciągły strach przed aresztowaniem — albo grób małej Aminaty? Czy też tej innej, uporządkowanej, która rozjaśnia nam dni światłem wiedzy? Pierwszej — odpowiedzą liczni ludzie na Zachodzie. Drugiej — odpowiedzą zapatrzeni w swoją wizję teoretycy Wschodu. Drugiej, dlatego, że z chaosu pierwszej wyławia wiernie najistotniejsze cechy, że uwalnia nas od złudnych pozorów w niewolę których wtrąca nas nasza krótkowzroczność.

Rosyjski humor ludowy uchwycił dokładnie to przeciwieństwo. W fabryce odbywa się polityczne zebranie. Prelegent opowiada o tym jak wspaniale odbudowuje się jedno z miast Związku. Po odczycie wolno jest zadawać pytania. Ktoś wstaje i pyta jak się to dzieje, że nic podobnego nie widział, mimo że właśnie wraca z tamtego miasta. Prelegent patrzy na niego surowo i doradza gniewnym głosem: „Ty brat miensze szlajsia a bolsze czitaj”^{*)}.

W tej jednolitości wizji niezmaconej przez rzeczywistość „gorszą” leży tajemnica powodzenia wszelkich form nowoczesnej magii. Leży też zapewne sekret wewnętrznej logiki procesów takich jak praski.

Słanski i towarzysze są winni p o n i e w a ż postanowiono ich zlikwidować. Jeżeli postanowiono ich zlikwidować to znaczy, że byli szkodliwi, tj. ich istnienie było taką czy inną przeszkodą dla Kremla czyli partii, która posiada prawdę absolutną („naukową”). Kto popada w konflikt z partią, popada w konflikt z prawdą. Nie jest ważne jakie zbrodnie popełnił: te są zawarte w jednej, największej, z której wyrastają jak liście z łodygi. Istotny jest tylko „załążek zła”. Przestępstwo jest odsłonięte w stawianiu się, w ruchu, jako takie, które nie tylko mogło być, ale p o w i n n o było być. Cóż z tego, że oskarżeni według tej gorszej, przyziemnej obserwacji nie zawini. Na ich przykładzie należy wykazać c a ł ą drogę jaką m u s i przebiec ten, który obudził podejrzenia — choćby jeszcze jej przebiec nie zdążył. Należy też wykazać, że z chwilą, kiedy linia została zmieniona, za linię poprzednią ktoś jest odpowiedzialny (ex post) — tak samo jak ktoś jest odpowiedzialny za trudności ekonomiczne. Prokurator nie robi nic innego tylko zgęszcza barwy, na miejscu słabych rysów („załążek zła”) stawiając mocne, zdecydowane krechy.

Wina ma charakter wyłącznie obiektywny. Minister spraw zagranicznych, Clementis, zapytany przez prokuratora czy pracował również dla wywiadu francuskiego, odpowiada, że nie przypomina sobie; natychmiast jednak dodaje, że skoro prokurator go o tym zapewnia, musi to być prawdą. Już ten jeden

^{*)} „Ty bracie mniej włócz się, a więcej czytaj”.

przykład poucza nas o co chodzi. Podstawowy zarzut — że oskarżeni „dążyli do przywrócenia w republice kapitalizmu” nie oznacza bynajmniej, że dążyli do tego świadomie. „Obiektywnie” ich działalność miała ten wydźwięk — podobnie jak Clementis mógł, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, pracować dla wywiadu francuskiego. Tutaj już jesteśmy wśród koszmaru lotnych piasków. Jakikolwiek minimum bezpieczeństwa dla jednostki przestaje istnieć, z chwilą kiedy jej odpowiedzialność została całkowicie odcięta od jej intencji. Każdy jest zagrożony — bo już jutro może się okazać, że za to co robił w najlepszej wierze spotka go kara. Budzenie tej świadomości zagrożenia (przed którym chroni, choć w sposób jak najbardziej niepewny, tylko ślepe posłuszeństwo) jest prawdopodobnie celem takich procesów.

Warto się zastanowić nad celami związanymi z chwilą, ściśle taktycznymi, procesu w Pradze, a przede wszystkim nad jego zabarwieniem antysemitycznym. Paryski dziennik „Le Monde” opublikował z tej okazji artykuł pt. „Anty syjonizm nie jest antysemityzmem”. Szkoda, że ta dbałość o dobre imię prokuratora (i nad-prokuratora) nie wytrzymuje krytyki. Antysemityzm rasistowski był tylko krótkotrwałym wybuchem jednej z pseudo-naukowych doktryn — podczas gdy w ciągu stuleci Żydzi byli prześladowani wcale nie z powodu jakiejś mistycznej przynależności do „rasy”. Tępieno ich jako „obcych”, różnych religią i obyczajem. Nikt nie będzie twierdzić, że proces praski (i cała polityka zlikwidowania w Rosji pism i pisarzy żydowskich) sięga po teorię rasy. Znacznie doskonalsza i bardziej elastyczna teoria determinacji społecznej jest tutaj na usługę. Minimalny procent wśród Żydów ocalałych w Europie Środkowej i Wschodniej pochodzi z proletariatu. Dlatego łatwo jest postawić równanie Żyd = bourgeois, a więc ex definitio syjonista. „Obiektywnie” syjonista : niezależnie od jego indywidualnych poglądów. Zresztą mniejsza o preteksty. Istotne jest po pierwsze, że Żydzi mają związki rodzinne i uczuciowe z zagranicą; po drugie, że zostało ich mało. Gdyby miliony ich nie zginęły z rąk hitlerowców, inny byłby środek ciężkości — wtedy warto byłoby grać tą kartą, tak jak warto jest grać (czy próbować grać) kartą katolicką. Ponieważ jest ich mało i największe ich skupiska są w Izraelu czy w Ameryce — rzecz się nie opłaca. Natomiast oficjalne sprawozdania z procesu w Pradze były balsamem dla duszy Arabów i Niemców, co jest znacznie pożyteczniejsze, a na wewnętrzne potrzeby też proces dawał korzyści.

Teoretycznie, wszystko jest w porządku. Żydzi w Europie Środkowej i Wschodniej mogą żyć i piastować posady w rządowych biurach, pod warunkiem, że przestaną być Żydami, że nie będą ciągle wywlekać swojej tragicznej przeszłości i że będą

głośno objawiać swoją nienawiść do Izraela. Zdawało by się, że skoro ich całkowite roztopienie się jest kwestią niedługiego czasu, nie ma powodów do wywlekania ich pochodzenia przy użyciu obelżywych słów o „szarańczy” — jak to zrobił prokurator w Pradze. Ponieważ wiadomo jest, że kampanie antysemityczne rozwijają się zwykle od rzemyczka do koziczka, zrozumiałe jest poruszenie jakie ten fakt wywołał na Zachodzie. Wykazywał on bowiem, że nawet najdobitniej podkreślana wola asymilacji ideologicznej nie zawsze może pomóc. Slanski, oskarżony o syjonizm, był zaciekle anty-syjonistą. Na wielkim wiecu zwołanym przez organizacje żydowskie w Paryżu z powodu procesu, mówcy stwierdzili, że Slanski w oczach Żydów jest przestępcą i jako przestępca byłby sądzony, gdyby się znalazł w Izraelu; gdyż przeskodził emigracji tysięcy Żydów, a tysiące za jego sprawą znalazły się w więzieniu. (Co prawda nie zginęłyby wtedy na szubienicy, bo w Izraelu nie ma kary śmierci). Jak widać jeżeli nowoczesny witch-doctor może pokazać palcem na jednostki, które tak czy inaczej odróżniają się od wspólnoty — to bardzo dobrze, bo ich złowrózne praktyki wydają się wtedy bardziej prawdopodobne.

„Mechanizm historii ma swoje ukryte sprężyny”. Znacząca mina, palec podniesiony do góry, uśmiech wtajemniczenia — to najbardziej chyba typowa postawa mas ludzkich w cywilizacji dwudziestego wieku. Apelowanie do tego pragnienia chytrości jest najpewniejszym środkiem zdobycia zwolenników. Jak dla mieszkańców afrykańskiej wioski, tłumaczenie zjawisk przy pomocy sondy czy mikroskopu jest zbyt płaskie, nie dające dostatecznego pola popisu dla fantazji. Dzieje stają się zrozumiałe dopiero jeżeli można je sprowadzić do działania kilku wyraźnych, upersonifikowanych sił. Jezuici, masoneria, spiszek Żydów dążących do władzy nad światem, mafie, agentury — wszystko to, stosownie do momentu, „wyjaśnia” tajemnicze przyczyny.

Proces praski nie jest pierwszym i zapewne nie ostatnim widowiskiem magicznym jakie dane jest nam oglądać. Nie jest przypadkiem, że te widowiska dochodzą do największej perfekcji w krajach stalinizmu, bo trwa on i wzmacnia się dzięki szczególnej autonomii wyprowadzanych na papierze wzorów. Dla mieszkańców wioski G. rzeczywistość druga — ta w której Sokona i Futumata zabiły dziecko — ma pełną moc; obca im jest świadomość granic i stopni wiedzy. Chwila, kiedy w znacznej części kuli ziemskiej zabroniono badań nad stopniami poznania tj. dokonano absolutyzacji wiedzy, była chwilą, w której teoria ekonomiczno - społeczna zaczęła żyć własnym życiem. Powstał nowy język, a w tym języku A jest A i nie jest A, równocześnie.

Dramat polsko-żydowski

W czasie uchodźczego pobytu na Węgrzech poznałem młodego chassyda, rodem z Węgier i tam zamieszkałego, który spędził kilka lat w szkole rabinackiej w Polsce, u znanego rabi-
na Rokacha w Belzie. Widywaliśmy się w warunkach bardzo różnych, najpierw podczas dwukrotnego przekraczania granicy i znów po kilku latach podczas okupacji Węgier przez Niemców w roku 1944. Wówczas już mój znajomy nie miał domu, bo jego rodzinę w większości deportowano do Oświęcimia, a on ukrywał się w Budapeszcie i przetrwał Niemców jako polski uchodźca. Według nowej polskiej i „aryjskiej” legitymacji nazywał się Stanisław Zięba. Zięba miał w sobie coś wspólnego z młodym poetą muzykiem z „Sędziów” Wyspiańskiego. Zarówno w zewnętrznym wyglądzie jako też w ruchach i reakcjach, tak mi się wówczas wydawało. Nie opuszczała go naiwna ufność w hierarchię duchową, że światem kierują siły duchowe i że „ci inni” dobrze o tym wiedzą. Wobec zarzutów, że ci inni mają przynajmniej na razie coś do gadania, przybierał uśmiech dyskretnego ironii, czy raczej zakłopotanej a przebaczącej wiedzy. Był śliczny; jego szafirowe oczy grały życzliwością chętną i dzielną. Mimo lat z górą dwudziestu ruchy jego były chyże i zgrabne jak u wyrostka. Wskakiwał i wyskakiwał z pociągu i z tramwaju w biegu, i może ta zgrabność, przez samo wrażenie niewymuszonej swobody, ocaliła go od licznych obław policyjnych skuteczniej jeszcze niż legitymacja aryjska. W czasie przymusowego pobytu w Budapeszcie „odkrył” piłkę nożną, miał z tego sporo uciechy. Mieszkaliśmy na wsi nad Dunajem, o 40 kilometrów od Budapesztu, i Zięba, mimo ówczesne niemałe trudności komunikacyjne, odwiedzał nas dość często. Mówił po węgiersku dobrze, po polsku chętnie z niezbyt wielkim zasobem słów lecz bez błędów. W towarzystwie Polaków czuł się widocznie dobrze, miał z Polski niezapomniane wspomnienia. Dotyczyły one zresztą wyłącznie rabi-
na z Belza i jego adeptów, których grono w opowiadaniach Zięby ukazywało się jako rodzaj entuzjastycznego zespołu klasztor-
nego. Choć mistrz rzadko uka-

zywał się uczniom, przecież ilekroć oddalił się na krótko z Belza, uczniowie — nie wiedząc nawet, że wyjechał — czuli, że oddalił się od nich, stawali się smutni, nie mogąc skupić się i modlić się tak jak wtedy, kiedy był blisko nich. Wbrew temu co się czasem myśli o uczniach rabinackich, Zięba wcale nie był zamknięty przed dopływem obcych prądów duchowych i intelektualnych. Miał szczerze zainteresowanie dla nieznanego mu postaw myślowych, dla obcych obyczajów, symbolów i dogmatów. Tylko nie odpowiadał mu pomysł jakoby ziemia obracała się dokoła słońca. Jego dziewczęce usta ścisnęły się ironicznie. Wiedział pozytywnie, z Talmudu, jak sprawy się mają, przyrzekł zresztą, że wytłumaczy mi to jeszcze z religijnego punktu widzenia. Nie dopytując się więcej, przypomniałem sobie wędrówkę Dantego po sferach niebiańskich i uzmysłowilem niebezpieczeństwo, gdy-
by tych sfer brakło.

Wojna przybliżyła się. Gdy Rosjanie osaczyli i wzięli szturmem Budapeszt, a przyjscie ze wsi do wsi stało się niemożliwe, straciliśmy kontakt. Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, że Zięba przeżył zawieruchę wojenną, ale nie wiedzieliśmy co z nim się dzieje.

Święta Bożego Narodzenia 1945-tego roku zastały nas w tej samej wsi nad Dunajem. Nie mogliśmy się ruszyć. Nie był to czas wesoły; nie wiedzieliśmy co się dzieje z naszymi najbliższymi, rozszanymi po świecie. Wobec ciągłego spadku waluty, sytuacja pieniężna i żywnościowa stała się bardzo trudna. Dla nabycia, w drodze wymiany, kukurydzy, tłuszczu i opału, trzeba było sięgać do zapasów garderoby uchodźczej. Dobrze przynajmniej, że na wigilię dom nad Dunajem był jako tako ogrzany, że był barszcz z chlebem, kluski z makiem i choinka ze świeczkami. Wieczorem usłyszeliśmy pukanie do drzwi i nieoczekiwanie ukazał się w nich Zięba, obciążony plecakami. Zdążył w międzyczasie dotrzeć jakoś do granicy szwajcarskiej, a potem wrócić przez Austrię i Czechosłowację. Przywiózł nam na wigilię zapasy żywnościowe i dawno niewidziane smakołyki w różnych konserwach. Nasza radość była podwójna, nawet potrójna. Pamiętając, że wigilia była w sobotę, zapytałem Ziębę: „W sobotę koleją i z plecakiem? Taki chassyd z pana?” Zięba uśmiechnął się: „Właśnie tak, chassyd nie ma zapominać o przyjaciółach, ma ich cieszyć. Te drobiazgi po to, aby wam było wesołe na święta”. „Ależ pan krzywdzi rodzinę”, — powiedziałem. „Rozdzieliłem równo między nich i was” — uspokajał Zięba. — Zięba był pierwszy raz na polskiej wigilii. (Prócz niego przyszli jeszcze dwaj żołnierze-Polacy z armii sowieckiej). Dopytywał o znaczenie drzewka, maku i kolendy, po czym opowiadał nam o swoich przeżyciach z ostatnich miesięcy. W tym okresie było wiele możliwości zarobku z czarnego rynku i znajomi wciągali Ziębę w interesy. „Ależ to nudne, wszystko na jedno kopyto”, „interesy znudziły mnie. Nie!” — mówił. Dowiedzieliśmy się w dalszym ciągu, że Zięba w czasie ukrywania się i podczas obłęż-

nia Budapesztu namiętnie oddawał się lekturze. „Najwięcej mnie pociąga literatura rosyjska i literatura polska; rosyjska, Dostojewski i Tolstoj — to sprawy ludzkie, a polska — sprawy religijne”. „A któż z dzieła z literatury polskiej?” — zapytałem. Zięba wyliczał bez zająknięcia: „Wielki Megid, słowa samego Balszem Towa, Mendel z Witebska, Nachman z Braclawia i inni”.

Wiedziałem znacznie mniej niż Zięba o tej gałęzi „polskiej” literatury, ale czułem, że to prawda. Już powierzchownie z nią obeznanego zastanawia nie tylko wpływ krajoznawstwa, przyrody, ale także przenikanie pieśni i melodii ludowych, interpretowanych symbolicznie, nie mówiąc o zasadniczej sytuacji dziejowej, że chassidyzm powstał i rozpowszechnił się na ziemiach Rzeczypospolitej w XVIII wieku. Osobiście wydaje mi się, że ta literatura jest jeszcze jakoś inaczej polska. Sytuacja jest taka, że taka opinia już nie zagraża ani „zażydzeniem” polskiej umysłowości, od dawna zresztą zażydzonej, ani też nieprawnym przywłaszczeniem sobie skarbu, należącego do narodu żydowskiego. Mickiewicz i Norwid, a zapewne i inni, proroczo rozumieli potencjał wspólnoty między obu grupami, wspólnoty, która nigdy nie obudziła się, nie dojrzała do uświadomienia. A Wyspiański, niemniej proroczo choć realistycznie, przedstawia nam w „Sędziach” stan faktyczny: dwie tragedie obok siebie, wwikłane jedna w drugą, a jedna drugiej obce.

Jesienią w roku 1941 spotkałem na Węgrzech dwu bardzo rozgarniętych oficerów z AK, którzy z Polski służbowo podąжали przez zielone granice do Turcji. Był to okres kiedy ghetto warszawskie było już wypełnione i zamknięte, ale o wyniszczeniu ani o niczym podobnym nie było słyhać. Najgorsi pesymiści liczyli się wszelako z możliwością głodu i chorób, i tak właśnie pisała szwajcarska „Neue Züricher Zeitung”. Zapytałem moich nowych znajomych, co myśli społeczeństwo polskie o ghetcie i czy są możliwości współdziałania. Obaj oficerowie byli zaskoczeni moim pytaniem. Starszy, może trzydziestopięcioletni, odpowiedział z troską: „Mamy tyle na głowie, jesteśmy w ciągłym niebezpieczeństwie, nie wiemy co będzie jutro, i prawdę mówiąc, nie mamy czasu nawet o tym myśleć”. Młodszy, dwudziestopięcioletni Jędrus, (bo nazwisk nie znaliśmy), był bardziej zakłopotany, może dlatego mówił o wiele więcej. Mam dobrze w pamięci jego delikatny precyzyjny sposób wyrażania się. Był w każdym ruchu szlachetny, nie zapomnę go, zwłaszcza, że zginął na którejś z zielonych granic. Mówił tak mniej więcej: „Współdziałanie natrafiło by na opór z obu stron, ze strony polskiej uważano by Żydów w masie za niepewnych i ostatecznie za balesł wobec terroru niemieckiego. Ze strony żydowskiej uważano by, że wciągamy ich do awantury i narażamy w sprawie, w którą nie mają wiary. Zresztą nie brak wśród nas oficerów żydowskiego pochodzenia”.

Głębokie rozdarcie było widoczne.

Manes Sperber przedstawia nam w swej książce *) ostatni akt tragedii. Jest to pierwsze dzieło literackie, które daje artystyczną syntezę i obraz tego okresu, gdy dotąd mieliśmy przeważnie do czynienia z relacjami i reportażami mniej lub więcej szczegółowymi. Niemniej przeto treść i rzetelność, na którą wskazuje, jest tak krzycząca, że powyższe tło nie jest zbędne. Jak słuszenie zauważył w przedmowie A. Malraux, autor, biorąc najogólniej, wznosił konflikt między czasem i ludzkimi dziejami a wiecznością. Powiedzmy jeszcze więcej, że jak niegdyś pieśni epickie, pieśń Sperbera bierze swą krew z niewysychłych jeszcze śladów i potoków krwi tak świeżych, że opowiadanie, mimo że jest kompozycją, ociera się o sumaryczną relację, a to mu dodaje rzetelności i prawdy. W jednej z rozmów z Eckermanem wyraził się Goethe, że właściwie wszystkie postacie i typy literackie, może oprócz kobiecych, zawdzięczamy starożytności i że są wyczerpane. Chciałbym wiedzieć, gdzie w starożytności klasycznej można znaleźć motyw, który zawdzięczamy „Pieśni o Rolandzie” w opisie odwrotu w wąwozach Roncewalu: „Chwała pokonanym”. Lecz dziejom Żydów, ich tradycji i dumie motywu ten nie jest obcy, jeśli nie jest immanentny. Stąd siła dzieła Sperbera we wznowieniu sytuacji. Kulminuje ona w ideale „bezoporu” i narodu bożego, który znajdując się w ciągu ostatnich tysiącleci przeważnie wśród obcych, jest narodem pokoju. „My jedni oparliśmy się pokusie, by stać się takimi jak nasi nieprzyjaciele” powiada w książce Sperbera cadyk miasteczka Wołyń, który sprzeciwił się, by zagrożeni wyniszczeniem Żydzi jego gminy, poszli do lasu i stawili zbrojny opór Niemcom.

Istnieje dziś wśród Polaków powszechna niemal niechęć do stanowiska przezwanego „żeromszczyzną”, pod którym rozumie się gloryfikację strażników i takie ujęcie polskiego losu, że nie pozostaje nam nic innego jak zginąć, opierając się do końca przemocy, oczywiście z bronią w ręku. Niechęć do tak zwanej żeromszczyzny jest zrozumiała, o ile by ktoś chciał wyciągnąć z takiej postawy decyzje i konsekwencje polityczne, samobójcze, z tym wszystkim, co niosą przedtem i potem. Lecz jeśli takie ujęcie nie jest żadną wskazówką polityczną, a tylko przecuciem doli, to należy zastanowić się, czy Żeromskiemu nie odkryło się nagle coś jak gdyby fatum, bez względu na to co postanowią politycy, czy będziemy żyć z sąsiadami w największej przyjaźni, zgodzie, nawet ustepliwości i nawet jeśli będziemy starać się być dla nich pożyteczni, czy też sztywnie i nawet nieostrożnie staniemy od razu okoniem. „Ciemny” Heraklit powiada: „Charakter jest demonem człowieka”. Tymczasem uczestnicy powstania 1944 roku tłumaczą nam czasem, że nie tylko wyrzekli się żeromszczyzny, ale że była to kalkulacja polityczna wykonana z pełną dyscypliną, a tylko sprzymierzeni zawiedli.

*) Manès SPERBER, ...qu'une larme dans l'Océan. Editions Calmann-Lévy, Paryż, 1952, str. 183.

Zatem nie uprzedzajmy się do książki Sperbera mówiąc: „Znamy to, to żeromszczyna”. Bo postawa Żydów wyrażona przez cadyka z Wołyny nie jest świeżej daty, jest jeszcze bardziej „sensacyjna”. Jak gdyby na podstawie wielu doświadczeń cadyk oddaje zupełnie losy narodu w ręce Boga, zdaje się na Boga. Zapewne rozważni, odpowiedzialni, a czujni patrioci żydowscy w dzisiejszym państwie Izraela rzekną się misji pasywnego pacyfizmu, ale któż nie wie jakie ryzyko przynosi z sobą nowe państwo narodowe wtłoczone w newralgiczny punkt Bliskiego Wschodu. Taki czy inny dialog mógłby się toczyć wokół dzieła Sperbera.

Z dzieła Sperbera, które obejmuje trzy tomy, znam tylko powyżej wspomniany, który jest zaledwie wyjątkiem z trzeciego tomu. Muszę się zatem opierać na relacji Malraux, bo jest relacją z całości. Ale nie można się pogodzić z autorem wstępu, że Sperber jest agnostykiem, co najmniej jeśli chodzi o ostatnią książkę. Niewątpliwie Sperber jest epikiem, jak to widać w scenie między cadykiem Wołyny a doktorem Rubinem, przybyłym z zachodu do Polski w poszukiwaniu deportowanej i w rezultacie wyniszczonej przez Niemców rodziny. Autor nie staje po niczyjej stronie. Uwaga, że gdy inni Żydzi z miasteczka marzną, cadyk ma do dyspozycji wspaniałą, ogrzaną salę i że jest to „rabin prosperujący” idzie wyłącznie na rachunek doktora Rubina, nie autora. Wobec grożącej lada dzień eksterminacji miasteczka przez Niemców, doktor Rubin chce porwać Żydów do samobrony, do śmierci z bronią w ręku. Podczas rozmowy cadyk co chwila zagląda do książki, jakby jej tekst był ważniejszy niż grożące niebezpieczeństwo. Dla niego to co dzieje się wokół jest także tekstem parabolicznym, trudnym, ale godnym wniknięcia i zrozumienia. Lecz doktor Rubin, zniemczony Żyd i Europejczyk nie umie odczytać ani wyjaśnić. Odpala rabinowi: „Ależ nie o teksty mi chodzi, nie o apologię rabiniczną, tylko o wypadki”. Ojciec rabin wraz z szesnastoletnim synem śmieją się serdecznie i pobłażliwie z takiej odpowiedzi, tak jakby dziecko paplało, usiłując wymądrzać się i rozumować. Jednak lekceważenie dla cadyka, które może udzielić się z tego obrazu czytelnikowi zbyt pochopnemu, jest jakby zastawioną przez autora pułapką. Bo cadyk jest stanowczy, konsekwentny, nie ma zamiaru się ratować, nie będzie się ratował. Tylko syn, młodzieńek rabin, szesnastoletni spadkobierca dziewięciu generacji rabinów z Wołyny, usłuchał wezwania doktora Rubina i bierze udział w partyzance, na to, aby szukać swej własnej drogi, drogi pocieszenia; chce spróbować czy znajdzie ją idąc razem z rozpaczą doktora Rubina. W miarę akcji, — a akcją nie należy tu nazywać właściwie oporu zbrojnego w lesie ani wyniszczającej akcji Niemców, lecz wyżej wspomniany rozwój konfliktu między doczesnością a wiecznością — coraz głębiej pierwiastek religijny przesącza się w osamotnienie doktora Rubina. Kulminującym punktem jest cud szesnastoletniego rabina. Po zabiciu ojca przez Niemców, po oporze zbrojnym razem z AK w lesie i po konflik-

cie garstki Żydów z żołnierzami AK, którzy żądają zwrotu amunicji, wreszcie po wyginięciu wszystkich Żydów prócz trzech — doktora Rubina, młodego rabina ciężko rannego w starciu z AK i muzykanta Mendla — ci trzej, uratowani i przewiezieni do klasztoru przez jednego z dowódców AK, Skarbka, ukrywają się w klasztorze. Stan rannego młodego rabina jest zagadką dla lekarza: to polepsza się, to znów pogarsza. Pięcioletni chłopak, synek ogrodniczki klasztornej, w zasadzie całkiem zdrowy, nie może chodzić. Matka przypisuje to złemu oku i czarom szwagierki, i przez pośrednictwo Mendla prosi młodego chorego rabina o odwrócenie czarów, o czarodziejskie słowa, o cud. A oto czary młodzieniaszka-rabina: iskra budzi iskrę, życzliwość budzi zaufanie i przywraca siłę i zdrowie dziecku. Gdy matka wniosła chłopca do pokoju, młody rabin leżąc nadal w łóżku, zachęca dziecko: „Wojtusiś nie upadniesz, nie, bo masz mi podać chleb. Jestem głodny, potrzebuję chleba, a ty, Wojtusiś masz dobre serce, chcesz mi pomóc. Trzymaj mocno w rączkach, trzymaj, tak, i chodź do mnie”. Dziecko trzymało chleb w rączkach mocno, jakby znalazło w nim oparcie. Przyszło samo, zaczęło chodzić. Siła płynąca z młodego rabina dociera do wszystkich, do chłopów polskich, do zakonnic, do matki przełożonej, która chciałaby po tym wszystkim otoczyć go szczególną opieką. Najdłużej opiera się jej wpływowi doktor Rubin, lecz i jego w końcu wchłania najgłębiej. Po utracie najbliższych, po rozpaczliwych poszukiwaniach, po szaleńczych a daremnych próbach ocalenia ich, całe życie jego zapadło się w nicość. Ma on w sobie coś tak twardego, znieruchomiłego, że młody rabin, gdy go zobaczył po raz pierwszy, przeraził się — nigdy nie widział tak twardego oblicza. Tak samo młodzi Żydzi, którymi dowodził podczas potyczki w lesie, choć słuchają go, myślą: „To przecie Niemiec, niedobry, zły i opętany jak wszyscy Niemcy”. Lecz twardość jego pochodzi nie tylko z kontroli „intelektualnego sumienia”, nawet nie z wierności swym najbliższym, których utracił, raczej z wierności sobie samemu. Wyjaśnia sam: „Nie opuścę nigdy nikogo, bo dla mnie wszystko sprowadza się do sumienia moralnego”. — To taki Odys, który nie tylko nie szuka swego zdruzgotanego już domostwa, lecz przybrany w strój wroga dociera do obozu wroga, przebiega całą Europę, szukając ostatnich śladów swych najbliższych, z tym tylko skutkiem, że dowiaduje się na pewno, gdzie, jak i kiedy ich zniszczono. Tak przyjął już swą dolę, że gdy znalazł się u Skarbka, w bezpiecznej na razie skrytce starego pałacu, wszystko odpycha go gwałtownie: „Precz stąd! cóż to za typ, który mówi jeszcze: mój dom, moja aleja, mój naród, mój kraj”. Doktor Rubin to Europejczyk, ostatecznie i raz na zawsze obudzony ze snów europejskich. Dzięki swemu żydostwu, prędzej i gruntowniej niż inni „wychłostał z siebie piły i nudziarstwa książek”, ale nie ma już niepewności zbrodni jak Hamlet i nie potrzebuje przenikliwego memento: „pamiętaj”, bo na przeciwnym niż Hamlet biegunie, wśród żywiołu zbrodni, wśród jej triumfu i bezwstydnego chwale zestrzelił się

w jeden krzyk Hamleta: „My thoughts be bloody or nothing worth” i nawet ten krzyk stłumiły w nim wypadki. Do kogóż będzie krzyczeć? Czyżby do Skarbka, który przy całej swej dzielności, stoi równie jak jego ród i jego naród, blisko Rubina, w koleżce zniszczenia i nawet sam to przeczuwa. Od kiedy Rubin zobaczył w obliczu młodego rabina jakąś anonimową wspólnotę tysiacleci, która więcej znaczy niż wszelki wyraz indywidualny, takie stopienie młodzieniaszka z wszechświatem, że żyje w nim jak drzewo zakorzenione w ziemi, Rubin przygotowany jest do zwrotu. Jego zawarta dotąd szczelnie „druga pamięć”, do której nie posiada klucza, odchyła się. Gdy ukrywa się w bezpiecznej skrytce, w osamotnieniu piekielnym, przy wybuchach rozsądanego eksplozjami ghetta, docierają do niego nie tylko słowa młodego rabina, lecz także słowa starego cadyka, który z początku wydał mu się nie wiadomo czy bardziej śmieszny, czy bardziej odpychający. Powtarza: „Należy rozumieć głęboki sens wydarzeń jako paraboli, jak to czynił cadyk z Wołyny. Nie przeceniam już czynów, należą do chwili, która przemija, a odo-sobnione zdarzenie jest bardziej bezkształtne niż Iza w oceanie”. Najoporniejszy otwiera się najgłębiej. Autor właściwie nie kryje swego stanowiska, a nie zachwiewa go ono, gdy do ostatka czuje z ofiarami ghetta. Jedno z ostatnich zdań książki wyraża krótki wyrzut: „Polacy spali”.

W wierszach Czesława Miłosza „Campo di Fiori” i „Biedny chrześcijanin patrzy na ghetto”, odnoszących się do tego okresu czasu, znajdujemy wyraz reakcji strony polskiej, u wielu świadków cichych a niemocnych przez to, że nie mieli złudzeń aktywności przez przynależność do bojowych organizacji, ani też nie oształmiali się życiem do jutra, ni przez zabawę na karuzelach, ani też życiem rodzinnym, którego strzegły lampki oliwne przed postaciami świętych w bramach domów. Gdyby za poematami Miłosza podobnie jak za książką Sperbera nie stało zobowiązanie, byłyby one świstkami papieru, podobnie jak traktaty pokojowe podpisane przez tych, którzy nie mieli zamiaru ich dotrzymać.

Któż zaprzeczy wszelako, że cichy wyrzut tysięcy szeptów ginących był taki: czekaliśmy. Państwo Izraela jak gdyby dało zdecydowaną odpowiedź: oczekujemy i żądamy jedynie od siebie samych. Trudno przecie uwierzyć, aby Żydzi przez to wyrzekli się potężnego głosu starej misji tak zakorzenionej, a więcej niż narodowej.

Sperber wypowiada, po raz pierwszy w nowszej żydowskiej literaturze, memento dla świata, słowem do człowieka, obrazem artystycznym i przez to twórczym, a nie reportażem ani mową statystyk, która może znużyć i na pewno znużyła, bo nie porusza stępionej wyobraźni. — „Te sprawy” — mówiąc słowami Szekspira — powinny zatopić scenę łzami, przeraźliwą mową rozłupać uszy ogółu, wtrącić w szal winowajców, obudzić wolnych, wstrząsnąć nieświadomymi, zadziwić wszelką zdolność widzenia i słyszenia”. — Memento niezapomniane i nie może być

zapomniane, lecz dla niektórych może mieć znaczenie tylko negatywne, to jest, że należy opierać się wyłącznie na sile własnej. A oto dzisiaj ostatnie słowo, nawet w sprawie biologicznego utrzymania się, mają nie małe i nawet nie średnie narody, tylko potęgi największe, ciągle wzrastające. Czyżby takie memento miało znaczyć, że trzeba kurczowo i skwapliwie czepiać się i trzymać się silnych, lub lawirować umiejętnie? Jest jeszcze inne, pozytywne memento, najcichsze i ledwie dosłyszalne. To patos modlitwy mniejszości, osamotnionej, opuszczonej przez cały świat i ginącej. Zakryta i zasklepiąca modlitwa wybucha płomieniem tak potężnym moralnie, iż zdawało by się, że Bóg tylko z tych płomieni przemówił. W pozorach spokojnego, uregulowanego nabożeństwa w społeczeństwie uporządkowanym, zabezpieczonym, a wchodzącym w skład potężnej organizacji religijnej większości, ten sam ogień jest tak głęboko ukryty, że potrzeba dopiero nadzwyczajnych katastrof, aby ujawnił się tak, jak już się ujawniał wśród szyderstw i bluźnierstw wrogów i wobec bezpośredniej groźby śmierci w obozach koncentracyjnych XX wieku.

Widziałem na Węgrzech w miasteczku Vac polską szkołę i internat, który zgromadził przeszło go żydowskich dzieci zamaskowanych „aryjsko”, aż do imion własnych, tylko kierownik szkoły nauczyciel z zawodu, a polski oficer rezerwy, był chrześcijaninem, a dodany mu dla niepoznaki niby jako katecheta, węgierski ksiądz — Pijar, mówiący po polsku, przychodził czasami uczyć dzieci węgierskiego. Było tam także kilkoro dzieci całkiem małych, które po zabiciu rodzin w Polsce, wiedzione instynktem ściganej zwierzyny uciekały przed siebie, aby uciekać, i prowadzone jedynie przez nieco starsze dzieci po wielu perypetiach przez lasy, przez Karpaty dotarły na Węgry. Powiadają: instynktem ściganej zwierzyny, bo nie tylko niedźwiedzie i wilki, także jelenie i sarny, którym Bóg dał dążenie wolności, nie zgłasza się do biura nadleśnictwa, które organizuje polowanie z nagonką. Obecność tej garstki dzieci, ich wymowa niema koncentrowała się w westchnieniu: gdyby ktoś był rozpałił ogień cywilnego nieposłuszeństwa wobec gwałtu wśród tych mas co zgłosiły się do punktów koncentracyjnych i tam czekały miesiącami nawet latami na koniec! Może naród pokoju czekał na iskrę. Gandhi, jak wyczytałem w pewnej relacji o interview z nim, doradzał Polakom aby nie porzucali oporu z bronią w rękę do ostatka, skoro sami nie widzą możliwości duchowej akcji bez gwałtu, gdyż nawet wojna jest lepsza niż uległość gwałtowi, posłuszeństwo wobec gwałtu. A pewnemu Szwajcarowi, który podkreślał, że jednym z pierwszych paragrafów konstytucji szwajcarskiej jest neutralność, — odpowiedział utopijnie, że dla uratowania prawdziwej neutralności Szwajcarzy powinni by w obronie swych granic stanąć wszyscy masowo, wraz z kobietami i dziećmi, na granicach Szwajcarii dla powstrzymania

najazdu — bez gwałtu. To byłyby Termopile szwajcarskie! Bo już handel z napastnikiem, dostarczanie mu żywności dla wojny, nie mówiąc o fabrykowaniu amunicji, jest nie tylko pakowaniem, jest aktywnym współdziałaniem z gwałtem. Jakichże by wojsk potrzeba, by gnać po lasach, po polach i po górach za milionami tych, co w wielkiej masie odważyliby się na nieposłuszeństwo gwałtowi, tak jak te dzieci z Vac, na opór gwałtowi, skoro i tak miały zginąć niechybnie. Na aktywny pacyfizm, skoro pasywny pochłonał więcej ofiar niż wiele wiele bitew. — Ale to byłyby już inne utopijne dzieje i inna pieśń, której na pewno nie słuchałaby Europa wciśnięta między Scyllę przemocy, a Charbde niemocy.

Książka Sperbera jest w końcu wielką zapowiedzią dla literatury żydowskiej, dla tych, co nie będą się odwracać, ani zapominać, ani dostosowywać, lecz którzy pamięć o tym co się stało doprowadzą do tak niebywałego zgęszczenia i napięcia, że zapragną powetować to co zaginęło. Przez odnowienie takie słowo wzmoże się do niebywałego, biblijnego patosu. Prawdopodobnie nie stanie się to w Europie, może nawet dlatego tylko, że Żydzi opuszczą Europę. Jakże ważkie choć paradoksalne jest to, że młody rabin, przedstawiciel grupy najbardziej ortodoksyjnej, wypowiada w książce Sperbera przesłanie najbardziej uniwersalne, że Żydem staje się ten, kto dosłyszysz słowa Boga, kto chce je słyszeć i słucha ich.

Jakiż akompaniament może dać z siebie przygodny recenzent? Cóż więcej niż wiatr, któremu w Tybecie ofiarują książki, aby sobie przewracał ich kartki tędy i owędy. Zamruczy, przy Eichnie nad stroną, przewróci kartki do końca i potem znów wstecz, potem znów od początku do końca, to cierpliwie, to niecierpliwie, to westchnie nad stronicą raz głośniej raz ciszej. W końcu nawet tytuł książki odwraca mu się tędy i owędy, wbrew wyraźnemu szykowi słów. Czymże jest ta książka? Łza i ocean. Czyjaż łza, jakiż ocean? Łza autora i czytelnika nad oceanem mąk i strat? Każdego z nas bezradnych ludzi łza, czy łza jest może sam młody rabin, gdy umiera w klasztorze? „To co w najmniejszym jest kryształ, to i w wszechświecie”, powiada hinduski tekst. Łza Przedwiecznego? Zastąpi zapadły ocean, tryśnie z niej odnowienie.

Stanisław VINCENZ

A co z duszą ?

U PODSTAW MORALNYCH CYWILIZACJI
TECHNICZNEJ

Florianowi Znanieckiemu w hołdzie

I.

Atomologowie zapowiedzieli, że pięćdziesięciotonowa bomba wodorowa pozwoli zamienić kulę ziemską w małą mgławicę. Czyż wobec tej możliwości, wcale nie teoretycznej i o wiele bliższej niż podróż na księżyc, nie blednie cała krytyka cywilizacji technicznej? Jakże tu mówić jeszcze o pomniejszeniu człowieka przez maszynizm i technicyzm, o zaniku indywidualności, o nowym niewolnictwie, o niebezpieczeństwie, jakim taśma bieżąca grozi cnotom obywatelskim? Jakże brać poważnie marzenia Duhamelów i Mauriaków o Europie jako rezerwacie szlachetnej twórczości rzemieślniczej, jakże przejmować się wraz z Simone Weil nudą, która zabija dusze robotników, powtarzających tysiąc razy na dzień te same zautomatyzowane ruchy? Słowem, jak tu jeszcze wątpić, że cywilizacja nasza ma sens i że wszystkie cierpienia, które z sobą niesie, są w pełni usprawiedliwione, skoro los nasz jest w naszym ręku tak całkowicie, jak jeszcze nigdy w dziejach świata?

Filozofowie dziewiętnastego wieku, teologowie z tradycji, powołania i namiętności, ostrzegali nas, że obchodząc się bez Boga, eliminując Go z naszych spraw prywatnych i publicznych, wziąć musimy na siebie odpowiedzialność za świat, w którym odmawiamy Mu prawa ingerencji. Troska Mickiewicza była w „powiększeniu duszy”, Bergson wołał o „supplément d'âme”, Nietzsche drętwiał na myśl, że moglibyśmy nie chcieć być bogami. Słuchaliśmy tych głosów z niedowierzaniem i broniliśmy się przed niepokojem tym niezawodnym manewrem, który odwraca dyskusję nie przerywając jej: argumentem ad hominem: „Dramat piszesz!” Tego wybiegu pozabawiliśmy się dziś ostatecznie. Prorocy nie robili literatury.

Artykuł dyskusyjny.

Samo pojęcie Losu staje się przesądem: zło przestało być demonem i jest coraz bardziej błędem kalkulacji, skutkiem niedowagi, niedostatkiem organizacji. Trudność nie tkwi w świecie, trudność tkwi w nas. Postęp okaże się fatalny tylko, jeśli nie dotrzemy mu kroku. Największym luksusem jest wahań, bo grozi katastrofą. Nostalgia za przeszłością jest chorobą, bo decyzje zapadły i są niecofnione. Zastąpiliśmy wiarę wiedzą, nadzieję wolą, a miłość imaginacją. Tego procesu nie możemy odwrócić. Wyzwoliliśmy myśl naszą więzając ją w mechanizmach, które ją rozwijają, komplikują i amplifikują. To one medytują za nas i kontemplację przemieniają nam w kooperację. Myśl przestała być możliwością, jest aktem. Duch ludzki przestał być energią twórczą, jest miejscem geometrycznym faktów. Z organizatorów stajemy się koordynatorami. Nasze dzieło narzuca nam swoją wolę — stanowimy z nim jedność nierozdzielalną.

Jesteśmy panami ziemi i wnet będziemy decydowali o tym, jak długo ma trwać. Nie wiemy tylko, co z niej chcemy zrobić. Czy możemy to wiedzieć?

2.

Zadna z tradycyjnych wartości nie dostarcza argumentów obronie cywilizacji technicznej. W ich perspektywie wszystko, co robiliśmy i co robimy, a także wszystko, do czego jeszcze możemy być zmuszeni, jest błędem i nieszczęściem. Cywilizacja techniczna podważa ład społeczny, polityczny i kulturalny, który założyliśmy sobie jako ideał. Idziemy nie tam, gdzieśmy się wybierali. Ruskin był ostatnim człowiekiem, który zdobył się na radykalną krytykę cywilizacji przemysłowej. Żył jeszcze, gdy Nietzsche proklamował, że nie możemy się cofnąć i że nihilizm, który wyrósł jako konsekwencja tej cywilizacji i jako protest przeciw niej, stać się musi energią, która tę cywilizację rozwinie w nową kulturę. Krytyka poprzestaje dziś na poszukiwaniu kompromisów między wartościami tradycyjnymi a nową rzeczywistością. Myśl ugięła się przed faktami, których nie może zmienić i do których pragnie już tylko przystosować się.

Kultura nasza opiera się na założeniu osobowości suwerennej, tj. na samotnym dialogu człowieka ze światem. Ta metafizyka wyraża się teologicznie w doktrynie o nieśmiertelności duszy, moralnie w pojęciu godności ludzkiej, politycznie w ideale demokratycznym, ekonomicznie w prawie własności, kulturalnie w ideale indywidualności. Nowa cywilizacja przekształciła wszystkie te pewniki zrazu w postulaty, a następnie w wątpliwe hipotezy. Praktyka ekonomiczna i polityczna opiera się od dawna na założeniach, sprzecznych z tymi postulatami. Jeżeli je toleruje jako hipotezy, to dla tego, że najbardziej opornym elementem cywilizacji są słowa. Nowe religie wprowadzały swe pojęcia zawsze pod osłoną starych symboli. Nasze stare symbole od dawna wyrażają nową treść.

W tradycji naszej — jednostki determinują grupy, potrzeby produkcji, a ideały wartości. W praktyce — jednostki wyznaczone są przez grupy, potrzeby przez produkcję, a ideały przez wartości. Słowem, treść wyznaczana jest przez formę, a nie na odwrót. Państwo przestało być wypadkową interesów swych obywateli, bo określa te interesy arbitralnie, zgodnie z logiką swej konserwacji i ekspansji. Towarów nie produkuje się, by zaspokajać potrzeby, ale by rozwijać produkcję. Produkcja zabija potrzeby, których nie może zaspokoić i wytwarza nowe, które zapewniają jej ciągłość i ekspansję. Nadprodukcja nie prowadzi do wstrzymania produkcji — co groziło by rozpruciem całej tkanki aktywności gospodarczej — ani nawet do przestawienia produkcji, ale do stworzenia sztucznych potrzeb.

Sztuczność większości potrzeb, zaspakajanych dziś przez produkcję, zuboża motywy aktywności gospodarczej, które sprowadzają się w końcu do najbardziej elementarnych, tj. do potrzeby zachowania nagiej egzystencji. Wokół nagiej i nieustannie zagrożonej egzystencji narasta ogromne bogactwo dóbr, którym nie odpowiada żadna wartość. Konsumpcja, nieustannie rosnąca ilościowo, pozostawia rosnący niedosyt, który z kolei powołuje do życia nowe formy aktywności gospodarczej, znajdujące tu popyt na nowe usługi.

W tradycji naszej — ideał jest wyrazem osobowości; to on nadaje wartości rzeczom i czynnościom. I tu stosunek został odwrócony. Rzeczy dochodzą do nas albo w przeróbce przemysłowej albo wręcz jako wytwory przemysłu. Czynności zostały przez technikę gruntownie zmodyfikowane. Ani rzeczy ani czynności nie mają swego źródła w ideałach, mają je one w technice i wyznaczonej przez nie organizacji pracy i życia. Wartości wyznacza technika i organizacja, a nie osobowość. Konsekwentnie, osobowość determinowana jest przez technikę i organizację. Ideały mądrości, bohaterstwa i świętości zastąpione zostały jedynym: ideałem sprawności (efficiency). Typem osobowości w cywilizacji technicznej jest sportsman. Jego filiacje z ideałem gentlemana ulegają coraz bardziej rozluźnieniu na rzecz filiacji z typem psychicznym i moralnym gangstera. Nawet żołnierz uległ w ostatniej wojnie tej ewolucji: typem żołnierza jest dziś spadochroniarz.

Cywilizacja przemysłowa — czy, jeśli kto woli, techniczna — nie da się więc obronić na terenie kultury tradycyjnej: jest ona zawsze jej negacją, a często prostym przeciwieństwem.

3.

Myśl bardziej nas dziś hamuje, niż wyzwala. Utrzymując w mocy dawne kryteria wartości, robimy niemal wszystko pod fałszywymi pozorami. Kultura odstaje od nas jak kokon od wykluwającego się robaka, który jeszcze nie jest motylem, bo kokon krępuje mu skrzydełka. Nie ufając skrzydłom, trwamy

w kokonie. Słaba jeszcze jest świadomość, że bezpieczeństwo nasze jest w locie, a nie w martwej skorupie.

Mówimy, że ideałem naszym jest wolność. W imię tego ideału ruszyliśmy na podbój natury i w jego imię zaprzęgliśmy w swoją służbę maszyny, które wnet okazały się silniejsze od naszej woli i zaczęły nam dyktować swoją. Realizując ideał wolności, popadliśmy w niewolę, w obliczu której formy niewoli, z jakiej pragnęliśmy się wyzwolić, nie zasługują na swoje miano. Nie cofamy się jednak, bo w niespodziewanej niewoli znaleźliśmy nieoczekiwane szczęście. Z perspektywy tego szczęścia wolność — ku której przecież zmierzaliśmy — wydaje się szaleństwem lub dobrowolną torturą. Gdy mówimy o upokorzeniu, w jakim utrzymuje nas niewola przemysłowa, grzeszymy hipokryzją i przekorą. „Niewola przemysłowa” jest kalumnią, a dyktuje nam ją rozdźwięk między formą wolności, jaką osiągnęliśmy, a ideałem wolności, który był naszym mitem.

Stare ideały każą nam wstydzić się nowego szczęścia. Dawno zastąpiliśmy osobowość sprawnością, godność wygodą, a indywidualność sztafpą, nie możemy się jednak zdecydować, by sprawność, wygodę i sztafpę pisać wielkimi literami. Szczęście, jakie dają nam ideały realizowane ale niewypowiedziane, obraża nas, gdy je porównujemy z ideałami porzuconymi ale wyznawanymi. Literatura czerpie z tej gry wyobraźni pewien perwersyjny dreszczyk i pisarze znajdują w tej sprzeczności uczuć formy nowe, pełne dziwnego uroku. Portret Doriana Graya szpetnieje z dnia na dzień, ale Dorian Gray kwitnie. Uważny obserwator dostrzeże jednak w tej ciuciubabce autentyczny dramat: oto Dorian Gray nie wie, czy prawdę mówi mu lustro czy portret.

Za największy swój skarb uważamy demokrację, ale od czasów Faraonów nie było na świecie społeczności tak szlifierowanej jak nasza. To prawda, godności przestały być dziecinnie, ale przestały być także godnościami: są funkcjami. Płynność osób zastąpiła nam sztywność hierarchii. Budujemy piramidy. Robimy to z samozaparciem i posłuszeństwem, jakiego pozazdrościliby naszym władcom (naszym prawdziwym władcom) najwięksi tyrani historii. „Gdyby moi żołnierze nie mieli domu i ojczyzny — mawiał Napoleon — byłiby doskonali”. Jesteśmy bezdomni i apatrydzi, jak jeszcze żadni wygnańcy i jesteśmy bezdomni i apatrydzi z przekonania: nie wiedzielibyśmy czego szukać w domu i ojczyźnie, gdyby je nam kto przywrócił.

A przecież nie przestajemy domagać się równości, braterstwa i wolności. Oczywiście, poprzedstawiamy na żądaniu, bo wiemy nie tylko, że nikt go spełnić nie może, ale że byłibyśmy nieszczęśliwi, gdyby je kto spełnił. Pozostawia nam się więc ceremoniał demokracji, który nas całkowicie zadowala. Udajemy, że nie widzimy szalbierstwa, które się za nim kryje i wiemy dobrze dla czego udajemy. Równość jest już dziś tylko pojęciem z ordynacji wyborczej, gdzie figuruje, ale nie działa. Braterstwo stało się synonimem obojętności: jest to rodzaj milczą-

czego przepisu cyrkulacyjnego. Wolność też jest pojęciem negatywnym: oznacza ona nieskrępowanie we wszystkim, co nie jest zabronione. Jak rzadko z niej korzystamy! O ileż chętniej wyżywamy się w dobrowolnym obserwowaniu zakazów! Tak, wolność jest dziś dobrowolnością.

Zresztą, przyjrzyjmy się elicie. Czym dziś są przywileje? Elita przestała budzić zazdrość, często budzi wręcz litość. Nie mamy dla niej szacunku, a cóż dopiero czci (na prezydenta największej republiki każdy ulicznik woła „Geniek!” i Genio usmiecha się do niego uroczo). Elita nie reprezentuje nic i nikogo, ani rodu ani narodu, ani rasy, ani państwa. Elita spełnia funkcje. Nie ma arystokracji, tzn. klanu najlepszych — są elitarni fachowcy i garść porosłych w pierze bandytów. Potomkowie starych rodzin dawno się zorientowali, że przynależność do dzisiejszej elity degraduje ich moralnie. Wahają się między pogardą dla swych braci w przywileju a pogardą dla siebie samych. Rozumiejąc, że ich przywileje nie mają żadnego usprawiedliwienia i że mogą być ich pozbawieni przez przypadek, podobny do tego, któremu je zawdzięczają, nie potrafią być z nich nawet dumni. Elita nie ma poczucia, że cokolwiek by to było, zależy od jej woli. Dlatego też odpowiedzialność stała się farsą, która ma czysto taktyczne znaczenie. Najczęściej odpowiada się nie za to, co się zawniło, nawet nie za cudze winy: pod ścianę idzie się w charakterze kozła ofiarnego okoliczności.

4.

Przemysł współczesny charakteryzuje produktywizm i racjonalizacja. Produktywizm jest pojęciem ekonomicznym, racjonalizacja technicznym. Oba w sposób decydujący modyfikują podstawowe pojęcia kulturalne. Pojęcia te wytworzyła technika, gdy wyszła ze stadium drobnego przemysłu. Produktywizm i racjonalizacja są arcydziełem burżuazji. Wyczerpana, burżuazja nie przeżyje swego arcydzieła.

Założeniem produktywizmu jest zapewnienie wszystkim ludziom dobrobytu. Demagogom i cynicznym filozofom udało się zrobić z dobrobytu naczelną ideał naszej kultury. Ale ten ideał jest batem, batem i niczym więcej. W tej kulturze jesteśmy wszyscy skazani na idealizm. Kto nie chce brać udziału w grze — ginie z głodu. Jest to moment, gdy bat spada nam na plecy. Nigdy jeszcze nie było tak ciężkiego i realnego ideału. Z dawnymi ideałami ma on wspólną cechę istotną dla wszystkich ideałów: nieosiągalność. Ale między nieosiągalnością ideału, który ciągnie w górę a nieosiągalnością ideału, który ciągnie w dół, jest taka różnica jak między prawdą a oszustwem, szlachetnością i nikczemnością, ideał a ideologią.

Hasło produktywizmu wykląda się tak: pracować, by móc nie przestać pracować. Teoretycznie, robotnik jest w przemyśle zjawiskiem przejściowym. Minał okres, gdy w produkcji tkwiła praca jego mięśni i gdy płaca musiała odpowiadać ener-

gii cieplnej, którą tym mięśniom należało zapewnić, jeżeli robotnik miał pracować do starości, czyli do pełnego wyczerpania, które jeszcze pod koniec ub. wieku następowało z reguły ok. 40 roku życia. Jesteśmy obecnie w okresie, gdy robotnik stanowi nie dającą się na razie zastąpić część maszyny, w której pracę mięśni zastąpiła praca elektrycznego motoru. W tym okresie płaca składa się z dwóch czynników: z kosztu rozrywek, które pozwolą robotnikowi nie umrzeć z nudów (wyczerpanie następuje dziś dopiero ok. 70 roku życia) i z kosztu towarów, które robotnik musi skosztować, jeżeli produkcja ma zachować ciągłość, tj. jeżeli ma rosnąć.

Ten cykl produkcji i konsumpcji mógłby być zamknięty, to znaczy produkcja i konsumpcja mogłyby być zrównoważone, gdyby nie konieczność sprowadzania surowców. Bo robotnik zarobiłby nie tylko na rozrywki i konsumpcję, ale także na utrzymanie rosnącej bezustannie warstwy nie-produktywnych pomocników, którzy mu pracę umożliwiają i ułatwiają. Import surowców powoduje, że cykl jest nieustannie otwarty, a równowaga chwiejna. Wprowadza on bowiem do cyklu ogromną armię innych, obcych producentów i konsumentów, armię, której nie można rozkazywać, ale do której ruchów trzeba się przystosowywać. Ten czynnik nieobliczalny sprawia, że produkcja musi być coraz tańsza, tj. że coraz mniej robotników i maszyn musi produkować coraz większą ilość towarów. W tym miejscu zaczyna się racjonalizacja.

Jej ideałem jest już jawnie sprawność (*efficiency*). I to jest może najgłębszy i najbardziej niewątpliwy ideał naszej cywilizacji. Jest on zarówno wyznawany otwarcie, z autentycznym entuzjazmem, jak i praktykowany, z niebywałą w dziejach gorliwością, z samozaparciem, pomysłowością, dowcipem i przebiegłością. Taylor, który wynalazł racjonalizację, nazwał ją — z dobroduszną złośliwością, właściwą metodystom — „naukową organizacją pracy”. Musiałbym w tym poważnym wywodzie zrobić prawdziwie komiczną wstawkę, gdybym chciał zbadać motywy i implikacje oburzenia, jakie ta nazwa wywołuje na uniwersytetach europejskich. Taylor miał jednak rację i uniwersytety amerykańskie poświęcają się dziś niemal wyłącznie studiowaniu i planowaniu racjonalizacji. Prąd ten zaniósł do fabryk nawet... etnologów, nie mówiąc już o psychologach i socjologach. Zainteresowanego czytelnika odsyłam do bibliografii, zebranej przez Georges Friedmanna¹⁾.

5.

Racjonalizacja ma trzy przedmioty: pracę, towar i człowieka. Pracę racjonalizuje się przez podział procesu produkcji na jak największą ilość prostych operacji, towar przez standardyzację, człowieka przez selekcję. Rezultatem jest w pierwszym

wypadku zanik pełnych zawodów i zastąpienie ich wielką ilością zawodów wyspecjalizowanych; w drugim — zastąpienie rzemieślniczego pojęcia jakości przez przemysłowe pojęcie jakości; w trzecim — połączenie funkcji psychicznych z funkcjami mechanicznymi ciała w taki sposób, by człowiek stanowił niezawodną część maszyny, a równocześnie czuł się wewnętrznie wolny. To ostatnie zapewnia rozładowanie niezadowolenia, które niebezpiecznie jest nie doceniać.

Nad standardyzacją, która jest olbrzymim działem racjonalizacji i wciąga nie tylko producenta, ale i kupca i konsumenta, nie będziemy się tu zastanawiali. Całą uwagę skupimy na racjonalizacji człowieka, która jest ściśle związana z racjonalizacją procesu produkcji. Zadanie polega tu na doborze i przystosowaniu ludzi, jak dobiera i przystosowuje się materiał i narzędzia. Jest to jedyny wypadek w całej praktyce przemysłowej, gdy przedmiotem najbardziej sumiennej troskliwości staje się dusza ludzka i jedyny także, gdy prawa, odpowiadające obowiązkowi, są uznawane a nawet uszanowane. Żaden psychiatra nie obchodzi się z pacjentem tak życzliwie i czule, jak racjonalizator człowieka w przemyśle²⁾. Ale w motywach postępowania tych dwóch jest analogia, która stanowi istotę rzeczy: psychiatra stara się wyizolować w pacjencie chorą część duszy, racjonalizator — zbyteczną. I gdy psychiatra poddaje chorą duszę zabiegom, które ją mają pogodzić z losem, racjonalizator ma wobec zdrowej duszy zupełnie takie same zamiary.

„Dusza zbyteczna”, oto wróg i mit racjonalizatora. Nie powinniśmy zapominać, że ideałem cywilizacji technicznej jest już nie tylko maszyna automatyczna, ale przemysł automatyczny. Jako zjawisko kulturalne, ideał ten tłumaczy się próbą wyjścia z pułapki, w jakiej zamknęła człowieka technika. Służąc przez tysiąclecia walce człowieka z losem, technika przekształciła się w okresie swojej autonomizacji w nowy los, o wiele bardziej okrutny, niż ten, który miała zwalczać. Będąc zrazu narzędziem wyzwolenia się człowieka od tyranii, technika stała się w końcu sama tyranem. Broniąc się przed tą nową tyranią, człowiek próbuje ją izolować i zrobić z tyraną — sługę posłusznego i użytecznego. Nie może jednak osiągnąć swego celu, nie poddając się tej tyranii... chwilowo.

Zapominamy coraz częściej, że dusza jest produktem wzajemnego ścierania się świata wewnętrznego i zewnętrznego, to zna-

2) W wielu fabrykach amerykańskich istnieje „councillor” (doradca), rodzaj spowiednika, przed którym robotnik, nie mogący przystosować się psychicznie do swojej funkcji, ma możliwość wynętrzyć się nie kępując się niczym, bo doradca jest związany rodzajem tajemnicy spowiedzi. Doradca zwykle mileży i nawet nie daje żadnych rad, których pacjent też zwykle nie oczekuje, bo w toku „spowiedzi” sam je znajduje. Doradca jest po prostu uważnym i współczującym słuchaczem. Ułatwia on dialog wewnętrzny robotnika, odgrywając rolę partnera dialogu, którego robotnik sam nie umiałby sobie wyobrazić. Metoda ta podobno działa cuda.

1) Georges Friedmann, *Où va le travail humain ?* Gallimard, 1950.

czy, że nie jest ona tylko reprezentantem instynktów czy przetwórczą bodźców zewnętrznych. Równie przywiązana do ducha, eo do natury — choruje, gdy równowaga między duchem a naturą zostaje naruszona. Formy, jakie przybiera wymiana usług w społeczeństwie zorganizowanym, nadają temu ścieraniu się życia wewnętrznego i zewnętrznego, którego terenem jest dusza, charakter emulacji duchowej, tj. walki o prymat duchowy. Rezultatem tej walki jest z jednej strony kształt duszy czyli osobowość, a z drugiej forma współżycia ludzkiego czyli hierarchia społeczna. Niezbędnym warunkiem pozytywnego wyniku tej walki, tj. ustalenia się osobowości i ładu społecznego (a nie ich zniszczenia lub uniemożliwienia) jest, by ta wojna nie kończyła się bezwarunkową kapitulacją, ale pokojem negocjowanym. Wychowawcą nie jest niczym innym, jak próbą przekształcenia solipsyzmu, właściwego naturze ludzkiej, w czynnik kooperacji. Delikatność tego zadania polega na trosce, by energię, która stanowi o zaborczości jednostki, skanalizować, ale by jej nie niszczyć. Słowem, chodzi o to, by dążenie do hegemonii z a s p o k o i ć w autonomii, a więc by człowiek stał się w rezultacie dobrowolnym reprezentantem hierarchii społecznej na terenie swojej osobowości.

Psychiatra nie jest wychowawcą, jest mechanikiem, który naprawia zepsuty mechanizm równowagi wewnętrznej. Nie dba o to, jaki t y p osobowości uzyska w wyniku swych zabiegów, bo cały jego wysiłek skierowany jest na przywrócenie warunków, w których proces kształtowania się osobowości mógłby być kontynuowany (bo proces ten nie kończy się przed śmiercią, trwa nawet w obłądnie, tj. na ruinie równowagi wewnętrznej). Tu zaczynają się różnice między psychiatrą a racjonalizatorem. Psychiatra godzi chorą duszę z losem c z ł o w i e k a — racjonalizator godzi duszę z losem p r o d u c e n t a i k o n s u m e n t a w cywilizacji przemysłowej. Racjonalizator jest nie tylko mechanikiem (naprawiającym nb. mechanizm, który sam zepsuł!), ale także wychowawcą. Jego właściwym przedmiotem jest właśnie t y p osobowości.

6.

Racjonalizacja jest wyraźnie etapem przejściowym w rozwoju przemysłu. Burzy ona rzemiosła na rzecz specjalizacji, ale równocześnie przygotowuje odbudowę rzemiosł w maszynach automatycznych. Człowiekowi jako producentowi pozostanie wówczas już tylko rola nadzorczy i mechanika-naprawiacza maszyn. Cała problematyka racjonalizacji jest więc problematyką okresu przejściowego. Ten sam charakter mają związane z nią cierpienia, troski i obawy. Cała trudność polega na tym, by przez ten okres przejściowy przebrnąć, nie zapominając o celu, do którego się dążyło.

Jest to trudność ogromna. Największe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że zatrzymamy się na etapie racjonalizacji i zrobi-

my z tego paliatywu zasadę konstytutywną naszej kultury. Niebezpieczeństwo to ma dwa źródła: pełna racjonalizacja zakłada shierarchizowaną i bardzo sztywną strukturę społeczną, w której człowiek nie p e ł n i funkcji, ale nią j e s t . By funkcjonować sprawnie, struktura ta nie może być tymczasowa. Drugie źródło wypływa z pierwszego: racjonalizacja wymaga osobowości zwichniętych, tj. preponderancji funkcji nad osobowością. Jest to równocześnie problem czasu i energii. W pracy człowiek nie może być niczym innym, jak funkcją, skoro jest tylko częścią niezupełnie jeszcze zautomatyzowanej maszyny. Funkcja ta polega właśnie na tym, aby maszynie pół-automatycznej zapewnić takie działanie, jakby była całkowicie automatyczna. Wysiłek polega na zamrożeniu całej reszty osobowości na czas pracy. Simone Weil³⁾ określiła to jako pragnienie pozostawienia duszy w garderobie wraz z ubraniem cywilnym. Niestety, duszy nie można zostawić w garderobie i w ogóle nie można się od niej oddzielić. Odpowiedzią na tę trudność ma być z jednej strony selekcja, bo zapewne istnieją ludzie o osobowości dostatecznie ciasnej, by ich nie kaleczyła praca zautomatyzowana, a z drugiej strony skrócenie czasu pracy (które na razie jest i zapewne na długo pozostanie mrzonką — z powodów ekonomicznych i politycznych, w które nie możemy tu wchodzić). Ale tu pojawia się problem energii. Wysiłek trzymania duszy z dala od zabójczego działania „funkcji” pochłania znaczną część energii, jaka byłaby potrzebna, by osobowość mogła się po pracy z r e k o n s t r u o w a ć .

To są problemy, które racjonalizatorzy i krytycy racjonalizacji dostrzegają. Wynika z nich jednak problem, który i jedni i drudzy systematycznie pomijają. Jest to główny problem moralny cywilizacji technicznej, a moralność nie ma tu, niestety, nic z fochów wielkopańskich czy krnąbrności niegrzecznego dziecka. Redukowanie człowieka do funkcji jest zadawaniem gwałtu osobowości. Można się zgodzić, że istnieje pewna liczba niewolników urodzonych (ale czy tradycyjne ideały, których nie przestajemy głosić, pozwolą nam tolerować ten stan rzeczy?), można też założyć, że „towarzyski” charakter współpracy grupowej, przy taśmie np., zadowala potrzeby których nie zadowala sama praca. Ale nie należy się łudzić — jak to się dzieje nagminnie — że świadomość miejsca, jakie szczegółowa funkcja zajmuje w całości procesu produkcyjnego, a ta w całości gospodarki, a ta w całości cywilizacji i kultury zastąpi naturalną potrzebę prawdziwego udziału w tej produkcji, w tej gospodarce, w tej cywilizacji i kulturze. Nie należy też łudzić się — jak to znów dzieje się nagminnie — że zajęcia ponadobowiązkowe, owe „loisirs” (dopolavoro, Kraft durch Freude) czy „hobbies”, choćby rozbudowane w taki sposób, że sam Michał Anioł mógłby robotowi pozazdrościć wa-

3) Simone Weil, *La condition ouvrière*, Gallimard, 1951.

runków twórczości, dadzą człowiekowi owo zadowolenie, jakiego odmawia mu praca.

Uświadomienie niewolnikowi jego statusu niewolnika, choćby z pozorami demokratycznego udziału w decyzjach, które ten status umożliwiają i utrzymują, nie uczyni z niewolnika człowieka wolnego. A twórczość choćby najbardziej nieskrępowana, ale której przedmiotem nie będzie los, z ryzykiem i odpowiedzialnością, które są od walki z losem nieodłączne — zjadana będzie przez robaka zwątpienia, który toczy wszystkie prace, pozbawione sensu. Grzechem pierworodnym cywilizacji technicznej jest jej oderwanie się od osobowości. Osobowość może utrzymać się tylko w walce z losem. Gdy cywilizacja zajmuje miejsce losu, osobowość może istnieć tylko w walce z nią. Zadna z dotychczasowych cywilizacji nie wymaga takiego stopnia uległości, jak cywilizacja techniczna. Czy możemy zbudować ją na oporze? Oto najgłębszy dylemat naszych czasów, rzekomo przejściowych.

7.

Problem człowieka w przemyśle jest problemem stosunku techniki do osobowości. Stawia nas on wobec dylematu: albo zachowamy tradycyjne pojęcie osobowości i wtedy musimy zrezygnować z dobrodziejstw techniki — albo będziemy kontynuowali budowę cywilizacji technicznej i wtedy musimy zmodyfikować nasze pojęcie osobowości. Amerykanie i Rosjanie zdecydowali się na to drugie. Europejczycy, rozumiejąc, że zniszczenie cywilizacji technicznej jest niemożliwe, wahają się i wahać to wyraża się w poszukiwaniu kompromisu. Czy kompromis taki jest możliwy, tj. czy Ameryka i Rosja, poświęcając tradycję nowości, dały entuzjastom pierwszeństwo przed rozwagą?

Gdyby pytanie to dotyczyło tylko form, jakie powinno przybrać niewolnictwo przemysłowe i gdyby odpowiedź nie przesądzała także o kulturze, jaka może być na tym fundamencie zbudowana, moglibyśmy rozwiązanie tego problemu pozostawić biegowi czasu. Niestety, alternatywa ta ma znaczenie jak najbardziej zasadnicze, żywotne i praktyczne. Od stanowiska, jakie zajmujemy w tej sprawie, zależy nie tylko przyszłość ekonomiczna, ale także przyszłość kulturalna i polityczna świata.

Nie podejmując się rozstrzygnięcia tej kwestii, spróbujemy przynajmniej określić jej warunki i implikacje. Autorzy, na których tu się opieramy — Simone Weil i Georges Friedmann — zgodnie uważają produktywizm i racjonalizację za konieczność. Oboje rozumieją, że tendencje te modyfikują pojęcie obywatela, tj. że pozostawione samym sobie musiałyby zburzyć demokrację. Oboje sądzą, że zmiana musi ulec przede wszystkim stosunek robotnika do pracy. Robotnik wykonuje ją dziś pod przymusem. Reforma powinna zmierzać do tego, by wykonywał ją z poczuciem spełniania misji. W tym celu musi rozumieć jej sens. Simone Weil przypuszcza, że wystarczy mu ten sens us-

wiadomić, Georges Friedmann sądzi raczej, że praca przemysłowa nie ma dziś sensu i że należy go jej nadać.

Dwa czynniki sprawiają, że praca robotnika przemysłowego jest dziś męczarnią: jej niezrozumiałość i jej monotonia. Robotnik wie, że bez pracy zginie i w tym tkwi jedyny dostrzegalny dla niego sens pracy. Monotonia pracy sprawia, że myśl robotnika obraca się w ciasnym kole zainteresowań, którym poświęca swój czas wolny od pracy. Fakt, że „tak już pozostanie zawsze”, wywołany malejącymi stałe szansami awansu społecznego, zamienia los robotnika w koszmar. Jedyną formę ucieczki stanowi wyścig pracy, który jednak nie ma w sobie nic sportowego, bo nie jest bezinteresowny: jego celem jest premia, to znaczy nieznaczne podniesienie standardu życiowego. Mechanizm ekonomiczny zamienia zresztą ten wyścig pracy w szyfowy trud: co jakiś czas trzeba zaczynać od zera. Inną formą ucieczki jest nadzieja na rewolucję, która jednak pogłębia tylko koszmar.

Dopóki sens pracy będzie tkwił w niej samej, tj. dopóki robotnik będzie pracował tylko, by móc pracować dalej i dopóki monotonia pracy będzie zabijała życie wewnętrzne, grozić nam będą wszystkie niebezpieczeństwa, przed jakimi ostrzegają nas krytycy cywilizacji przemysłowej. Ta praca niewolnicza wytwarza bowiem całą nadbudowę społeczną, która nie jest wcale sferą wolności, umożliwioną przez tę podbudowę, ale komplikującym się nieustannie aparatem kontroli i niczym więcej. Produktywizm i racjonalizacja — czyli, krótko, technicyzm — jest siłą, która zwolna ale nieuchronnie eliminuje ze struktury społecznej i z kultury wszystko, co nie jest funkcją techniczną.

Friedmann opisuje niektóre z tych procesów, ale brak miejsca nie pozwala nam zatrzymać się nad tym. Lecz myślenie techniczne przestało dziś być monopolem inżynierów. Technicznie myślą dziś ekonomiści, a ich śladem idą coraz śmielej politycy. Technicyzm polityki jest może najmniej widoczny — jego istnienie wydaje nam się oczywiste tylko w Rosji — ale tu czekają nas niewątpliwie największe niespodzianki.

8.

Co może pracy nadać sens i jak można ją pozbawić monotoni — oto główne pytanie. Simone Weil daje odpowiedź najdalej idącą: nie potrzeba pracy nadawać sensu, wystarczy go z niej wydobyć, a co do monotonii, to wystarczy przemienić ją w kontemplację. Weil sądzi, że pewna ilość reform, wcale nie głębokich i nie naruszających organizacji przemysłu, ale opartych na potraktowaniu robotnika jako człowieka dobrej woli, pozwoli przemienić personel fabryki czy atelier w gminę. Monotonia natomiast jest dla Simone Weil tylko skutkiem błędnego nastawienia intelektualnego: robotnik nie powinien odrywać swej myśli od maszyny, choćby praca jego nie wymagała

skupienia, ale powinien maszynę... kontemplować. Brzmi to niemal śmiesznie i nie bardzo zgadza się z obserwacjami samej Weil, które nauczyły ją, że tempo pracy przy maszynie zmusza do niezwykłej koncentracji uwagi i nie pozwala „już nie tylko myśleć, ale nawet marzyć”. Koncepcja ta nie jest też przekonująca, chociaż taka forma mistyki da się pomyśleć. Droga do tego celu wydaje się Weil spopularyzowanie geometrii. Nie możemy się jednak nad tym zatrzymać.

O wiele bardziej realistyczne — przynajmniej na pozór — są pomysły Friedmanna. Sądzi on, że praca przemysłowa może nabrać sensu tylko, gdy przewrót społeczny uczyni z ofiary wyzysku współtwórcę rzeczywistości społecznej i gospodarczej. Problem monotonii może być rozwiązany jedynie przez zupełną automatyzację i przez skrócenie czasu pracy. Osobowość robotnika, nie zaangażowana w pracę, znajdzie swoje pole ekspansji w czasie wolnym od pracy. Stworzenie mu tej możliwości powinno być jedną z głównych trosk państwa. Przykład Rosji nie wydaje się Friedmannowi odstraszający.

Słowem, Weil rozumie, że sedno sprawy tkwi w osobowości robotnika, którą trzeba uratować i sądzi, że w tym celu wystarczy reforma zwyczajów i obyczajów fabrycznych. Jej koncepcja jest jednak w gruncie rzeczy o wiele bardziej rewolucyjna, niż nawet friedmannowska koncepcja przewrotu społecznego. Dla Simone Weil istotne są przemiany człowieka, dla Friedmanna przemiany warunków. Weil nie łączy się co do tendencji technicyzmu: człowiek powinien stworzyć sobie obronę przeciw nim, przywracając współżyciu jego charakter organiczny, a życiu wewnętrznemu jego charakter religijny. Friedmann uważa za możliwe zachowanie osobowości z jej tradycyjnymi ideałami pod warunkiem wyciągnięcia z rozwoju technicznego wszystkich konsekwencji, tj. doprowadzenia go do końca i oddania go w służbę człowieka przez reformy polityczne i społeczne.

Obie koncepcje stanowią więc kompromis, bo pragną zachować zarówno osobowość, jak i związane z nią ideały polityczne, a więc przede wszystkim demokrację, jak i cywilizację techniczną i płynące z niej dobrodziejstwa. Czyżby więc wybór, jakiego rzekomo dokonały Ameryka i Rosja był fikcją? Mutatis mutandis, Ameryka realizuje koncepcję weilowską, a Rosja friedmannowską. Rozbudowując aparat psychotechniczny, Amerykanie starają się przede wszystkim przystosować człowieka do techniki; zmieniając strukturę społeczną, Rosjanie próbują dostosować technikę do człowieka. Oczywiście, różnice rzucają się w oczy. Amerykanie nie dążą ani do przemiany personelu fabrycznego w gminę, ani do przemiany robotnika w mnicha, a Rosjanie dalecy są od uszanowania w obywatelu sowieckim osobowości w sensie europejskim i od chęci zapewnienia mu praw demokratycznych. W obu wypadkach idea przewodnią jest produktywizm, a narzędziem inżynieria społeczna. Reformy amerykańskie i rosyjskie są odgórne, dyktowane troską o całość, której części powinny być podporządkowane. Projekty Weil

i Friedmanna są reformami oddolnymi, dla których całość jest funkcją części, a nie na odwrót.

Simone Weil poprzestaje na sformułowaniu swoich postulatów i przyznaje, że nie wie, jak należy zabrać się do realizacji. Liczy na inicjatywę robotników i zdaje się wyobrażać sobie, że nowy ład społeczny powstanie w atelier, jak chrześcijaństwo powstało w palestyńskiej wsi rybackiej. Friedmann nie jest bynajmniej komunistą i nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do zorganizowanej akcji rewolucyjnej. Wiąże swoje nadzieje raczej z reformą systemu wychowania, która stworzyłaby kompromis między zwalczającymi się dziś tendencjami technicystycznymi i humanistycznymi. Jego jedynym projektem jest kongres francuskich wychowawców. Ani Weil ani Friedmann nie wzmocnią w nas wiary w kompromis.

9.

Wybór między tradycyjnym pojęciem osobowości i związaną z nią strukturą społeczną a technicyzmem i technokracją — jest fikcyjny. Nie mamy wyboru. Poszukiwanie kompromisu jest objawem dezorientacji, w jaką popadła Europa, zepchnięta w cień przez Rosję i Amerykę. Poszukując kompromisu, myśl europejska wlecze się w ogonie historii. Nie tędy droga na czoło ruchu, który wyprowadzi nas z dylematu cywilizacji przemysłowej. Zarówno Weil jak i Friedmann poszukują sposobów uratowania demokracji przed technokracją, poświęcając siłę, którą żywi się demokracja: osobowość jako rezultat walki z losem i scharmonizowania ducha z naturą. Dla obojga, dusza ludzka w technokracji musi być oderwana od losu, izolowana od niego i właśnie „uwolniona” od konieczności walki z nim. Istotą demokracji jest samostanowienie i niczym nie można go zastąpić.

Simone Weil przyjmuje w gruncie rzeczy rozwiązanie amerykańskie, które polega na przystosowaniu człowieka do techniki. Obie jej poprawki, tzn. zastąpienie anonimowej organizacji technokratycznej przez demokratyczny ustrój gminny i wypełnienie pustki, jaką w duszy pozostawia preponderacja funkcji, medytacją religijną — nie są rozwiązaniem trudności i mają zaledwie charakter pobożnych życzeń. Technokracja usypia człowieka i usiłuje zamienić ten sen w błogostan, stwarzając mu różnymi zabiegami warunki trwałości. Gdyby projekty Weil wziąć na serio, tzn. gdyby np. Amerykanie poczuli się zmuszeni je przyjąć — demokracja gminna stałaby się tak samo sposobem zamaskowania hierarchii technokratycznej, w której wszystkie rzeczywiste decyzje pobierane są w biurach studiów i planowania u szczytu piramidy, jak medytacja religijna stałaby się sposobem zamaskowania pustki, wytworzonej w duszy przez preponderancję funkcji. A zamaskowanie, nawiasem mówiąc, nie jest przewyciężeniem, co rozwiązania te czyni fikcjami. Toteż jest mało prawdopodobne, by projekty te, noszące na sobie wyraźne piętno europejskiej idiosynkrazji, stały się

w Ameryce kiedykolwiek aktualne. Można tu przewidywać rozwój w kierunku narkotyków moralnych i duchowych zupełnie innego rodzaju. Amerykański przemysł rozrywkowy i mistycyzm, jaki rozwija się w łonie amerykańskiej psychologii, dają o tej ewolucji dosyć dokładne wyobrażenie. Nie pójdzie ona w kierunku europejskich nostalgii.

Co do Friedmanna, to przyjmuje on w gruncie rzeczy rozwiązanie rosyjskie, ale i on robi poprawki w duchu europejskiej idiosynkrazji. Komunizm jednak nie jest i nie może być formą demokracji. Może i musi on pozorować swoją technokratyczną hierarchię frazeologią demokratyczną, ale żaden sowiet fabryczny czy kolchoźny nie ma wpływu na losy fabryki czy kolchozu. Wszystkie jego uchwały są powtórzeniem decyzji, jakie zapadły u szczytu piramidy, a ich realne znaczenie sprowadza się w najlepszym razie do tego, że ułatwiają górze wymuszenie posłuchu na średnich i niższych szczeblach hierarchii, które mają skłonność przeciwstawiania swego empiryzmu doktrynerstwu góry.

W Rosji zerwano jeszcze przed wojną z psychotechniką jako metodą selekcji i osławiania robotnika z jego funkcjami. Nie ma też w fabrykach rosyjskich „doradcy”. Psychotechnikę zastępuje groźba zesłania do obozów pracy przymusowej, a doradcę — politruk. Jest też złudzeniem przypuszczenie, że mit rajy komunistycznego pozwala robotnikowi rosyjskiemu czuć się rodzajem pioniera, który przez swoje obecne cierpienia przygotowuje swoim dzieciom wspaniałą przyszłość. Tę pociechę znajdował jeszcze do niedawna robotnik zachodnio-europejski; odkąd jednak Sowiety z bezwstydnym cynizmem zaczęły poświęcać interesy proletariatu molochowi rosyjskiej racji stanu, robotnik europejski stracił i tę pociechę. Robotnikowi amerykańskiemu wreszcie jest ona niepotrzebna. Jako współnik swego partnera kapitalistycznego w przywilejach, przypadających gospodarce amerykańskiej dzięki jej hegemonii w świecie zachodnim, dbać musi tylko o to, by przywileje te były dzielone sprawiedliwie. Amerykańskie związki zawodowe dobrze spełniają swój obowiązek w tym względzie.

10.

Jeżeli chodzi o Europę, lubimy zapominać o doświadczeniu technokratycznym, jakie zrobiła w bardzo niedawnej przeszłości. Trzecia Rzesza była znacznie bardziej „postępową” formą technokracji, niż Rosja czy Ameryka. Zawdzięczała ona tej swojej roli pionierskiej fascynację, jaką wywoływała np. w Stanach Zjednoczonych. Potrafiła też znaleźć formę kompromisu z tradycją kulturalną, która do tego stopnia odwróciła rzeczywisty porządek wartości, że zarówno Niemcom, jak i światu zewnętrznemu hitlerowska technokracja wydawała się skutkiem i narzędziem hitlerowskiej mitologii, a nie jej źródłem i przyczyną. Maskarada doszła tu niewątpliwie do perfekcji.

Fiasko tej próby przewyciężenia technokratycznego nihilizmu nie tkwi nawet w samej formie tego kompromisu, ale w okolicznościach historycznych i geopolitycznych, które sprawiły, że kompromis ten musiał przybrać formy militarystyczne i polityczne. Co prawda, gdy się obserwuje rozwój technokracji amerykańskiej i rosyjskiej, można zważyć, czy charakter militarystyczny i polityczny nie jest technokracji immanentny!

To świeże doświadczenie i jego apokaliptyczne fiasko musi z natury rzeczy wpływać hamująco na rozmach i inicjatywę myśli europejskiej w jej próbach rozwiązania przemysłowego dylematu. Wspomnienie to paraliżuje nas bardziej, niż bezbroność wobec Rosji i Ameryki. Jedno w każdym razie wydaje się pewne: dylemat technokracji nie może być rozwiązany przez próbę reformy czy naprawy jednego z dwóch pozostałych systemów tej formy ustroju, cywilizacji i kultury. W każdym razie nie tu tkwi misja Europy, a to z tego prostego powodu, że Europa nie tylko nie znalazła rozwiązania tego problemu, ale że — nawet gdyby je znalazła — nie miałaby możliwości narzucić go Rosji czy Ameryce.

Europa musi przede wszystkim wyzwolić się z hipnozy amerykańsko-rosyjskiej, w której trwa. Musi ona rozejrzeć się wokół siebie i myśleć kategoriami nie dyplomatycznymi ani politycznymi, ale cywilizacyjnymi i kulturalnymi, dokonać inwentaryzacji sił, które pozostały nietknięte przez technokratyczny obłęd. Geograficznie, siły te tkwią przede wszystkim w Azji, Afryce i pld. Ameryce. Troską Europejczyka nie powinien być ani neutralizm, ani Trzecie Mocarstwo, równie technokratyczne, co dwa pozostałe, ani wreszcie Jeden Świat rosyjski czy amerykański (z europejskimi „poprawkami”), ale nowa forma cywilizacji, która przewyciężyłaby technicyzm i technokrację, zatrzymując je w ich niepowstrzymanym pędzie ku katastrofie. Technika musi stać się służką pokornym dzieła, które byłoby godne człowieka, twórcy kultur, czyli harmonii między duchem a naturą. Europejczycy nie powinni poszukiwać ciepłego kącika, w którym mogliby spokojnie dogorywać, bo takiego ciepłego kącika nie ma na świecie. Ich zadaniem jest ratowanie duszy, która ginie w szaleństwie ducha i deprawacji natury.

Jan ULATOWSKI

Abstrakcja i “nieprzedmiotowość”

Mam dla Jana Ulatowskiego duże uznanie jako dla samodzielnego myśliciela i świetnego publicyście. Jego artykuł o „Wystawach Paryskich” w grudniowym numerze „Kultury” zaimponował mi nie tylko głębokimi i oryginalnymi spostrzeżeniami, ale również umiejętnością, z jaką powiązał sprawozdania z różnych tendencją i poziomem wystaw w logiczną całość stawiającą problem sztuki poprzez problemy poszczególnych malarzy. Na marginesie artykułu Ulatowskiego zanotowałem kilka uwag, które chciałbym rozszerzyć, bynajmniej nie w charakterze „polemicznym”, ale dlatego że jego jasne i inteligentne sformułowania na temat „sztuki abstrakcyjnej” ułatwiły mi uporządkowanie mego własnego stanowiska do „abstrakcji” w malarstwie.

Oto kilka cytat, które przypomną czytelnikowi sąd Ulatowskiego o malarstwie abstrakcyjnym, sąd z którego wynika końcowy wniosek artykułu że „sztuce abstrakcyjnej wciąż jeszcze nie oddajemy sprawiedliwości”:

„Każde dotknięcie pędzla, każde zestawienie plam a nawet plamek, każde przeprowadzenie linii lub położenie kreski jest (w malarstwie abstrakcyjnym) stworzeniem (lub zniszczeniem!) środowiska, w którym powstają związki pełne znaczenia. Artysta, który manipuluje tymi prostymi elementami, równocześnie porusza i porządkuje w sobie uczucia i myśli...”

„Plamy, linie, formy i masy mają — jak słowa w poezji — dźwięk, rytm i znaczenie. Znaczenie zupełnie nie praktyczne, bardziej konkretne, bo zmysłowe i bardziej abstrakcyjne, bo oderwane od techniki porozumiewania się, kierowania czynnościami etc. Ale ta wolność jest odkrywaniem nowej konieczności, która z kolei stwarza i gwarantuje nową wolność...”

„Malarz — abstrakcjonista jest poetą i muzykiem i poszukiwaczem prawd najtrudniejszych, pewnych (bo tymi prawdami nie konwencjami żyjemy, to one kierują naszymi sądami, reakcjami i czynami; są one przekonaniami a nie opiniami), ale niedostępnych dla naszych narzędzi sformułowania...”

Zanim przejdziemy do dyskusji, ustalmy terminologię. Nie lubię określenia „malarstwo abstrakcyjne” w odniesieniu do malarstwa, które świadomie zerwało wszelki związek z przedmiotem, naturą i światem zewnętrznym, gdyż określenie to jest nieściśle i doprowadza do wielu nieporozumień. Sztuka jest zawsze „abstrakcyjna”: jedyne dziedziny naprawdę konkretne, to

przyroda i historia. Dla określenia tego „nie-przedmiotowego” malarstwa wolę termin francuski „peinture non-figurative”, lub angielski „non-objective painting”. Sam Ulatowski pada zresztą ofiarą tego nieporozumienia, kiedy mówi że „Czapki jest abstrakcjonistą”, gdyż w portrecie Daniela Halévy „Czapki wyrażał same abstrakcje: mądrość, pokorę, szlachetność swego modela, a także swoją własną cześć i miłość dla nich”. W tym sensie każdy prawdziwy malarz jest oczywiście abstrakcjonistą, nawet najbardziej zapamiętali „realiści”: „Pstrąg Courbeta jest dla mnie „pra-rybą”, abstrakcją „rybności”, czy „istnienia — jako — ryba”, o wiele bardziej niż jakakolwiek ryba Braque’a; mała martwa natura Chardina — bochen chleba i butelka wina — jest jednym z najbardziej „religijnych” obrazów, abstrakcją „ofiary”. Wprowadzenie takiego rozróżnienia uprzytomniło by nam, że ani Picasso ani Braque nie są malarzami „nie-przedmiotowymi” jak Mondrian, Kandinsky, czy Żyw.

Mówmy jednak dalej, za Ulatowskim, o „malarstwie abstrakcyjnym” w sensie „nieprzedmiotowości”. Entuzjazm Ulatowskiego dla tego malarstwa wydaje mi się entuzjazmem czysto intelektualnym, opartym znowu na nieporozumieniu. Ulatowski („malarz abstrakcjonista jest poszukiwaczem prawd najtrudniejszych”) wydaje się traktować malarstwo jako autentyczne narzędzie poznania. Otóż malarstwo, przekładając rzeczywistość zewnętrzną czy wewnętrzną na język kształtów i kolorów siłą rzeczy operuje wyłącznie *symbolami*, nie odkrywa nam żadnych „prawd”, może nam tylko dać pewną *poetycką* wizję świata, której pozbawiło nas stępione, wyblakłe, powszednie spojrzenie. Poprzez malarstwo widzimy często świat po raz pierwszy; malarstwo może nam dać wizję „archotypów” drzemających na dnie naszej psyche, może być przewodnikiem w poszukiwaniu jądra własnej osobowości; malarstwo może wreszcie czasem dać tę niemal mistyczną iskrę, będącą formą autentycznego istnienia, zatrzymującą falę czasu, która unosi niezliczone i bezwartościowe wcielenia naszego „ja”. Taką właśnie wizją była dla Prousta żółta ściana Vermeera. Wszędzie działać będzie symbol; i nie widzę daczego rozdrobnienie, rozatomizowanie symbolu, zapożyczenie wizji soczewkom muchy czy nietoperza ma dać symbol prawdziwszy czy głębszy niż operowanie elementami świata na miarę ludzką, wizją ludzkiego oka (jakkolwiek „zdeformowaną” przez indywidualną wizję artysty). Jest natomiast dość zrozumiałe, że sztuka abstrakcyjna pociąga abstrakcyjnego intelektualistę, który lubi czyste konstrukcje umysłowe, który z pogardą czy niechęcią patrzy na konkretne formy życia. Krytyk tego typu łatwo może podstawić pod dzieło takiego czy owego abstrakcyjnego malarza swe własne abstrakcyjne intelektualne konstrukcje. Jednym z dziwnych współczesnych paradoksów jest, że reżimy totalitarne prześladowały dotychczas wszelkie formy sztuki abstrakcyjnej: a przecież jest to właśnie forma plastyczna, która powinna im naj-

bardziej odpowiadać przez eliminację człowieka, przez odmowę kultury, przez element „techniczny” i konstrukcyjny.

Słyszmy nieraz, że sztuka abstrakcyjna posiada ścisły związek z postępami jakichś dokonana nowoczesna nauka. Malarz abstrakcyjny ma nas rzekomo zbliżać do świata, w którym winny ulec zmianie nasze pojęcia o czasie i przestrzeni, do świata, którym rządzi prawa prawdopodobieństwa, nieciągłości i uzupełnienia. Znowu naiwne nieporozumienie: nauka zna jedynie estetykę piękną czystych liczb, których (podobnie jak mistycznej świadomości) nie ma się żaden symbol. Malarstwo jest siłą płaszczyzny płótna, soczewki ludzkiego oka, ograniczone do „ludzkiej klatki” i jedynie „forma dziwnego rachunku” na tablicy za cybernetykiem Wienerem mogła dokonać w wyobraźni Ulatowskiego zestawienia z Giacomettim: symbol symbolu (z których drugi — grafika cyfr — czysto użyteczny i przypadkowy...) Problem ten jest zresztą związany z innym: malarstwa i fotografii. Od dawna kursuje banalne twierdzenie, że fotografia „zastąpiła” malarstwo w dziele odtworzenia natury i zarzuca się pewnym malarzom „realizm fotograficzny”. Ulatowski cytuje tu zdanie Braque'a „je n'inite pas la nature — je la recommence” i zaleca każdemu malarzowi, aby zabierał się do malowania z tą *intencją*: „Artysta, który nie może się zdobyć na to poczucie, powinien używać palety do siadania na niej w czasie niedzielnych wycieczek do Robinson”. Ani Dürer, ani Michał Anioł, ani Leonardo nie mieli „tego poczucia”. Dürer pisze o tym jak niedościgną w swej doskonałości jest natura. Michał Anioł: „A mio avviso pittura eccellente e divina e proprio quella che piu si avvicina ed imita l'opera di Dio Immortale”. Leonardo: „Natura Divina Maestra...” *Świadomość*, że się naturę „zaczyna od nowa”; nie daje stylu tylko *stylizację*. W rzeczy samej: czy wobec stylu Dürera, Michała Anioła, Leonarda pełen dobrego smaku świat Braque'a nie wydaje się stylizacją?

Wydaje mi się, że jest inna dziedzina, w której fotografia i film wiodą bezsporny prym i że właśnie z tej dziedziny czerpią elementy plastyczne pewni malarze abstrakcyjni: jest to dziedzina świata mikroskopijnego, przezroczystego i subtelnego świata bakterii i innych żyłatek i na przeciwnym końcu makrokosmos mgławic i zjawisk astronomicznych. Ale o ile fotografia i film oddają nam właśnie piękno „konkretne”, konieczne, jedyne tych zjawisk, abstrakcyjny malarz sprowadza je do rzędu przypadkowych elementów pozbawionych przez to samo znaczenia. Świat ludzki (czy to będzie człowiek, czy przyroda, czy mity, czy przedmioty, które człowiek stworzył i które go otaczają) mają w sobie po wieczne czasy ładunek poetycki, który malarz może wydobyć, odkryć nam na nowo, odrodzić głębiej i mniej przypadkowo niż to zrobi fotograf. To właśnie dziedzina kalejdoskopu, uroku czystej formy wydaje mi się dziedziną fotografa.

Malarstwo abstrakcyjne wkracza świadomym uporządko-

waniem form w dziedzinę, którą nazwałbym „alfabetem przyrody”, i która wzrusza mnie tylko w „naturalnym” stanie. Zgadzam się oczywiście z Ulatowskim, że plamy, formy, linie i masy mają swoją wymowę. Augur rzymski czyta przyszłość z nerwu zwierzęcej wątroby. Na „Andrzejkę” lejemy ołów w wodę: rzeźby Giacomettiego nie osiągną kapryśnej *niechybności* tych kształtów. „I King”, najstarsza księga chińska opiera „wróżbiarstwo” na kształcie liści paproci (na zasadzie filozofii „jednoczesności” przeciw naszej przyczynowości — wizji świata „poziomej” przeciw naszej pionowej i historycznej). Forma w przyrodzie jest chyba tylko pozornie przypadkowa i nieraz pozwala nam odkryć pewne prawdy (czy złudzenia prawd?). Każdy chyba ma w pamięci tego rodzaju zjawiska, czy subiektywne doświadczenia (a jeśli nie ma, to wątpię, żeby mógł cokolwiek „zobaczyć” w malarstwie abstrakcyjnym). Wyliczę kilka z nich, dość przypadkowo, z mych własnych przeżyć:

— W dzieciennym pokoju tapeta przedstawia bukieciki róż. Mogę te bukieciki *zmusić* do trzech desenii: olbrzym ludożerca polyka królową; słoń wita się z papugą; mapa bezładnej wyspy z „oazami”.

— Pociąg wolno przejeżdża przez zamuloną przestrzeń podczas odpływu morza. Muł jest pokryty cieniutką skorupą, którą łamają albatrosy pozostawiając ślady stóp. Te ślady ptasie na zielono brunatnej płaszczyźnie i błyszczące w słońcu są dla mnie jakby „rewelacją przedpotopowego świata”.

— Dział mineralogii Musée Cuvier w Paryżu. Skamieniałe pnie drzew o tajemniczych, złowrogich słojach. Przekroje minerałów, subtelniejsze od Klee. Kubizm (i piękno!) formacji siarczanych. Mineral zwany „paysagite”, którego przekroje w XIX wieku oprawiano w ramy, tak fantastyczne dają profile miast, gór, wysp.

— Omszałe mury, omszałe kamienie, zaciekle sufity i ściany (pewien mur różowy, zielony i żółty w Gaecie, stojący samotnie na zbombardowanym placu).

— Zdemolowany po wojnie blok domów w Londynie. Na przylegającym murze pozostałego w całości bloku — ślady kominów, czarne na czerwonym tle.

Czyż zresztą sami abstrakcyjni malarze nie oddają hołdu tej „niechybności” przyrody, uzależniając — jak Klee — *swoją* obraz (przez siebie położone formy i kolory) od formacji płótna — jego uziarnienia i linii?

Jakże złudna jest nieomyślność pewnych abstrakcjonistów! Mondrian wpisuje w duży biały kwadrat mniejszy kwadrat o innym odcieniu białości. Na temat „stosunku białości” tego obrazu pisze się studia... I oto po kilkunastu latach obraz żółknieje, „nieomyślnie wartości” zmieniają się całkowicie. Unicestwiony jest sam cel obrazu, można go właściwie wyrzucić na śmietnik. Tymczasem wisi wciąż na reprezentacyjnym miejscu w nowojorskim Museum of Modern Art i sprowadza się go do Paryża na wystawę „Arcydzieł XX wieku”!

Stało się obecnie zwyczajem (do tego stopnia „oddaje się sztuce abstrakcyjnej sprawiedliwość”) doszukiwanie się elementów czysto formalnych, abstrakcyjnych w dziele wielkich malarzy przeszłości. Nie tylko Ucello liniami proporców, czy Piero della Francesca równowagą płaszczyzn mają rzekomo być „prekursorami” abstrakcjonizmu, ale nawet Vermeer zapowiada... Braque'a. Przypomina mi to system komunistyczny, w którym Iwan Groźny i Dostojewski, Szekspir i Balzac są „prekursorami” komunizmu. Oczywiście równowaga form, gra linii, czy płaszczyzn zawsze odgrywała i zawsze będzie odgrywać rolę w malarstwie. Ale Ucello to nie Kandinsky — to Bitwa. Piero della Francesca — to wspaniale wstrzemięźliwe, antyretoryczne oddanie *ludzkiego* dramatu. Vermeer — to w historii *człowieka* chwila równowagi, spokoju, przejrzystości powietrza. Nie — malarstwo abstrakcyjne nie tkwi korzeniami w malarstwie, a w dekoracji. Źródła jego są egzotyczne i leżą w odsakralizowanej magii, w dywanie, w ceramice.

I tak jak ceramika, dywan i dekoracja mogą nas uwodzić subtelną bogactwem kolorów, wrażliwością motywów lub odrzucać wulgarnością, brakiem gustu czy po prostu brzydotą, tak samo są dobrzy lub źli malarze abstrakcyjni. I ja jestem czuły na wrażliwość Żywa, o której pisze Ulatowski, mnie również czarują jego subtelne wariacje koloru i formy. Tylko, że nie mogę w obrazach tych widzieć „poszukiwania prawdy” i z melancholią myślę, że Żyw w oparciu o naturę mógłby być polskim Vuillardem. Malarstwo abstrakcyjne często mnie czaruje i bawi. Myślę, że kiedy przejdzie ono do historii sztuki (bo kiedyś znajdzie się jakieś dziecko z andersenowskiej bajki i zawoła głośno, że „król jest nagi”), malarstwo abstrakcyjne zajmie należne sobie miejsce w galerii malarstwach „curiosów”. Nie jest to zresztą galeria do pogardzenia — jest w niej ekscentryk Arcimboldi, który w XVI wieku malował imaginacyjne portrety z mozaiki warzyw i kwiatów; są flamandzi z pejzażami, które (jak w gazetkach dla dzieci) „ukrywają” postacie i twarze złożone z pólwyspów i drzew; jest nawet Holbein, który w „Ambasadorach” maluje kość słoniową, która pod pewnym kątem widzenia staje się czaszką; portret Edwarda VI z National Portrait Gallery, który trzeba oglądać przez lupę; prze-zabawne osiągnięcia włoskich jezuitów XVIII wieku, którzy bawili się perspektywą (jak obraz, który widziany przez różne otwory w „camera oscura” staje się raz to krajobrazem, raz to portretem, raz to aktem).

Skoro jesteśmy przy historii malarstwa, chciałbym jeden zarzut postawić Ulatowskiemu. Pisze on:

„...musi być w sztuce coś obiektywnego. Trudno np. wyobrazić sobie malarstwo dla daltoników, (czy nie daltonistów?), choć przyznaje, że istnieją malarze liczący głównie np. na sodomitów, onanistów czy nekrofilów. Ale Michał Anioł umiał swoją sodomię przezwyciężyć czymś co przemawia także do ludzi normalnych. I to w nim samym ważyło bardziej!”

Co do Michała Anioła — zgoda. Jest on rzeczywiście artystą uniwersalnym. Ale żądanie od każdego malarza, aby był artystą uniwersalnym wydaje mi się co najmniej niebezpieczne. Przypominają mi się tu świetne ustępy z „Ferdydurke” Gombrowicza i nie oprę się pokusie zacytowania ich, choć odnoszą się do pisarzy, nie do malarzy:

„Każdy kto piórem wodzi po papierze mieni się artystą i z tej racji czuje się pokrewny duchom wyjątkowym, jak Szekspir i Goethe — powtarza za nimi, nie bacząc, że słowa ich są w jego ustach jak śpiew słowicy w dziobie wróbla... Zagubieni w mgławicowych ogólnikach, teoriach i innych koncepcjach, produkowanych bez chwili wytchnienia przez tysiące esteto-filozoficznych koncepcistów, zatraciliście zbawienne wyczucie realiów i błędnie upatrujecie rzeczywistość waszego arcyzmu tam, gdzie jej wcale nie ma, to zaś co stanowi istotny sens waszych poczynań, skłonni jesteście uznać za nieprzyjemny dodatek”.

Iluż malarzy podziwiamy dziś po upływie wieków, mimo że nie mieli pretensji do „uniwersalizmu” — a może właśnie dlatego.

„Uniwersalizm” — włóczęgostwo i huliganeria Magnasca?

„Uniwersalizm” — wenecka plotka Longhiego czy Domenico Tiepoła?

„Uniwersalizm” — zaciszna cywilizacja wygodnego fotela i naftowej lampy Vuillarda?

Lub nawet z dziedziny, która gorszy Ulatowskiego: pedestastia Aubrey Beardsley'a, nekrofilia Urs Grafa czy onanizm Fuseliego?

A jednak Vuillard, Magnasco, Longhi, Aubrey Beardsley, Urs Graf, Fuseli pozostaną, gdy nie będzie już nikt pamiętał nie tylko o Van Haardtzie i Palazuelo, ale o Juan Gris i Joan Miró.

Mimo twierdzenia Ulatowskiego, że nie oddajemy jeszcze sprawiedliwości sztuce abstrakcyjnej, abstrakcja panuje dziś niemal niepodzielnie w krytyce, w galeriach sztuki, w muzeach sztuki nowoczesnej. Poparta inwestycjami handlarzy, ezoterycznym żargonem krytyki, snobizmem ludzi, którzy i tak obrazów nie widzą, staje się lepem miernoty i beztalencja (przynajmniej Ulatowskiemu, że zwraca uwagę na to niebezpieczeństwo). Abstrakcja staje się dziś nowym akademizmem, groźniejszym może niż akademizm XIX wieku, gdyż reakcja przeciw niemu piętnowana jest jako „wsteczność”. Wydaje mi się, że jest to związane z charakterystycznymi cechami naszej epoki, z niwelacją indywidualizmu, z technokracją, z ogólnym odwrotem od człowieka. Być może że epoka ta znaczy koniec malarstwa, przynajmniej malarstwa sztalugowego. Ale nawet gdyby tak było, w innej przyszłej epoce odrodzi się z pewnością ten duch ludzki, ten głód poezji i prawdy, który wydał „Męczycznę z rekawiczką” Tycjana, „Małżeństwo Arnolfini” Van Eycka, „Burrę” Giorgione czy „Śmierć Procris” Piero di Cosimo.

Agonia sowieckiej historiografii

Od dwóch dziesiątków lat historiografia sowiecka grzęźnie w coraz głębszym kryzysie. Historie następują jedna po drugiej — tak, jakby jakiś koszmarny palacz podpalał pierwszy tom nowej Historii ostatnim tomem poprzedniej. Historycy pojawiają się, giną, znów wypływają na powierzchnię, a po wielu ginie raz na zawsze wszelki ślad.

Początkowo tylko historię Partii poddano sztywnym, surowym przepisom. Następnie jednak pod te przepisy podciągnięto historię Związku sowieckiego. Ostatnio zasadę „dyktowanej historii i dyktowanych wniosków” rozciągnięto na Amerykę i Azję, oraz przestrzenie antarktydy. W wymiarze czasu zasadą powyższą objęto dzieje średniowiecza, Bizancjum, mroczne początki Słowian, zaranie państwa Kijowskiego i... najwcześniejsze początki kultury chińskiej. Dane stwierdzenie faktów, czy ocena historyczna jednego dnia są powszechnie obowiązujące, a następnego dnia te same stwierdzenia i opinie zostają potępione w słowach, które wróżą zagładę historykowi, który dotąd był jedynie wierny oficjalnym instrukcjom. Jeżeli owe instrukcje wyszły od samego Stalina dany historyk tym surowiej musi potępić samego siebie, oczywiście nie włączając osoby wodza w treść swej samo-krytyki.

Często wydarzenia, czy główne postacie historyczne danego okresu stają się „nie-osobami”, jak w orwellowskiej powieści „1984”. I tak historia okresu wojny domowej musi być na nowo napisana i tak ujęta, jakby nigdy nie istniał komisarz wojny nazwiskiem Lew Trocki. Teatr sowiecki, który stanowił niegdyś temat jakże licznych opracowań historycznych — dziś jest „bezhistoryczny” i będzie „bezhistoryczny” tak długo, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto zdoła skomponować historię teatru rosyjskiego bez wielkiego twórcy, reżysera i dyrektora V. Meierholda.

W dniu 15 lutego 1951 r., „Prawda” ogłosiła artykuł celem uczczenia dziesiątej rocznicy 18-go Kongresu Partii, na którym głównym sprawozdawcą był Woznesenski. W cytowanym artykule „Prawdy” nie wymieniono nawet jego nazwiska.

Dziś lud Balkaru zniknął z tomu „B” nowego wydania wielkiej sowieckiej encyklopedii. Niemcy nadwołżańscy zniknęli również. Krymskich Tatarów wygnano z ich odwiecznych siedzib i przesiedlono w okolice koła podbiegunowego. Nazwy ich prastarych miejsc zamieszkania wykorzystania się z pamięci ludzkiej, a historyczną rolę Tatarów na Krymie zredukowano do punktu, od którego wiedzie droga do stopniowego narodowego unicestwienia.

W czasie ubiegłej wiosny nawet przedmioty w pewnych wypadkach poczęły stawać się „nie-przedmiotami”. W okresie między lutym a majem ub. r., zarówno „Prawda” jak i prasa prowincjonalna roily się od wiadomości o gruntownych czystkach przeprowadzanych w licznych muzeach ludowych, na przestrzeni od Litwy po Kazachstan. Kierowników muzeów litewskich zgromiono za to, że nie zdołali zilustrować wpływów wielkorosyjskiej kultury, oraz wykazać, iż Litwini dążyli i tęsknili do... utraty niepodległości. Muzea kazachstańskie potępiono za nostalgiczny przepych kazachskich sztyletów, strzelb i rzędów końskich, za barwność kostiumów ludowych i przede wszystkim za brak eksponatów, które podkreślałyby wpływy wielkorosyjskie i uwypuklały „postęp” spowodowany zaborem Kazachstanu.

Trzeba by wielu tomów, by opisać ów nieustanny proces cofania się w przeszłość w celu przerehabrowania historii. Niemiejszy artykuł ma dać Czytelnikowi tylko pewną ideę o wymiarach tej „Operacji Fałszu”. Będę usiłował doszukać się jakiejś „linii”, albo raczej fragmentów sprzecznych linii, które widoczne są w poszczególnych sowieckich rewizjach historii.

Historia stała się narzędziem wojennym i bronią propagandy. Jej zasadniczym zadaniem jest usprawiedliwić zmiany polityki sowieckiej przez dostarczenie odpowiednich „faktów” i „dokumentów” przeszłości. Owa mania, która każe władcom Kremla po każdej zmianie w polityce zagranicznej czy wewnętrznej — przerabiać historię, dla obserwatora z zewnątrz spełnia rolę wielkiego, choć zniekształcającego, szkła poprzez które widać jednak w powiększeniu zmiany w polityce sowieckiej. I z tych względów „Woprosy Istorii” są dziś niewątpliwie najbardziej interesującą i pouczającą współczesną publikacją sowiecką.

II

Macaulay wyraził się raz, że dla niego prawdziwym piekłem byłoby, gdyby przez wieczność musiał słuchać szatanów błędnie cytujących fakty historyczne, podczas gdy on nie miałby możliwości prostować tych błędów.

W Sowietach jest o tyle gorzej, że nie kto inny, lecz sam historyk musi błędnie cytować historię. O jego prywatny pogląd nikt się go nie pyta.

Za czasów carskich można było wśród historyków łatwo odróżnić liberałów i demokratów jak np. Płatonow; konserwa-

tystów i monarchistów jak np. Howajskij, lub marksistów jak np. Pokrowskij. Lecz w państwie totalnego absolutyzmu historia, wraz z całą kulturą, zostały upaństwowione. Nie ma ani indywidualnych punktów widzenia, ani prywatnych opinii.

Tarł — specjalista epoki napoleońskiej — otrzymał rozkaz przerobienia swojego głównego dzieła w ten sposób by „wynikało” niezbitcie, że Napoelon sam spalił Moskwę. Liberalno-demokratyczny Wipper, który w pierwszych latach bieżącego stulecia pisał o Iwanie Groźnym — otrzymał polecenie doprowadzenia swego dzieła z r. 1922 do chwili bieżącej z uwzględnieniem gloryfikacji „bohatera” dramatu.

A oto co pisze S. V. Utechin:

„Na podstawie moich własnych doświadczeń jako studenta moskiewskiego uniwersytetu w latach 1939 — 41 wiem, że nieżyjący dziś profesorowie K. V. Baziliewicz, i S.V. Bahruszkin mieli negatywny stosunek do obecnego sowieckiego reżimu. A jednak w publikowanych przez nich pracach nie znajdziemy nawet śladu choćby najmniejszego odchylenia od oficjalnej linii stalinowskiej. Okazuje się więc, że osobiste poglądy autorów nie muszą być zbieżne z poglądami wyrażonymi w ich dziełach. W rzeczywistości, osobiste poglądy autorów mogą być sprzeczne z opiniami wyrażonymi w ich książkach. Te bowiem nie odzwierciedlają politycznych tendencji autorów a jedynie... zrozumienie założeń linii Partii”. (Soviet Studies, Tom IV, Nr 1).

Ponieważ proces przededagowywania historii objął najdalej zakątki ziemi i najwcześniejsze dziejowe wydarzenia — nie ma już ani bezpiecznych ani neutralnych tematów. Historyk sowiecki nie korzysta z prawa wyboru przedmiotu studiów, lub epoki, nie wolno mu również milczeć, choć na polecony temat nie może pisać zgodnie ze swoim przekonaniem.

Podobnie jak w świecie muzycznym krytyk polityczny z Politbiura dyktuje kompozytorowi na jaki temat i w jakim stylu ma komponować, tak samo traktowana jest historia. „Woprosy Istorii” jeżą się od gróźb i krytyk pod adresem historyków, którzy wybrali sobie oderwane, neutralne, lub ściśle ograniczone apolityczne tematy. Krytykuje się historyków za zaniedbywanie tematów, które w Planie historycznym na mocy instrukcji Partii otrzymały pierwszeństwo. Krytykuje się ich również za własne poglądy, względnie za nieumiejętność doszukania się w materiale historycznym tych wniosków i opinii, które zostały z góry narzucone dyrektywą Partii.

Jakże wiele mówi zarówno o niebezpieczeństwach związanych z działalnością na tym polu, jak i o prawdziwych nastrojach wśród historyków — fakt, że wbrew ponagleniom, wbrew kuszącym nagrodom i ponawianym groźbom, do tej pory nie znalazł się historyk, który by napisał choćby jeden tom, lub choćby jeden poważniejszy artykuł z zakresu historii Partii i reżimu. A przecież opracowanie tej historii polecił sam Stalin jeszcze w r. 1931 przy czym nakaz ten wielokrotnie powtarzał. Z jego polecenia to zagadnienie wysunięte zostało na czoło, przed wszystkimi innymi problemami w Pięcioletnim Planie dla So-

wieckich Historyków, zatwierdzonym w r. 1946. W piętnaście lat od chwili, gdy powyższe zadanie zostało przez dyktatora postawione, w „Woprosach Istorii” pojawiło się ostrzeżenie, iż nie wypełnienie rozkazu napisania poleconych dzieł stwarza całkowicie „nie dopuszczalną sytuację”. „Byłoby błędem” — dodają „Woprosy Istorii” — „szukać jakichś obiektywnych przyczyn dla wytłumaczenia tej sytuacji”.

To uporczywe milczenie, które nie zostało przerwane do tej chwili — stanowi najbardziej wymowną kartę współczesnej sowieckiej historiografii.

III

W latach dwudziestych rzeczywistym dyktatorem historiografii sowieckiej był M.N. Pokrowskij — nie polityk, lecz zawodowy historyk marksista. Reprezentował on konsekwentnie „generalną linię” („Historia jest polityką rzutowaną w przeszłość”) i utrudniał życie kolegom historykom, którzy nie chcieli przyjąć tej tezy. Lecz mimo wszystko Pokrowskij przestrzegał pewnych zawodowych zasad i miał pewien szacunek dla dokumentów, choć w pewnych okresach „szamotał się” z materiałem historycznym dość brutalnie, by wydobyć z niego to, czego szukał. Jako historyk cieszył się ogromnym uznaniem. Nie mać przyczynił się do tego fakt, iż przedmowę do jego „Krótkiej Historii Rosji” napisał sam Lenin. W przedmowie Lenin chwalił w gorących słowach książkę Pokrowskiego i zalecał ją jako podręcznik szkolny. Proponował również przełożenie jej na inne języki europejskie.

Lecz w 1931 r. nadmiernym szacunkiem Pokrowskiego dla historii Partii zainteresował się osobiście Stalin. W 1934 r. Pokrowskij został pośmiertnie objęty czystką. Miał szczęście i umarł w samą porę.

Mniej więcej w tym samym czasie podobny los czystki pośmiertnej spotkał Riazanowa wybitnego teoretyka marksizmu.

Pokrowskiego oskarżono o antynarodowe i antypatriotyczne nastawienie o pomijanie i lekceważenie w historycznych pracach wydarzeń, dat, faktów i osobistości na rzecz ogólnego socjologicznego schematyzmu (co uprzednio uważano za główną cechę marksistowskiej metodologii historycznej) — zarzucono mu nienaukowe podejście i antymarksistowski punkt widzenia i wreszcie, oskarżono go o niedocenianie Lenina i Stalina. Niedocenianie Stalina było bezwątpienia zarzutem prawdziwym i bezpośrednią, choć nie jedyną, przyczyną upadku Pokrowskiego.

Początkowo historycy sowieccy sądzili, że wszystko to oznacza narodziny „nowej linii”, która im da więcej swobody w badaniu materiałów źródłowych. Lecz życie nie układa się tak prosto. Choć Pokrowskij został potępiony za lekceważenie konkretnych faktów, to niemniej, „Woprosy Istorii” wystąpiły z ostrzeżeniem, że „prawdziwy historyk” musi być wolny od

„obiektywizmu” i od przesadnego przywiązywania wagi do faktów historycznych. Natomiast musi być biegły w cytowaniu i stosowaniu „teoretycznych uogólnień” dyktowanych linią Partii.

Obecnie nie było już prostej wyraźnej linii, jak za czasów Pokrowskiego. To co nastąpiło przyrównać można do bezustannego bombardowania odcinków różnych linii — linii, które zmieniały się ustawicznie i często były ze sobą sprzeczne. Historia nie ratował parasol z cytatów z Marksa, Engelsa czy Lenina — albowiem zacytować co powiedział wczoraj Stalin, dziś mogło być „talmudyzmem i scholastycyzmem”. Historyk w takiej sytuacji musiałby mieć dar jasnowidzenia i przewidzieć najbliższą wypowiedź Stalina, albowiem jego najświeższa wypowiedź jest zawsze ostatnim słowem Historii choćby temu ostatniemu słowu przeczyli Marks, Engels, Lenin i... dawniejsze wypowiedzi Stalina. Nagły zwrot w ustosunkowaniu się Stalina do Niemiec, Anglii czy Ameryki, powoduje w konsekwencji działanie wsteczne w tym sensie, że dzisiejszy wróg jest wrogiem absolutnym i choć wczoraj był sprzymierzeńcem, musiał zawsze być wrogiem. Wszystkie książki, artykuły, dokumenty — które świadczą, że było inaczej muszą być przeznaczane do orwellowskich „grobowców pamięci” na żer płomieni — względnie muszą być przereklamowane w ten sposób, by były zgodne z obowiązującą linią dnia. Oczywiście tego typu rewizja nie może wyjawiać faktu, że kiedykolwiek istniała inna, wcześniejsza relacja tych samych wydarzeń.

Lecz nie tylko zmiany w polityce zagranicznej, strategii, czy taktyce powodują ów rewizjonistyczny ruch wsteczny w historiografii sowieckiej. Ten sam proces powodowany bywa zmianą poglądów dyktatora na jego własny reżim, względnie jego własną rolę. Gdy dyktator zaczyna identyfikować się z jakąś postacią historyczną np. z Iwanem IV, lub z marszałkiem Kutuzowem, wówczas trzeba dokonywać odpowiedniej adaptacji danej postaci historycznej w ten sposób wyróżnionej. Oczywiście przy dokonywaniu tego rodzaju re-charakteryzacji, historykowi nie pomogą ani źródła ani dokumenty historyczne, lecz raczej podpatrzenie i „wywacanie” w dworacki sposób gustów i upodobań dyktatora — dyktatora, którego stosunek do Historii określa w pełni formuła Orwella: „Kto kontroluje teraźniejszość — kontroluje przeszłość”.

IV

Stalin wkroczył w dziedzinę historiografii poprzez historię Partii i historię swoją własną. W styczniu 1924 r., w tydzień po śmierci Lenina — wykorzystując okazję żałobnego wspomnienia, Stalin przesunął o cztery lata datę powstania jego znajomości z Leninem. (Por. moją książkę pt. „Three who made a Revolution”, str. 424-7). W owej chwili mogło się to wydać,

dość makabryczną w formie, ale ludzką w intencji chęcią przekształcenia przeszłości po myśli życzeń serca. Lecz jeżeli sobie uprzytomnimy, że właśnie w owym okresie Lenin domagał się usunięcia Stalina ze stanowiska generalnego sekretarza Partii i gdy się rozważy walki, w konsekwencji których Stalin awansował z „lojalnego ucznia” do „najlepszego ucznia”, a następnie poprzez „wiernego towarzysza broni” do rangi „mądrego przywódcy i doradcy” — to każdego musi uderzyć u Stalina pedantyczne zamięłowanie do szczegółów i obliczone na daleką metę planowanie w jego pierwszych retuszach historii.

Napoleon, Trocki, Tucydydes czy Ksenofont oddawali się pisarstwu historycznemu dopiero wówczas, gdy kłeski pozbawiły ich możliwości historycznego działania. Lecz Stalin uważał pisarstwo historyczne za jeden z środków w zdobywaniu władzy. I tu leży przyczyna, że „zgniły liberalizm” i „obiektywizm” miały się stać niebawem największymi zbrodniami w historiografii. Historia stała się w jego rękach jedną z broni w walce o dyktaturę i zakres rewizjonizmu historycznego Stalina zwiększał proporcjonalnie do rosnącego zasięgu swojej władzy.

A było wiele problemów oczekujących rewizji. W pierwszym rzędzie symbol rewolucji i reżimu — owa dwu-osobowa jedność: Lenin — Trocki. Góry gazet, książek, broszur, dokumentów, dekretów należało albo zniszczyć na miarę, albo opublikować na nowo w poprawionym wydaniu by Lenina — Trockiego zastąpiła nowa dwu-osobowa jedność: Lenin — Stalin.

Poza tym byli bliscy współpracownicy Lenina, „starzy bolszewicy”, okryci chwałą w okresie walki z Trockim — a następnie wytępieni. Trzeba było zatrzeć wszelki ślad ich prawdziwych czynów i stworzyć monstrualną legendę, która by usprawiedliwiała ich wymordowanie.

Z uwagi godną bezstronnością Stalin wykastrował zagraniczne i wewnętrzne materiały sprawozdawcze, przed-stalinowskie bolszewickie historie, stalinowskie historie pisane na zamówienie przez Knorina, Popowa i Jarosławskiego, odnośniki i komentarze w drugim i trzecim wydaniu dzieł Lenina, Wielką Encyklopedię i odnośne ustępy w listach, pismach i mowach zarówno Lenina jak i swoich własnych.

Istnieje ogromny zbiór korespondencji Lenin — Trocki w Harvard. Lecz ta korespondencja nie mogłaby nigdy pojawić się w druku w Związku sowieckim. Istnieje testament Lenina. Typowym przykładem „samo-cenzury” Stalina jest opuszczenie w jego „Dzielałach Zbiorowych” pochwalnego artykułu na cześć Trockiego, który z podpisem Stalina ukazał się w „Prawdzie” z dn. 6 listopada 1918 r. z okazji pierwszej rocznicy rewolucji.

Dla obcego obserwatora najważniejszym dokumentem, który Stalin wykreślił z odnośnego tomu swoich dzieł jest list napisany do Lenina w r. 1920. W liście tym Stalin skrytykował leninowskie „Tezy w sprawie narodowościowych i kolonialnych

zagadnień" ponieważ „tezy” te nie stwarzały form „przejściowych” dla wcielania nowych sowieckich republik jak „Sowieckie Niemcy, Węgry, Polska czy Rumunia”. Ponieważ te państwa nie wchodziły w skład b. cesarstwa rosyjskiego wskutek tego — zdaniem Stalina — mogłyby się opierać natychmiastowej aneksji do Związku Sowieckiego bez jakiegos stadiu przejściowego. Trzeba jednak powiedzieć, że owa, jakże wczesna, zapowiedź przyszłych „Demokracji Ludowych” figuruje w formie odnośnika do Tez Lenina w drugim i trzecim rosyjskim wydaniu jego „Dzieł”, Tom XXV, str. 624.

Autor niniejszego artykułu był w Moskwie w pierwszym półroczu 1929 r., kiedy pewnego dnia, na rozkaz z góry, wszystkie pisma sowieckie ukazały się z portretem Stalina na pierwszej stronie. To był wstęp do stalinowskiego kultu.

Początkowo wydawało się, że ów kult jest czysto racjonalny tzn. wyrozumowany. Usunąwszy Bucharina, ostatniego z bliskich towarzyszy Lenina, obecnie sam Stalin stać się miał symbolem „starego bolszewizmu”.

Lecz dziś, z wielu przyczyn sądzę, że ten kult zawiera również i irracjonalne pierwiastki. Po pierwsze — czystki, które pociągnęły za sobą aresztowania, egzekucje i degradację milionów ludzi do poziomu niewolników „łagiernych”. Ofiarą tej furii padli zarówno neutralni jak obojętni, niewinni, lojalni, warstwy urzędniczych, techników i wojskowych a więc ci wszyscy, którzy stanowią trzon władzy państwowej. Można w końcu przypuścić, że ten ślepy terror opierał się na zasadzie, która głosi, że „jeżeli chcesz przerazić wrogów — musisz zacząć od ścinania głów przyjacielom”. Dyktator w tak ludnym kraju może poświęcić kilka milionów ludzi w celu całkowitego zatomizowania społeczeństwa — tak, by każdy oddzielny atomobywatel zależał wyłącznie od władzy państwowej i nie mógł zaufać nikomu i niczemu. Lecz mimo wszystko trudno jest uwierzyć, że było konieczne poświęcić tyle milionów ludzi i aż do tego stopnia osłabić państwo.

Po drugie — trzeba pamiętać, że żądza ustawicznie wzrastających holdów i kadzidel jest u dyktatora nienasycona i niezaspakajalna. Żądza władzy i pokornego ślepego uwielbienia aż po punkt w którym... on staje się koryfuszem wszystkich sztuk i wszystkich nauk (z historią włącznie) obdarzany coraz obficiejszymi atrybutami żywego boga.

Po trzecie — na moją opinię o irracjonalizmie kultu stalinowskiego wpłynęło również nieoczekiwane odkrycie, którego dokonałem kartkując „Żiżń nacjonalnostej” (Życie narodowości) — organ Stalina, w okresie, gdy był komisarzem dla spraw narodowościowych. Otóż Stalin ex post wstawił dwie „przepowiednie” w jeden ze swoich ówczesnych artykułów, który następnie włączył do swoich Dzieł Zebranych. Poza tym dokonałem jeszcze innego bardziej zdumiewającego odkrycia. Mam na myśli artykuł w cytowanym powyżej organie, zatytuło-

wany „Pozdrowienia dla Towarzysza Stalina”. Oto tekst tych pozdrowień w nieco skróconej formie:

„Konferencja Sekcji Narodowościowej zasyła wam pozdrowienia i wyraża przekonanie, iż idąc drogą wskazaną przez was, towarzyszu, a zmierzając do rozwiązania problemów narodowościowych — stworzymy w świecie zjednoczoną braterską rodzinę komunistyczną, która nauczać będzie cenić wasze zasługi wodzu uciśnionych ludów”.

To jest początek owej powodzi pozdrowień (potok priewestii), które od tyłu lat zapełniają szpalty sowieckiej prasy. Pamiętajmy jednak, że owe „Pozdrowienia” ukazały się z datą 24 grudnia 1920 r.! Lenin żył i przywoził i przy ogólnej zgodzie Partii, Lenin był tym, który wskazał rozwiązanie problemu narodowościowego i oczywiście on, a nie kto inny, był „przywódcą uciskanych ludów”. W owym czasie Stalin miał przed sobą pięciu czy sześciu bliskich współpracowników Lenina, którzy w hierarchii partyjnej stali wyżej od niego. Tak oto żądza pochlebstwa i tęsknota by świat nauczył się cenić jego wielkie zasługi — wyprzedziły niemal o dziesięć lat późniejsze racjonalistyczne motywy stalinowskiego kultu.

W r. 1931 Stalin wystąpił ze swoją pierwszą inicjatywą w sprawie „ducha” nowej historiografii sowieckiej w liście otwartym do redaktorów „Proletarskaja Rewolucja”. W liście tym Stalin oskarżył redaktorów wspomnianego pisma o „zgnięty liberalizm”, ponieważ wydrukowali „artykuł dyskusyjny” na temat: dlaczego Lenin ustawicznie podziwiał Kautskiego i ortodoksyjną marksistowską większość niemieckiej Socjal-Demokracji, aż do chwili, gdy wstrząśnięty został ich stanowiskiem w wojnie 1914 r.

„Bolszewik” ogłosił otwarty list Stalina dodając od siebie redakcyjny komentarz zatytułowany: „Oprzyjmy studium historii naszej Partii na naukowych bolszewickich podstawach”. Zaatakowano przy tej okazji wszystkie wcześniejsze historie od Szljapnikowa zaczawszy a na Jarosławskim i Popowie skończywszy.

„Musi się przeprowadzić gruntowną czystkę” — pisał „Bolszewik” w cytowanym artykule — „we wszystkich książkach, podręcznikach i w literaturze publicystycznej, która zajmowała się historią naszej Partii. Musimy wzmóc bezwzględna walkę przeciwko wszelkim objawom zgniętego liberalizmu. Znaczenie listu Stalina znacznie przekracza swym zasięgiem dziedzinę historii... (Listopad 22, 1931).

Następną historiograficzną inicjatywą Stalina była jego aktywna „opieka” nad nową historią wojny domowej, z której musiał zniknąć wszelki ślad po Trockim. W historiografii sowieckiej Trocki może figurować wyłącznie w roli agenta wroga. Wreszcie Stalin przystąpił do dyktowania dyspozycji i szczegółów do „Historii Partii Komunistycznej — Kurs Skrócony”. W rezultacie „Prawda” z dn. 26 stycznia 1946 r. ujawniła, że autorem tego dziwaczного dzieła historycznych fałszerstw jest

sam Stalin i że praca ta stanowić będzie XV tom jego „Dzieł Zebranych”.

Lecz potężne imię dyktatora nie uchroniło stalinowskiego „Kursu Skróconego” od zemsty Historii. W pierwszym wydaniu tego dzieła napisał Stalin, że „Jeżow organizował bunt żołnierskie na froncie zachodnim na Białorusi”. Niebawem wyszło na jaw, że Jeżow w owych czasach miał zaledwie lat szesnaście a poza tym, że szef czystek musi sam ulec czystce.

Kurs Skrócony Historii Partii ukazuje się w coraz nowszych rewizjach i wydaniach, będąc największym i najnudniejszym „best-seller'em” w dziejach literatury świata.

Rewolucję Październikową Stalin szlifował i szlifował tak, że ostatnia wersja, która znajduje się w chronologii wydarzeń na końcu tomu, brzmi obecnie następująco:

24 Października (6, Listopada według zachodniego kalendarza) Lenin przyjechał wieczorem do Smolnego. Stalin informuje go o rozwoju sytuacji politycznej.

24-25 Października. Lenin i Stalin prowadzą październikową rewoltę.

Bez względu na to czy jest to racjonalne, w sensie racjonalizmu totalnego państwa i absolutnego władcy, czy też w tym wszystkim kryje się również irracjonalny pierwiastek — to w każdym wypadku jedno jest oczywiste: mamy przed sobą najbardziej zdumiewający przykład w historii człowieka, któremu powiodło się wymyślić samego siebie. By dokonać takiego dzieła nie dość jest sprytnej propagandy. Trzeba do tego totalnej organizacji i totalnej władzy jednoczącej w jednym ręku pióro i miecz.

Ponieważ tego typu metoda okazała się tak skuteczna w dziedzinie autobiografii i historii partii, zastosowano ją również do ogólnej historiografii.

V.

Z początkiem lat trzydziestych polityka Stalina zaczęła z wrastającą surowością określać charakter sowieckiej historiografii.

List Stalina z r. 1931 o „zgniłym liberalizmie”, jego krótkie dogmatycznie sformułowane uwagi na temat historii sowieckiej wypowiedziane w r. 1934, kolejna likwidacja dwóch historycznych periodyków, koszmar czystek — wszystko to przypominało natrętnie sowieckim historykom, że... „Stalin jest twórcą historycznej sowieckiej nauki”.

Jeżeli pominąć „Historię Partii Komunistycznej” to pisma historyczne Stalina, dyrektywy i ogramy „obiter dicta”, które służyć mają za drogowskazy sowieckim historykom — wszystko to w sumie nie dało by nawet jednego rozdziału. Z czegoż więc sowiecki historyk ma wynioskować czego właściwie od niego oczekują? I jak może obcy obserwator z zygzakowatej

linii historiografii sowieckiej wyłuskać prawdę o realnej polityce i zamiarach Kremla?

Koniec drugiej wojny światowej rzucił szczególnie wiele światła na te sprawy.

Dyktatura żeruje na wojnie a reżim totalny w czasie wojny żeruje na dwóch frontach — wewnętrznym, skierowanym przeciw własnemu narodowi i zewnętrznym przeciw obcemu narzeczycy. Dotąd reżim sowiecki wysuwał trojakiego typu przyczyny, które usprawiedliwiać miały wieczny, powszechny trud, móżól i okrucieństwa.

1. Było rzeczą konieczną zgnieść wroga wewnętrznego.
2. Było niemniej konieczne chronić kraj socjalizmu przed wrogim okrażeniem.
3. Wszystko usprawiedliwia fakt, że Związek Sowiecki buduje życie niewspółmiernie wspanialsze i szczęśliwsze niż to, jakim żyją inne narody.

Nagle nad tymi trzema argumentami pojawił się groźny znak zapytania, a reżim znalazł się w obliczu ostrego powszechnego kryzysu.

1. Wróg wewnętrzny oficjalnie został zlikwidowany w okresie czystek, kiedy ostatecznie proklamowano obalenie klas, ustanowienie socjalizmu i powszechną miłość do reżimu i wodza.

2. W dniu, w którym Hitler zaatakował Rosję runął mit jakoby Związek Sowiecki otoczony był zewsząd przez świat wrogów, w którym nie ma ani przyjaciół ani sojuszników. Churchill i Roosevelt zaapelowali do swych narodów, by wspomogli Związek Sowiecki. Narody Rosji odkryły nagle, że mają w świecie przyjaciół i sojuszników. Obywatele sowieccy w czasie uroczystości rocznicowych rewolucji październikowej w r. 1941 — usłyszeli z ust samego Stalina, że „Anglia i Stany Zjednoczone posiadają elementarne wolności demokratyczne... związki zawodowe... partie polityczne... parlamenty”. Równocześnie obywatele sowieccy zauważyli, że Kreml nawołuje ich do obrony ojczyzny i demokratycznych wolności a nie dyktatury. Z ufnością ludzie poczęli myśleć o przyszłości i wypatrywać świtu nowej ery.

3. Podobnie jak w r. 1813 tak i w czasie tej wojny — wielonarodowe armie rosyjskie przekroczyły granice Rosji i zetknęły się z obcym światem. Fikcyjny mit propagandy sowieckiej o rzekomym rajku wewnątrz ZSSR i nędzy zagranicą — rozsypan się w proch. Trzeba więc było albo złagodzić terror, albo stworzyć syntetycznie nowych wrogów i nową teorię o wyższości Związku Sowieckiego.

W pośrodku tego kryzysu zabrzmiał głos Stalina, który w przemówieniu do swoich „wyborców” podkreślił, że pojęcia wojny i kapitalizmu są nieodłączne i nierozdzielalne i wskutek tego należy utrzymać szturmowe tempo sowieckich zbrojeń, by być gotowym do przyszłych wojen. Żdanow oskarżył „najbardziej w świecie postępowe” muzykę, malarstwo, literaturę i filozofię o służalczość duchową w stosunku do zagranicy, o kosmopolityzm, o czołobitność w stosunku do Zacho-

du, o brak ducha partyjnego, o bezideowość. Równocześnie w Paryżu, Molotov odrzucił pomoc Planu Marshalla.

W czerwcu 1945 r. — dokładnie w miesiąc po zwycięstwie nad Niemcami — „Istoriczeskij Żurnał”, który oczywiście do tej pory szedł po linii „wielkiego sojuszu” został oficjalnie poinformowany, że nie wypełnia należycie swojego zadania, obniżył poziom historycznej wiedzy i w konsekwencji zostaje zlikwidowany. Na jego miejsce stworzono nowe pismo pt. „Woprosy Istorii” — Zagadnienia Historii. Owymi zagadnieniami, którym służyć miało nowe pismo był problem nawrotu do dawnych celów, metod i zbrojeń.

VI.

Pierwszym zadaniem było zmusić sowieckiego człowieka do zapomnienia niedawnych wielkich wydarzeń. Ludzie muszą zapomnieć, zepchnąć w niewysławialną podświadomość wspomnienie faktu, że ich wódz zawarł pakt z Hitlerem, pakt, który puścił w ruch piekielną maszynę drugiej wojny światowej. Ponieważ wódz popełnił jeden z największych błędów w historii — kult jego nieomyślności i mądrości musi być jeszcze większy i sięgnąć wyżej nie notowanych w dziejach.

Pomoc „Lend-Lease”, tytaniczny wspólny wysiłek i przyjazny uścisk z sojusznicznymi żołnierzami nad Elbą, Anglia walcząca dzielnie i samotnie w okresie paktu Stalin — Hitler — jakże wiele należało wymagać z pamięci, lub przemienić w negatyw, we wspomnienia o przeciwnym znaku.

A oto przykłady. Zbiorowo opracowana „Historia ZSSR”, pod redakcją Pankratowa w wydaniu z 1945 r. cytuje następującą wypowiedź Stalina o lądowaniu Sprzymierzonych w Normandii:

„Świetne osiągnięcie... Historia wojen nie zna podobnego przykładu akcji wojskowej o tak znakomitej celowości, fenomenalnej taktyce i mistrzowskim wykonaniu”.

W rok później wydanie z 1945 r. zastąpiono nowym, w którym powyżej cytowana wypowiedź Stalina ma już następujące brzmienie:

„6 czerwca 1944 r., Siły Sprzymierzonych dokonały lądowania na wybrzeżu północnej Francji”.

Najnowsza zatwierdzona książka, której autorem jest Szestakow (nagrodzony za podręcznik historii) — lądowanie w Normandii opisuje jak następuje:

„Anglia i Stany Zjednoczone w okresie trzech lat wojny opierały się wszelkimi sposobami otwarciu drugiego frontu... Dopiero, gdy po gigantycznych zwycięstwach armii czerwonej stało się jasne, że Związek Sowiecki mógłby sam pobić wroga, okupować Niemcy i oswozić całą zachodnią Europę łącznie z Francją... w czerwcu 1944 r. angielskie i amerykańskie siły działające z Anglii dokonały lądowania na wybrzeżu północnej Francji”.

Każda taka historyczna rewizja odbija się wielorakim echem i swą wibracją sięga daleko w przeszłość by zasadzie, iż „wróg obecny był zawsze wrogiem a nigdy przyjacielem” — stało się zadość. W szczególności wszelkie akty sojuszniczej przyjaźni muszą być obrócone w podłość i nienawiść.

Każda taka rewizja jest wynikiem różnorodnych zamierzeń i decyzji. Wersja, że Rosja samotnie wygrała wojnę przeciwko hitlerowsko - angielsko - amerykańsko - imperialistycznemu spiskowi, nieuchronnie prowadzi do kampanii nienawiści przeciwko Stanom Zjednoczonym. Lecz ta kampania ma znów cały szereg innych celów i zastosowań.

W chwili zakończenia wojny Rosja Sowiecka była jedyną wielką potęgą na eurazyjskim kontynencie. Stany Zjednoczone były jedyną przeszkodą na drodze sowieckiej ekspansji zarówno na Zachód jak i na Wschód. Ameryka usiłowała odbudować równowagę sił poprzez odbudowę Europy i — mniej zdecydowanie — usiłowała również zorganizować i odbudować wolną Azję. I tak Stany Zjednoczone coraz wydatniej zagradzały Sowietom drogę do podboju świata. Od złudzeń „wielkiego Sojuszu” przeszły do trzeźwiejszej polityki „powstrzymywania” — od polityki „containment” do polityki „obrony wolnego świata z pozycji siły” i w konsekwencji do wspólnej obrony Korei, która padła ofiarą agresji. Doktryna Trumana stanęła pomiędzy Rosją Sowiecką a Dardanelami — Plan Marshalla i Pakt Atlantyczny blokuje drogę do zachodniej Europy, a armie amerykańskie stanowią trzon Sił Zbrojnych Narodów Zjednoczonych, które bronią Korei.

Stopniowy rozwój powojennej polityki amerykańskiej zaczął budzić nadzieje wśród tych wszystkich, którzy tęsknią do dnia ostatecznego wyzwolenia. Stany Zjednoczone ofiarowały (nieco zbyt skąpo) schronienie zbiegłym spoza „żelaznej kurtyny” bojownikom wolności. A kiedy władze amerykańskie zdecydowały, że nie będą przymusowo repatriować tych, którzy zbiegli, względnie zostali wzięci do niewoli — tym samym obrwały politykę, która sprawia, iż armie sowieckie i satelickie stały się niepewne. W moim zrozumieniu decyzja nie repatriowania na drodze przymusu chińskich i północno-koreańskich jeńców wojennych — okaże się punktem zwrotnym w tym wielkim konflikcie między niewolnictwem a wolnością.

Wszystkie powyższe elementy polityczne są brane pod uwagę w kalkulacjach reżimu stalinowskiego, lecz żadna z tych spraw nie może być w Sowietach nazwana po imieniu. Trzeba zmobilizować słownik sowieckiej „nowo-mowy” (orwellowski „Newspeak”), zmobilizować „badania” i „dokumentacje” sowieckich historyków — by z każdego z powyższych elementów politycznych uczynić anty-tezę. Ta operacja zmierza ku temu, by koncepcję polityki amerykańskiej zamknąć w jednym słowie: nienawiść. Wystarczy przejrzeć listę książek zaleconych, względnie książek, które wyróżniono nagrodami stalinowskimi — wystarczy rzucić okiem na tytuły artykułów w „Wo-

prosach Istorii". Tylko te artykuły zozydżające Stany Zjednoczone spotykają się z krytyką, które, zdaniem recenzentów, czynią to w sposób niedostateczny.

VII.

Dziś nie ma dziedziny w historiografii sowieckiej, która nie podlegałaby owemu prawu rewizji „wstecznej”. Historia wczesnego średniowiecza musi być przeredagowana w ten sposób, by móc w chronologii cofnąć o trzysta do czterystu lat początki wielkiej rosyjskiej kultury i narodziny scentralizowanej władzy państwowej. Reżim sowiecki jest niezmiernie czuły na punkcie „scentralizowanej władzy”. To co demokratyczni i wczesnomarksistowscy historycy uważali za ciemnienie i niewolę — obecnie uważa się za „postępowe”. Iwan Groźny stał się bohaterskim i postępowym carem ponieważ powiększył terytorium Rosji, był twórcą „Opriuczyny”, którą to instytucję Stalin uznał za prekursora GPU — i dokonał centralizacji władzy monarszej i państwowej.

Sowieccy historycy muszą odkryć „wpływ Słowian na historię Bizancjum” i wykazać, że brutalni Turcy torturowali ludy bałkańskie przez setki lat. Fakt, że kongres bizantynologów w następnym roku planowany jest w Ankarze — wystarczy oczywiście do stwierdzenia, że będzie to impreza „amerykańskich imperialistów”.

Historie narodów bałkańskich, oraz innych „ludowych demokracji” są przeredagowywane w Sowieckiej Akademii Nauk w sekcji studiów słowiańskich. Bułgaria otrzymuje nowy historyczny profil. Niesłowiańska Albania „tęskniła poprzez stulecia do dnia wyzwolenia spod jarzma tureckiego i do więzów przyjaźni jakie obecnie łączą ją z Rosją”. Język rumuński „honoris causa” został uznany za język słowiański. Tito stał się zdrajcą wieczystym, który w r. 1941 służył równocześnie Hitlerowi i anglo-amerykańskiemu imperializmowi.

Dwie redakcje historii Czechosłowacji poszły na przemiał a ostatnia — datująca się zaledwie sprzed roku — jest już pod ostrzałem sowieckiej krytyki. Polscy historycy są dręczeni bezustannie. Oczywiście obowiązuje punkt widzenia, że polska kultura była zawsze pod decydującym wpływem kultury wielko-rosyjskiej, a nigdy pod wpływem Rzymu czy Zachodu. Wszelkie ślady wpływów kultury polskiej na rosyjską musi się albo wymazać z historii, albo zredukować wyłącznie do wpływów ujemnych.

„Woprosy Istorii” z 4. list. 1949 r., wystąpiły z następującym pouczeniem pod adresem polskich historyków:

„Zadaniem naukowo pojmowanej historii jest podawać fakty zgodnie z prawdą... i wykazać, że odpowiedzialność za wrogą w przeszłości politykę w stosunku do Rosji winić należy nie polski naród, lecz jego klasy rządzące. We wszystkich rozbiorach udział i część (przypadła) Rosji była w pełni usprawiedliwiona”.

Do „grobow pamięci” na wieczne zniszczenie przeznaczono wszystkie dzieła Marksa i Engelsa, w których jest mowa o groźbie rosyjskiego absolutyzmu, o imperialistycznej rosyjskiej ekspansji, o panslawizmie — względnie, gdzie cytowani autorzy oświadczają się za odbudową Polski „w jej granicach z 1772 r.” lub za niepodległością Gruzji.

Po 15 latach Stalin ogłosił swój zatajony artykuł z 1934 r., w którym skrytykował artykuł Engelsa pt. „O rosyjskiej polityce zagranicznej”.

Lecz marksizm ciągle jeszcze jest potrzebny jako ostentacyjnie niezmiennalna, filozoficzna opoka, na którą można się powołać motywując zmiany polityczne i dlatego właśnie owa cenzura pism Marksa i Engelsa pracuje w absolutnym milczeniu. Po objęciu pośmiertnie czystką Rjazanowa, żaden uczony marksista nie odważy się włączyć owych cenzurowanych artykułów do „dział zbiorowych” obu proroków¹⁾.

Obecnie, wielko-rosyjski nacjonalizm jest nierozzerwalnie stopyony z „sowieckim patriotyzmem”. Internacjonalizm jest towarem wyłącznie na eksport, a według definicji Stalina, jego istotę stanowi bezwarunkowa lojalność w stosunku do Rosji Sowieckiej. Przejawy internacjonalizmu wewnątrz ZSSR piętnowane są jako kosmopolityzm i serwilizm w stosunku do wszytkiego co obce. Jakikolwiek inny nacjonalizm niż rosyjski jest oczywiście nacjonalizmem burżuazyjnym.

Narody „autonomicznych republik” przeredagowują swoją historię — poddają rewizji poezję, przerabiają swoje legendy, pieśni i wspomnienia. Bohaterowie stają się „anty-bohaterami” — powstania przeciw carskim ciemnościelom do wczoraj czczone — dziś są wyklęte, podania i legendy stają się „anty-legendami”.

Pieśni i podania, które trwały pokoleniami, przekazywane z ust do ust i które stanowią narodowy skarbiec prymitywnych ludów — są rewidowane i przywracane „do autentycznej formy tekstowej”.

„Oczyszczanie pieśni epicznych („Manas”) powinno mieć charakter czysto naukowy i zasadniczy. Przy tym oczyszczaniu winno się brać pod uwagę wszystkie historyczne warunki narodu. To wymaga dokonania odpowiedniego wyboru wariantów, epizodów i pieśni — przy czym zasadą winno być zachowanie (w nowym wydaniu) najlepszych elementów przeszłości ludu Kirgizów”. („Literaturnaja Gazeta”, 27 maja, 1952).

Tak oto „wielka operacja przeredagowywania”, którą rozpoczął Stalin fałszowaniem współczesnej historii i swojej własnej historii w celu stworzenia dla siebie nowej przeszłości — przekroczyła granicę zarówno dawnej carskiej Rosji jak i nowe granice Sowieckiego Imperium. W wymiarze czasowym ope-

¹⁾ Te ocenzone materiały posłużą do wydania w Stanach, jeszcze tej jesieni, kompletnej książki pt. „Marks i Engels o rosyjskim niebezpieczeństwie”. Książkę przygotowują i redagują Blackstock i Heselitz.

racja ta sięga początków ludzkich dziejów. Jest to gigantyczna akcja — totalna w swym charakterze, jak totalne jest stalinowskie państwo. Lecz bezpośrednie cele tej operacji są łatwe do wskazania. Można je uszeregować w sposób następujący:

— Wzmocnić władzę państwa nad duszą i świadomością obywateli i tą drogą władzę państwa uczynić jeszcze doskonalej absolutną.

— Zwiększyć władzę wodza i utrwalić kult jego nieomyślności i wielkości poprzez utożsamianie jego osoby z postaciami wielkich carów, wodzów i wszystkich wielkich ludzi w dziedzinie ducha i czynu. Wzmocnić jego autorytet przez identyfikację osoby wodza z historyczną wizją ludów nad którymi panuje, albowiem fakt, że on jeden jest wszechwiedzący, wszechmocny, wszechkompetentny i nieomyślny stanowi punkt oparcia dla wszystkich dźwigni w totalnej organizacji.

— Zniszczyć u ludzi wszelki zmysł krytyczny, zniszczyć poczucie perspektywy historycznej — uniemożliwić sprawdzenie i porównanie systemu z zewnątrz w oparciu o obce, obiektywne źródła.

— „Usprawiedliwić” globalne ambicje i „wykazać” nieuchronność przyszłego światowego triumfu reżimu totalnego — co jednocześnie „usprawiedliwia” jeszcze dalsze pogłębianie totalizmu wewnątrz ZSSR.

— Wzmocnić centralizm moskiewski przez coraz większą rusyfikację i stalinizację zarówno „autonomicznych republik”, wchodzących w skład Związku Sowieckiego, jak i „demokracji ludowych” wchodzących w skład sowieckiego imperium.

— Wydrzeć wszelkie wspomnienia o koleżeństwie broni ze Sprzymierzonymi, oraz wytepić uczucie wszelkiej życzliwości i ludzkości zarówno w stosunku do narodów, które zostały wyznaczone jako najbliższe ofiary, jak i w stosunku do tych, którzy zostali wytypowani jako wrogowie na daleką metę.

— Przeciwdziałać poczuciu znużenia wojną oraz niekończącą się wewnętrzną walką gnębiącą naród, który od przeszło trzydziestu lat nie zaznał spokoju.

— Dostarczyć syntetycznie sfabrykowanej chwały narodowej, która by była namiastką niespełnionych obietnic rewolucji.

— Odwrócić uwagę sowieckich obywateli od podbitych i ujarzmionych narodów i od okrutnego losu zgotowanego im przez Sowiety. Odwrócić uwagę sowieckiego człowieka od przyjaznych i pełnych zachęty słów jakie płyną z zewnątrz z nietotalistycznego świata.

— Przygotować następne, kolejne strategiczne posunięcie wiodące do finalnego dalekofalowego celu, którym jest totalny podbój świata.

Na drodze analizy każdej nagłej rewizji historycznej czy zmiany można wywnioskować co będzie następnym taktycznym celem w polityce Kremla. Nie można tylko przewidzieć tempa rozwoju sytuacji, ponieważ w kalkulacje wchodzi obliczenia potencjałów i proporcji sił również poza obrębem Sowieców.

W każdym razie możemy wnioskować z gatunku tempa przemian w nowej sowieckiej historiografii, że nie będzie złagodzenia ani w „zimnej” ani w „niecałkiem zimnej” wojnie, którą reżim sowiecki prowadzi przeciwko narodom ZSSR, przeciwko sąsiadom, i przeciwko wszystkim ludom świata. Niekończąca się wojna nerwów, której „operacja przeredagowywania historii” jest jednym z charakterystycznych elementów — staje się coraz ostrzejsza a nie łagodniejsza — coraz bardziej bezcelna a nie coraz ostrożniejsza — coraz bardziej całkowita.

Dopóki gdziekolwiek w świecie istnieje choćby jedna kopia któregoś z dokumentów, które Stalin przeznaczył do „grobu pamięci” na wieczną niepamięć i zniszczenie — dopóki ostał się przy życiu choćby jeden historyk, który pisze i prowadzi badania w wolności, poza obrębem totalitarnego systemu — istnieć będzie zawsze niebezpieczeństwo, że historia świata, historia Rosji, historia Sowieców, historia Partii, historia Józefa Stalina zostaną zrekonstruowane. I w ten sposób Historia będąca upostaciowaniem ludzkiej pamięci i ludzkich sumień odrodzi się z popiołów własnych dzieł.

BERTRAM D. WOLFE

PREUVES

Revue Mensuelle

N° 22

Décembre 1952

(Textes de Carlo ANTONI, Wladimir WEIDLE
et Benedetto CROCE)

JEAN GUHENNO

Entretien avec de jeunes journalistes

JOAQUIN MAURIN

Le Quichottesque Unamuno

R. FUELOEP-MILLER

A la recherche des inédits de Dostoïevski

FR. BORKENAU

Où va Mao-Tsé-Tung ?

HUGH SETON-WATSON

Les Révolutions du XX^e Siècle

DANIEL MAYER

Chaim Weizmann

et le discours

d'ALBERT CAMUS

L'Espagne à l'UNESCO

PREUVES : 41, avenue Montaigne, Paris 8

Le N° de 80 p. ill. : 120 Frs — Spécimen gratuit sur demande

Poezje

Patrząc na chmury

*Słodko się muzie polskiej
 Pod swojską strzechą spało ;
 Nieczęsto daleki gość
 Zaścianka drzwi otwierał.
 Kanonierze Kostrowicki,
 Dziś ja zataczam działo !
 Wgarnąłem rzeki pod mój głos,
 Na moje rozkazy bateria !*

*Poeci, źle się bawicie,
 Ciągnać ojczyznę przez słomkę
 Z lazuru mieniących się szklenic.
 Afryka w czarnych dłoniach
 Zielone podnosi życie,
 I bunt jak denaturat
 Przepala serce ziemi.*

*Na grzywach stromych przyplływów
 Okrakiem dwaj korsarze,
 I drży nasz łód burzami osaczony.
 Powiązać w obóz cecorski
 Obląkane wolnością kraje !
 Arko Europy,
 Wiosłami gasimy o morze
 Nadlatujące gromy.*

Biały piach

*Noc sięgała do kolan,
 Głaskałaś czarne zwierzę.
 Panna z tamtej planety
 Lustrem nas szołomiła.
 Ptaki szły piórno po niebie
 I pierwszy gwiazdami śnieżył.
 Konicz nas niósł rozłożysty
 I świat się zza fali wychylał.*

*Okrągłe, ciepłe muszle
 Zbierałem z plaż twego ciała.
 Rękę lasiły zapachem
 Zatokom kradzione bursztyny.
 Przesypywał się biały piach
 I w nagą smugę składał
 Ciała tonące i krew,
 Powracającą do głębin.*

Wciąż młoda śniadość mowy

*Do dziś na jaworowej wiolonczeli
 Żywicznym smykiem ciąłem strofy ;
 Umiąłem nazłocić renetę
 I lot grzywacza wysnuć wiosną
 Z dębów ogołconych.*

Dalekosiężny zbuduj wiersz !

*Uniosłem usta na wysokość
 Uśmiechniętego człowieka.
 Oczy, naczynia połączone,
 Związały nas przymierzem.
 Zaciąłem wóz tysiącletni,
 Wiozę dożynki słońca.
 Bo żarna szumu czekają,
 Ciężaru czekają dzieże.*

Dalekosiężny zbuduj wiersz !

*Umacniam usta, zbroję milczeniem,
Choć rwą sfory zdań sobiepańskie.
I godzinami ważę natchnienie.
Kościółów nawy spuszcza z dłoni
Na morza chrześcijańskie.*

Dalekosiężny zbuduj wiersz!

*Oddech buduję, wyrzutnię pieśni,
Pod światło ciosam bijące poprady.
Ja zdrowie z polszczyzny wywodzę,
Jak z krągłej zimowli twej piersi
Trześnia wywodzi już kwiaty.*

*O, dobrodziejstwo piór niosących
Wciąż młodą śniadość mowy
Nad rynku śliski bełkot.
Spawacz,
Łączę dwie wargi polskiego wiersza.
Nad głową pęka snopami
Pióropusz błękitnych elektrod.*

Marian PANKOWSKI

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „KULTURY”)

„DEADLOCK”

Jedną z zasadniczych cech naszej epoki jest niezdecydowanie. Groźnym objawem owego niezdecydowania jest brak większości. Rządy demokratyczne czerpią siłę z poparcia większości. Brak zdecydowanej większości prowadzi do stanu, który w języku angielskim określa się mianem „deadlock” lub „stalemate”. Najbardziej zbliżonym polskim terminem byłoby określenie „na martwym punkcie”.

Ale dlaczego nie ma większości, dlaczego panuje ów „deadlock?” To nie tylko politycy są niezdecydowani — to my wszyscy na Zachodzie jesteśmy niezdecydowani i nie wiemy co odpowiedzieć na problem sowiecki i na przepołowienie naszej planety.

Na Zachodzie i w Ameryce jeszcze ciągle pokutuje wiara, że polityka, czyli odpowiedź na ów podstawowy problem naszej epoki — wyskoczy jak Minerwa z głowy Jowisza ze starć koncepcji partyjnych, że odpowiedź ta — jak zawsze dotąd — wkluje się w formie kompromisu, który ujmie w „złoty środek” sprzeczne poglądy. Lecz ta metoda — dawniej tak celowa — tym razem zawodzi, ponieważ nie ma dwóch obozów — powiedzmy — jednych za wojną a drugich przeciwko wojnie — tylko w rzeczywistości obie strony nie mają żadnej koncepcji i obie strony są niezdecydowane.

Byłoby rzeczą niezmiernie pouczającą zebrać i wydać w jednym zbiorowym tomie wypowiedzi na temat problemu sowieckiego wybitnych jednostek, które mają wpływ na kształtowanie się opinii na Zachodzie. Od Eisenhowera po Bevana — od Bertranda Russella po Sartre'a. Okazało by się wówczas, że wszyscy zgodni są tylko w jednym a mianowicie, iż nie należy dopu-

ścić do wojny. Okazało by się również, że problem przepołowionego świata widziany od strony Zachodu — jest całkowicie bezpłodny.

Istnieją książki o Sowietach, istnieją studia polityczne i ekonomiczne ale nie ma powieści, nie ma literackich prób sformułowania pozytywnego rozwiązania problemu przepołowionego świata. Istnieje literatura apokaliptyczna, która odmalowuje grozę kataklizmu, jak Orwella „1984”, ale dzieła te nie sugerują żadnych pozytywnych rozwiązań.

Ktoś może powie, że nie jest zadaniem literatury redagowanie politycznych recept? Ale przecież tu nie chodzi o politykę. Chodzi dosłownie o wszystko. Chodzi m. in. i o samą literaturę, która w sowieckiej połowie świata karleje, jałowuje i gaśnie.

Jest rzeczą oczywistą dla każdego, że obecny stan i system światowy nie mogą trwać. Więc co należy zrobić? To „co” nudzi, nudzi ale nie zapładnia.

Wielu pisarzy i intelektualistów Zachodu dba o połysek lewicowości i drży na myśl, że mógłby ich ktoś posądzić o sympatie dla „reakcyjnego wulgaryzmu” Ameryki. Wielu na dnie duszy chowa jeszcze nadzieję, że przecież światło nadejdzie ze... Wschodu i dziś nie czas jeszcze palić za sobą mosty. To wszyscy ci, którzy sowieckiej rewolucji nie mają nic do zarzucenia prócz... stalinizmu. Tych ostatnich jest znacznie więcej na Zachodzie niż się przypuszcza. Marszałek Tito jest przede wszystkim żołnierzem i dowódcą a nie międzynarodowym marksologiem. Gdyby jednak na jego miejscu był polityk tej miary co Trocki — na Zachodzie istniałby dziś komunistyczne partie anty-stalinowskie, które przyciągałyby jak magnes ex-stalinowców i wahlowych, lewicowych intelektualistów. Reformacja w ortodoksyjnym „kościółce” komunizmu byłaby się powiodła — brakło jej jednak Lutra.

Inną grupę stanowią wyznawcy pseudo-objektywizmu, który w praktyce sprowadza się do mętniactwa „trzeciego miejsca”. Twórca pojęcia i terminu „literatury zaangażowanej” Jean P. Sartre w swym szkicu o odpowiedzialności pisarza przestrzega przed potępianiem przemocy a priori i podkreśla, że godną potępienia jest tylko przemoc bezużyteczna jak zlynczowanie Murzyna w Ameryce, natomiast przymusowe przesiedlenie miliona ludzi w Rosji jest wprawdzie przemocą, ale równocześnie i środkiem wiodącym do celu. W następnym zdaniu autor zastrzega się jednak, że nie jest jego intencją obrona jednego z powyższych punktów widzenia przeciwko drugiemu.

Nawet Bertrand Russel, który okazał się najbardziej trzeźwym w ocenach Sowietów na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, nie może się wyzbyć owej „objektywnej” pozy obserwatora z innej planety. W swych „Niepopularnych Szkicach” pisze m. in., że, „...światowe imperium czy to w wydaniu sowieckim czy amerykańskim jest bardziej pożądane niż trwanie obecnej międzynarodowej anarchii”. — Wprawdzie następnie na wielu stronach tłumaczy dlaczego lepsze byłoby imperium światowe w wydaniu amerykańskim, to niemniej, czytelnik zostaje pod

wrażeniem, że właściwie jest już tak źle, iż nic gorszego nie może nam zagrażać, ponieważ na daleką metę nawet... światowy sowiecki łagier byłby lepszy niż obecna anarchia.

Pewne koła intelektualne na Zachodzie doprowadziły do całkowitego nonsensu słuszną zasadę liberalizmu o „suspended judgment”. Zasada ta głosi, że należy wstrzymać się od wypowiedzenia opinii we wszystkich sprawach, w których nie ma dostatecznych dowodów, że jest tak, lub inaczej. Produktem liberalnej filozofii anglosaskiej jest również zasada „balanced view”, która sprowadza się w praktyce do „audi alteram partem”. Obie zasady wiodą do kompromisu, który — używając modnego określenia instrumentalistów — reprezentuje „working truth” a więc nie prawdę absolutną, lecz pragmatyczną. Na dnie tej filozofii kryje się przekonanie, że istotną dla celów życiowych jest owa „working truth” — czyli praktyczne kompromisowe rozwiązanie, które w danej sytuacji zapewnia najlepsze konkretne rezultaty.

Jak długo obracamy się w sferze zachodniej cywilizacji wszystko jest w porządku. Ale ta sama szkoła myślowa w zetknięciu z problemem sowieckim zawodzi całkowicie. Albowiem w stosunku do komunizmu nie ma „working truth” ani nie ma kompromisowego rozwiązania. Natomiast zasada „suspended judgment” w relacji do problemu sowieckiego sprowadza się w rzeczywistości do moralnego indyferentyzmu.

Jeżeli ktoś powiada, że wstrzymuje się od wypowiedzania opinii o Katyniu czy o istnieniu „łagrow” w Sowietach, ponieważ nie ma dostatecznych dowodów ani za, ani przeciw tej tezie — nadużywa filozofii liberalnej by zamaskować własne niezdecydowanie i egoistyczny bezwład. W ten sposób wypaczona filozofia liberalna służy dziś na Zachodzie pewnym intelektualistom i politykom do przedłużania ad infinitum etycznego „moratorium” w stosunku do zbrodniczości systemu sowieckiego.

Ci panowie zapominają jednak o tym, że zasada „suspended judgment” nie zwalnia nikogo od dążenia do ustalenia stanu faktycznego, nie zwalnia od obowiązku dążenia ku prawdzie. Jeżeli psychiatra X powiada, że teorie Freuda nie trafiają mu do przekonania i że w stosunku do problemu „symboliki snów” przyjmuje postawę „suspended judgment” nie zwalnia go to od obowiązku dalszych badań i dociekań w tej sprawie. Jeżeli polityk czy pisarz przyjmuje w stosunku do Sowietów stanowisko oparte o zasadę „suspended judgment” nie zwalnia go to od obowiązku zbadania tych zagadnień. Jeżeli w A.D. 1953 ów pisarz czy polityk trwa nadal uparcie w postawie „agnostycznej” do zagadnienia sowieckiego jest to dowodem, iż z filozofii liberalnej uczynił sobie nową filozofię, którą należy nazwać filozofią moralnego izolacjonizmu. Dziś bowiem materiały dowodowe leżą gotowe — trzeba tylko chcieć sięgnąć po nie ręką.

W dziedzinie „filozofii stosowanej” obserwujemy dziś na Zachodzie dziwaczne zjawisko. Empiryzm, który jest fundamen-

tem liberalizmu i decyduje o klimacie duchowym polityk anglosaskich przestał być empiryzmem.

W świecie nauki empiryk stwierdzi, że — powiedzmy — nasza „prawda o atomach” nie jest absolutna, ale w każdym razie jest prawdą pragmatyczną bo umożliwiła nam budowę bomb atomowej.

W polityce empiryk szuka również „working truths” a więc schematów, które praktycznie rozwiązywałyby pewne problemy.

W stosunku do Rosji empiryk nie interesuje się „prawdą absolutną” o Sowietach ale za istotne uważa znalezienie formuły kompromisowej, która umożliwiłaby pokojowe współzycie z tym zjawiskiem.

Liberalizm jest w prostej linii wnukiem handlu międzynarodowego. Angielska maksyma głosi, że handlować można nawet z ludożercami. Oczywiście że można, ale podstawą rokowań z ludożercami musi być kodeks norm naszej cywilizacji a nie kodeks ludożerców. Można ludożercom płacić za kość słoniową perkalem, czy metalem, ale nie można im płacić ludzkim mięsem.

Z Sowietami nie możemy się porozumieć, gdyż Kreml żąda od swoich kontrahentów by za podstawę rokowań przyjęli sowiecki kodeks norm i wartości. Klasycznym przykładem jest sprawa repatriacji jeńców wojennych, blokująca rokowania o zawieszenie broni na Korei. Komuniści domagają się by za podstawę rokowań przyjąć „kodeks ludożerców” a nie kodeks norm cywilizacji zachodniej.

Sprawa zatem wygląda w ten sposób, że empirycznie, doświadczalnie stwierdziliśmy, iż konflikt z Rosją jest konfliktem ideologiczno-cywilizacyjnym z woli Sowietów. Mimo to jednak usiłujemy nadal traktować Rosję za członka naszego świata i wbrew doświadczeniom i logice utrzymujemy ONZ w jego obecnej postaci. Ci, którzy dziś głoszą, względnie dają do zrozumienia, że z Sowietami możliwa jest współpraca międzynarodowa i polityczna, że możliwy jest kompromis — *nie są empirykami*. Albowiem doświadczenia przeczą ich poglądom. Wszelki „wishful-thinking” jest matematyczną odwrotnością empiryzmu. Również ONZ nie jest już dziś formacją polityki empirycznej, okazał się bowiem mechanizmem, który nie działa. A więc nie ma pragmatycznej sankcji. Empiryzm wyklucza podtrzymywanie teorii czy instrumentu wbrew wielokrotnym negatywnym wynikom doświadczeń. Lecz niemniej, charakterystycznym rysem naszej epoki jest fakt, że wielu pisarzy i polityków pozorami liberalizmu i empiryzmu stara się zamaskować własne niezdecydowanie i irracjonalny „wishful-thinking”.

Ale wróćmy jeszcze do literatów.

Wydaje mi się, że najbardziej zawiedli ci pisarze, którzy powrócili z komunistycznej przygody. Domowa wojna w Hiszpanii została przez nich wyświęcona do jedynej romantycznej legendy jaka ostała się Zachodowi. Koestler, Spender, Hemingway i dziesiątki innych — panowie w średnim wieku i wzorowo ustatkowani, zasobni w dolary i w funty — wspominają z roz-

zewnieniem swój hiszpański romans młodości. Nie chciałbym być niesprawiedliwy. Wielu wartościowych ludzi z Europy i z Ameryki walczyło dla idei i z przekonania po stronie czerwonych w Hiszpanii. Ale nie wszyscy romans młodości potrafili przerobić na „best-seller’y”. Koestler pisze drugi tom swojej autobiografii na pięknej farmie w Pensylwanii a w Anglii i w Ameryce odmawia się stanowisk młodym ludziom, którzy w okresie bratnich uścisków angielsko-amerykańsko-sowieckich nad Elbą jako osiemnastoletni chłopcy pozwolili się otumanić propagandzie wielkiego wschodniego sojusznika. Jakże wielu płaci dziś ciężko za „czerwony zryw” młodości i za jego fałsz. Tylko fundatorzy literackiej legendy umieli ją zdyskontować i sprzedać. I przebaczone tylko im i tylko ich rozgrzeszyło sumienie „middle-class”, bo mimo wszystko, okazali się ludźmi sukcesu...

Lecz pisarze ci nie zdobyli się na żadną pozytywną odpowiedź komunizmowi. Niektórzy z nich kokietują Chrześcijaństwo z obiektywnej pozycji agnostyka. Lecz w gruncie rzeczy — tak jak Malraux — nie mają siły ani przekonania, by porzucić postawę agnostyczną, ani dość siły i przekonania by przyjąć postawę chrześcijańską. Rozdarci na rozdrożu — chcieliby, jak Huxley — wycisnąć i zatrzymać dla cywilizacji metafizyczny sens chrześcijaństwa, odrzucając chrześcijańskie objawienie.

Wydawało by się, że prześladowania i walka od podstaw, od korzeni prowadzona przeciw Chrześcijaństwu w sowieckiej połowie świata, winna się odbić na Zachodzie serią wielkich głośnych nawróceń. Chrześcijaństwu w wolnym świecie potrzebni są wielcy nawróceni, apostołowie wielkiego formatu. Tacy ludzie jak Albert Schweitzer winni porzucić murzyńskie szpitale w Afryce i swe Chrześcijaństwo głosić w Europie i w Ameryce.

Toynbee omawiając w jednym ze swych szkiców pamiętniki cesarza Babura zauważa, że ten wykształcony i światły władca nie dostrzegł żadnej wroźby w fakcie opłynięcia Afryki przez Portugalczyków. Nie przypuszczał, że od r. 1500 mapa „oikumene” zmieni się całkowicie, że Vasco da Gama jest twórcą epoki.

W moim rozumieniu nie jesteśmy bystrzejsi od Babura a mamy natomiast znacznie mniej na swoje usprawiedliwienie. Epoka Vasco da Gama dobiegła kresu w r. 1945 z czego również nie zdawaliśmy sobie sprawy. Sowiecką część świata trzeba było wymazać z mapy „oikumene”. Proces zapoczątkowany przez Vasco da Gama — proces zjednoczenia świata z inicjatywy Zachodu — został gwałtownie zatrzymany. Świat nie tylko się rozpadł na dwie części, ale powstało równocześnie nowe centrum zjednoczenia.

Literatura nowoczesna zdaje się nie dostrzegać, nie wy czuwać, że owo napięcie, powodowane tymi dwoma ośrodkami decyzji losów ludzkości, nie sprowadza się do gigantycznego referendum kto za Moskwą a kto za Waszyngtonem. Mimo, że na Zachodzie większość oświadcza się przeciw Moskwie

napięcie trwa dalej gdyż odrzucić komunizm to znaczy nie tylko powiedzieć „nie”, ale to znaczy samemu wyczuwać twarde gruntu pod nogami. To znaczy z naszego systemu odrzucić plewy, dokonać rewizji i wypracować cel-program.

Wpływ komunizmu na nas wszystkich jest olbrzymi. Wpływ ten manifestuje się różnorako. U jednych powoduje przypływ rewizjonizmu u drugich odwrotnie, żywi konserwatyzm. Lecz zarówno jedni jak i drudzy zmierają ku temu samemu celowi: wzmocnić grunt pod nogami.

Jak długo okręt płynie w słońcu i w ciszy inaczej myśli się o postrzępionych żaglach i o strzaskanym maszcie. Ale na tle nadciągającego huraganu postrzępione żagle i zetlałe liny widoczne są z bolesną, obnażoną ostrością anatomicznego preparatu.

Użyłem banalnego porównania z okrętem, bo Toynbee jeden ze swych szkiców kończy wyrażeniem nadziei, że ... może wpłyniemy na spokojniejsze wody. Kompleks „spokojnej wody” jest typowym motywem chwilowego optymizmu niezdecydowanych. Co drugi odczyt mędrców w BBC, co drugi tzw. poważny artykuł w czasopismach i periodykach, co drugi essay czy studium kończy się motywem wpłynięcia na „spokojniejsze wody”.

W istocie ta fraza literacka diagnostycznie odzwierciedla podświadomą nostalgię epoki niezdecydowanych, że ... huragan rozplynie się w przestworzu a postrzępione żagle i zetlałe liny stracą na ostrości wyrazu. W rzeczywistości nic się nie zmieni na lepsze. Okręt naszej cywilizacji będzie nadal wymagał przebudowy i napraw, ale jak wpłyniemy na „spokojniejsze wody” zyskamy na czasie. Będziemy mogli znów jak dawniej stwierdzać braki i wady, ale nie będziemy musieli pobierać żadnych decyzji.

Jeżeli w najbliższych latach czy dziesiątku lat świat zostanie zjednoczony to tej największej w dziejach ludzkości rewolucji towarzyszyć będzie kryzysowa literatura. Literatura „współ-przekonanych” — „współ-nawróconych” — „współ-komunistów” — „współ-chrześcijan” — „współ-agnostyków”.

Zjednoczony świat nie będzie ani wyśniony przez poetów, ani wyprorokowany przez pisarzy. Rewolucji dokonają technicy, politycy i wojskowi.



Jesteśmy wszyscy skłonni sądzić, że nasz „deadlock” jest spowodowany brakiem wizji i planu w polityce amerykańskiej. Wielu zachodnich pisarzy a wśród nich i Polacy — z pewną naiwną „Schadenfreude” odmalowują Amerykę jako centaury o ptasim mózgu, który nie dorósł do roli przywództwa światu. Ale jakimu światu? Zbankrutowanej, bezpłodnej Europie, która nie umiała rozwiązać żadnego ze swych podstawowych zagadnień.

Ameryka nie istnieje na innej planecie i jej kryzys jest fragmentem naszego wspólnego kryzysu, jej niezdecydowanie jest częścią naszego niezdecydowania.

Samuel Lubell w swej świeżo wydanej książce pt. „The Future of American Politics” pisze m. inn.: „Polityczny problem Stanów Zjednoczonych jest dwojaki. Po pierwsze nie posiadamy zdecydowanej większości — po drugie wynikający z tegoż braku większości kryzys polityczny (deadlock) jest pogłębiony faktem, iż nasze partie polityczne i instytucje są tak nastawione by podporządkowywać, jeżeli nie poświęcać, potrzeby polityki zagranicznej interesom polityki wewnętrznej”.

Powyższe źródła kryzysu są w równej mierze typowo europejskie jak i typowo amerykańskie. To są objawy kryzysu całego Zachodu.

Lubell mniema, że by przetrwać „deadlock” konieczną rzeczą jest pociągnąć grupy wyborcze w takim kierunku, by jedna z partii uzyskała zdecydowaną większość. Za konieczne uważa również jasne zdefiniowanie amerykańskiego „interesu narodowego”.

Bez słowa zmiany tę samą receptę należało by zastosować do całego Zachodu a w szczególności do Anglii, która również nie ma zdecydowanej większości parlamentarnej i której „interes narodowy” wymaga daleko idącej re-definicji.

Jeden z ostatnich rozdziałów swego studium Lubell kończy następującą uwagę: „Dzisiejszy kryzys w Ameryce należy rozumieć jako usiłowania zerwania emocjonalnych więzów przeszłości w tym celu by zwolniony z tych pęt naród amerykański mógł ująć w dłonie twarde losy teraźniejszości”.

Emocjonalnych więzów przeszłości nie brak i po tej stronie Atlantyku ale czy ktoś usiłuje z nich się uwolnić?

Stany Zjednoczone nie mają w tej chwili jasno sprecyzowanego programu czy koncepcji ale nigdzie nie jest powiedziane, że Waszyngton ma mieć program a Londyn i Paryż mogą programu nie mieć.

W sumie, tak tu jak i w Ameryce, wszystko sprowadza się do tej najmniejszej jednostki politycznej jaką jest człowiek. Partie polityczne nie zdobędą większości dopóki nie przekonają większości. A dopóki to nie nastąpi obecny „deadlock” będzie trwał nadal.

Jeżeli decyzji nie podejmie za nas Rosja przystępując do otwartego konfliktu na większą skalę niż w Korei — proces reorganizacji zachodniego świata łącznie z Ameryką będzie bardzo powolny i mozolny. Bo jedno uznać należy za pewne: nie podejmiemy ostatecznej decyzji choćby w danej sytuacji była to decyzja właściwa. Albowiem w ustroju demokratycznym podjęcie takiej decyzji nie wydaje się rzeczą możliwą. Jeżeli więc niejako z góry wykluczamy ewentualność podjęcia takiej decyzji — nasze możliwości zwięzają się dość znacznie i w dużej mierze uzależnione będą od polityki naszego sowieckiego partnera. I tu jesteśmy na samym dnie współczesnego kryzy-

su niezdecydowania. O tej ostateczności myślą wszyscy. Ta myśl stanowi istotę „zimnej wojny” i jest niewysychającym źródłem programów, pół-koncepcji, pół-środków.

Osobiście jestem przekonany, że pod ciśnieniem tej zmory ludzie na Zachodzie i w Ameryce dojdą do przekonania, że tylko wówczas można liczyć na szansę uniknięcia wojny, gdy się jest nie tylko do niej przygotowanym ale i zdecydowanym ją podjąć.

Juliusz MIEROSZEWSKI

List z Niemiec

(Od berlińskiego korespondenta „Kultury”)

MIĘDZY FRANCJĄ A POLSKĄ

„Błędne jest założenie, że Niemcy leżą między Francją i Rosją. Leżą one między Francją i Polską”.

Robert Ingram

To spostrzeżenie uczynił autor amerykański bynajmniej nie na użytek swych rodaków, ale właśnie niemieckiego czytelnika. Tylko z pozoru jest ono „odkryciem Ameryki”. Ingram zna dobrze Niemców i wie, że ludzie ci, w życiu codziennym tak praktyczni, mają w polityce skłonność do czegoś w rodzaju choroby przestrzeni. Przestrzeń wciąga, wywołuje zawroty głowy, mirażę ludzą, zaciera się kontury otoczenia i oto staje się nad przepaścią, której się nie widzi. *Traumerei*. Czemuż w tym kraju ekspertów tak wielu jest ludzi, którzy patrzą, ale nie widzą, wiedzą ale nie rozumieją?

Niemcy są sąsiadami Polaków, Polacy są sąsiadami Niemców. Z tego prostego faktu — najprostszego, zdawało by się, wniosek, iż pierwszym zadaniem obu narodów jest ułożenie dobrego sąsiedztwa. Dlaczego właśnie o ten prosty wniosek najtrudniej?

Nie chcę ułatwiać sobie zadania. Ułożenie wzajemnych stosunków zależy zawsze od stron obu. Jednak nie ulega wątpliwości, że w ciągu ostatnich lat, a nawet w ciągu ostatniego półtora wieku, zależało ono w znacznie większym stopniu od Niemców aniżeli od nas. I tak jest jeszcze dziś. Tego egzaminu w przeszłości Niemcy nie złożyły ze stopniem dostatecznym —

Robert Ingram. — Die Rettung Deutschlands. — Droste Verlag, Dueseldorf 1952.

na swoje własne nieszczęście, na nieszczęście nasze i Europy. Czy złożą go w przyszłości?

Sąsiedztwo Niemiec i Polski jest faktem. Nie to jednak było i, w dużym stopniu, nie to jest dla Niemców decydujące. Decydująca stała się okoliczność, że odczuwali oni sąsiedztwo w ogóle jako coś dla siebie niepożądanego i nieprzyjemnego. Nie tu miejsce ma rozważania dla czego i po czyjej stronie słusność. Istota nieporozumienia — tak mi się wydaje — tkwi w samym stosunku człowieka do faktów, na które natrafia.

W odróżnieniu np. od Anglosasów, Niemcy niechętnie przyjmują „nagie” fakty do wiadomości i do świadomości. Z reguły i od razu opatrują je sądami kwalifikującymi. Dzieli je z punktu na „dobre” i „złe”. W ten sposób świat, jaki ich oczom się przedstawia, jest silnie zabarwiony subiektywizmem. Błąd to ludzki, może nawet nieunikniony, ale w Niemczech występuje on ze szczególną siłą. Nie na darmo romantyzm — nie ten, w polskim wydaniu, sielankowo-teskny i patriotyczny, ale ten chmurny, dramatyczny a czasem złowrogi — narodził się w Niemczech.

Subiektywizm w polityce państwowej to rzecz niebezpieczna, bo prowadzi do przewagi „instynktów” i namiętności nad rozumem. Hitlera wyniosł do władzy entuzjazm tłumów. Bismarck opierał się tylko o instytucję monarchii i był niepopularny. Popularność Schumachera, zmarłego niedawno „agresywnego przywódcy SPD” (*dixit* McCloy) była niewątpliwa. Adenauer trzyma się dzięki szczególnym warunkom powojennym i poparciu z Zachodu.

Niemcy i Polacy są sąsiadami, ale w Niemczech dostrzegano z owego sąsiedztwa to tylko, co odczuwano jako niewygodę. Nie miały Niemcy w nowszych czasach własnej „polskiej polityki”. Miały tylko politykę antypolską, co nawet dla interesów niemieckich stanowczo nie było wystarczające. W sytuacji, w jakiej Niemcy się znalazły po I wojnie światowej, można to chyba tłumaczyć naiwnością lub utratą poczucia rzeczywistości. Słusznie pisze Ingrid, że w okresie 1918 — 1939 Niemcy nie potrafili zdać sobie sprawy z korzyści, jaką dla nich było istnienie niepodległej Polski po ich wschodniej stronie. Nie zdobyli się na politykę, godną wielkiego państwa. Zamiast tego, zabawiano się w Niemczech w naprawę niemądrą grę, polegającą na szkoleniu młodego państwa polskiego na terenie międzynarodowym, na robieniu mu trudności w chwili, gdy odpierało ono bolszewicką inwazję na Europę, (choć następnym etapem miały być Niemcy), wojną celną itp.

Nie my, ale właśnie cytowany wyżej Ingram nazywa traktat w Rapallo „głupkowatym” krokiem i z ironią wspomina, jak to Stresemann był „dumny”, gdy udało mu się w Locarno przeprowadzić rozróżnienie między zachodnimi i wschodnimi granicami Niemiec, a tym samym uzyskać od Anglików rodzaj *carte blanche* na wschodnie awantury. Niemądra, zaiste, była to zabawa i źle się ona skończyła dla Niemiec i dla Europy. Nie bra-

kło Niemcom wówczas sprytnych, kuluarowych dyplomatów. Zabrakło męża stanu, który by miał „wizję” i potrafił się wzniesić ponad poziom intrygi dyplomatycznej, popularnej hecy i zawiedzionego junkierstwa. (Polska jednak zdobyła się wtedy na Piłsudskiego). W rezultacie, naiwnie a systematycznie, Republika Wejmarska przygotowywała grunt do popisów zbrodniczego szaleńca i do samobójstwa Niemiec.

Był to okres przejściowy, w którym dwa systemy przenikały się wzajemnie, wytwarzając w Niemczech wybuchową mieszaninę. Zamierający, bismarckowski system pruskiej „racji stanu”, oparty na misternej grze równowagi i rosnący nacjonalizm, w którym znalazły ujście najbardziej pierwotne namiętności, spychane długo, żelazną dyscypliną, w głąb narodowej duszy. Ale był to już bismarckizm bez Bismarcka i jego przenikliwości. Ale był to nacjonalizm, oparty na fałszywej etyce, a w gruncie rzeczy bezetyczny. Niemcy runęły w przepaść i w tym upadku zatrzymało je — o paradoksie! — tylko pojawianie się nowego zła ze wschodu.

Czas do zastanowienia był krótki, bo już przyszły nowe zadania. Tylko część Niemiec, choć przeważająca, zachodnia — mogła sobie pozwolić na luksus swobodnego myślenia. Zachodnią politykę Republiki Związkowej mozolnie kształtuje Adenauer — polityki wschodniej nie ma. Polityki nie ma, ale już rodzą się błędy, które mogą niezmiernie utrudnić jej ukształtowanie w przyszłości. Są one trojakiego rodzaju i każdy z nich jest wskazywany w ostrzeżeniu Ingrima.

Jeden błąd polega na świadomym identyfikowaniu narodu polskiego z panującym nad nim dziś systemem rosyjsko-sowieckim. Drugi na zacieraniu we własnej opinii publicznej faktu, że układ terytorialny i polsko-niemiecka granica dzisiejsza, wraz z wysiedleniami, nie były tylko pomysłem Stalina, ale że powstały z inicjatywy i przy czynnym poparciu Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych z zamiarem utrzymania na stałe. Trzeci błąd — to chęć wykazywania, wbrew faktom, że na Niemczech Europa się kończy, że one to stanowiły i stanowią prawdziwy i ostatni bastion Zachodu przed Wschodem. To ostatnie twierdzenie nie wytrzymuje próby w świetle nowszej historii, której jednym z ostatnich etapów, po Rapallo i Locarno, był sojusz rosyjsko-niemiecki w 1939 r.

Nie są te uwagi recenzją z książki Ingrima, ale ta książka jest dla nas sposobnością do wypowiedzi. Trudno jednak nie przytoczyć lapidarnego skrótu, którym Ingram kończy swe rozważania: „W ciągu ostatnich trzynastu lat Polacy byli napadnięci przez Niemców i przez Rosjan; przez Francuzów i Brytyjczyków zdradzeni; przez Rosjan zdradzeni; przez Rosjan spętani. Teraz obawiają się, że raz jeszcze będą zdradzeni przez mocarstwa zachodnie, tym razem na rzecz Niemiec. Z tego piekła trzeba znaleźć wyjście. Tylko Niemcy mogą je wskazać. Niemiecka sztuka państwowa złożyła teraz egzamin na Zachodzie, ale na Wschodzie musi dokonać arcydzieła”.

Czy dokona? Czy zrozumie, że ma przed sobą ostatnią może szansę? Że im dalej na wschód rozciąga się Europa, tym Niemcy są bezpieczniejsze? Sądząc z wielu niepokojących objawów, można mieć co do tego wątpliwości. Ale nadzieję żywić można i należy. Czasu jest niewiele. Kto sobie wyobraża, że przyszłość znacznie się kształtować dopiero kiedyś, przy stołach konferencyjnych i w kuluarach, wśród stosów memoriałów — ten chyba spóźnił się o lat kilkanaście i żyje w zaświatach. Przyszłość powstaje już dziś, w mrozach „zimnej wojny”, która nie jest bynajmniej pauzą między konferencjami, ale serią bólów porodowych. *Teraz* jest czas na rozeznanie.

Wydaje mi się, że to czego — wolni Polacy — mamy prawo i powinniśmy oczekiwać od społeczeństwa niemieckiego, a zwłaszcza od jego odpowiedzialnych przywódców — niełatwe jest wprawdzie, ale przecież proste i sprawiedliwe. Chciejmy tylko, aby zdjęli z oczu opaski, które sami sobie ponakładali. Aby przetrarli oczy i uważnie rozejrzeli się dokoła siebie. Aby wyciągnęli wreszcie wnioski z tego co się stało i co się dzisiaj dzieje. Bo gdyby w Niemczech przeważały *realistyczne* oceny i na skutek tego powstała naprawdę realistyczna, niemiecka polityka wschodnia, to wówczas wielki, olbrzymi krok naprzód zostałby zrobiony. Realistyczna ocena musiała by bowiem prowadzić do następujących wniosków:

- 1) że w obecnej sytuacji nie wystarczy pilnowanie własnych interesów w zachodnich kancelariach, ale że trzeba również zdać sobie sprawę z własnej pozycji wśród innych, a zwłaszcza sąsiedzkich narodów w Europie i zająć wobec nich właściwą postawę; dotychczas widać tylko, z małymi wyjątkami, namiętne pamflety, broszurki i podgrzewanie namiętności na wiecach;
- 2) że niebezpieczeństwo rosyjsko-sowieckie jest przeraźliwie bliskie;
- 3) że oddalić je można, a tym samym samemu sobie stworzyć rozleglejszą przesłonę, przede wszystkim przez zajęcie odpowiedniej postawy wobec wschodniego sąsiada, to jest wobec narodu polskiego;
- 4) że w ten sposób umożliwi się narodowi polskiemu skoncentrowanie wysiłków na walce z rosyjsko-sowieckim imperializmem, bez ustawicznego oglądania się na grożące jednocześnie niebezpieczeństwo niemieckie.

Doradzamy Niemcom, aby we własnym interesie przyczyniali się do wzmocnienia, a nie jak to czynią dziś, do osłabiania moralnej postawy narodu polskiego, w jego oporze przeciw terrorowi Moskwy. Osłabianiem a nie wzmocnieniem tej postawy trzeba nazwać obarczanie Polaków odpowiedzialnością za czyny, popełnione przez innych; uchylanie się od rewizji dotychczasowego stosunku do Polaków a zwalanie wszystkiego na Hitlera. Osłabianiem a nie wzmocnieniem postawy narodu polskiego, w jego ciężkiej doli i walce, jest groźenie mu nowym „Ausrot-

tung" i stwarzanie w Europie wrażenia, że Zachodowi chodzi głównie o stworzenie niemieckiej Mitteleuropy. Sądzę również, że warto doradzić, aby sobie w Niemczech zachodnich rozważono niektóre okoliczności, istniejące w sowieckiej strefie Niemiec i w Polsce — nie tylko podobieństwa ale i różnice. Ktokolwiek się z tymi sprawami zetknął praktycznie, ten wie, że pod wielu względami proces sowytyzacji jest w Niemczech wschodnich dalej posunięty niż w Polsce. Są rzeczy, które łatwiej jest przeprowadzić wśród przyzwyczajonych do zbiorowej dyscypliny Niemców, aniżeli wśród nieuleczalnych polskich indywidualistów. Młodzież wschodnio-niemiecką udało się Rosjanom przeobrazić i skomunizować bardziej aniżeli polską. W Polsce nie poważano się jeszcze na wprowadzenie rosyjskich mundurów, które już nosi wschodnio-niemiecka „armia ludowa”.

Patrzcież, niemieccy sąsiedzi, dokąd to rozciąga się Europa. Nie tylko tam, gdzie sięga wasz niemiecki ład, „Gemuetlichkeit” i kawa ze śmietaną. Dalej, dalej jeszcze — tam gdzie dla przemocy zawsze miano pogardę i śmiech, gdzie prawa ludzkiej osoby cenilo się zawsze wyżej od najlepiej wyrównanych batalionów, gdzie jeszcze żyje to co niejeden z was, w nieświadomości swojej, nazywał „polnische Wirtschaft”, a co w gruncie rzeczy jest osadem dawnych swobód, szacunkiem dla życia a nie tylko dla normy, wiecznym buntem jednostki przeciw ciemności. Tam jest Europa, skąd wyszedł pierwszy opór przeciw tym, którzy zniestawili imię Niemców na świecie i stali się przyczyną nieszczęścia ich kraju.

Oczekujemy od niemieckich sąsiadów realizmu. Różnienia nie tylko niewygód, ale i korzyści, płynących z sąsiedztwa dla przyszłości i bezpieczeństwa Niemiec. „Niemcy leżą między Francją i Polską”.

Jerzy PRĄDZYŃSKI

Kronika niemiecka

CZY GROZI ODRODZENIE NAZIZMU?

Niedawno ogłoszone zostało sprawozdanie, które b. wysoki komisarz Stanów Zjednoczonych w Niemczech p. John J. McCloy złożył swemu rządowi za cały okres swej działalności tj. za czas od września 1949 do lipca 1952. Zawiera ono przegląd sytuacji w różnych dziedzinach życia Niemiec zachodnich w ciągu tego okresu, wraz z obszerną dokumentacją i zapewne nieraz jeszcze doń będziemy powracać. Interesujące jest zwłaszcza jak, na podstawie dłuższego doświadczenia, przedstawia się w sprawozdaniu p. McCloy'a obraz sytuacji, jeżeli chodzi o rozwój wewnętrznego życia politycznego w Republice Związkowej i czy nastąpiły zasadnicze zmiany w nastrojach mas w porównaniu z niedawną przeszłością.

Rozważając, we wstępie do swego sprawozdania, położenie Niemiec na tle warunków międzynarodowych, stwierdza p. McCloy istnienie „stanu napięcia i niepokoju, zwłaszcza w Niemczech, stanu, który może być usunięty tylko poprzez silne powiązanie czynników zdrowia politycznego i gospodarczego. Do osiągnięcia tego celu potrzebna jest z kolei pomoc z zagranicy”. Trudności w wykonaniu owego programu są już we wstępie do sprawozdania zarysowane. W samym sprawozdaniu odpowiada p. McCloy obszerniej na pytanie: w jakim stopniu cel został osiągnięty.

W dziedzinie gospodarczej wyniki są niewątpliwie imponujące, zwłaszcza po przeprowadzonej w 1948 r. reformie waluty. I tak np. w ciągu roku 1950 dochód społeczny brutto w Niemczech zachodnich wzrósł o 16 proc. i w drugiej połowie 1951 r. osiągnął poziom o 33 proc. wyższy od poziomu z r. 1936. W drugiej połowie 1951 r. wyniósł on, w przeliczeniu na głowę, 106 a w całym roku 1951 — 101 proc. dochodu z r. 1936. Odpowiednio wzrastała konsumpcja. W 1950 r. osiągnęła już ona poziom przedwojenny, a w 1951 r. przekroczyła poziom z 1936 r. Poziom inwestycji jest wysoki, a „dobra i usługi, stojące do dyspozycji w Republice Związkowej, wystarczające do pokrycia potrzeb wzrastającej konsumpcji”.

W dziedzinie politycznej można określić wnioski p. McCloy'a jako umiarkowanie optymistyczne. Pozostaje jednak wiele znaków zapytania, jak to widać z następujących uwag:

„Zasady ustroju demokratycznego zostały przywrócone w Niemczech (oczywiście w Niemczech zachodnich, przyp. Red.). Fakt, że istnieje dziś wolność słowa, niezależność prasy i ustrój reprezentatywny wskazuje, iż naród niemiecki zdaje sobie przynajmniej sprawę z tych wartości. Zadaniem następnego pokolenia będzie wykazanie czy będzie on miał dość charakteru, aby wytrzymać nieuchronne zamachy na te podstawowe swobody. Dopiero wówczas można będzie ocenić czy program denazyfikacyjny zakończył się sukcesem czy niepowodzeniem.

„Tymczasem... są w dzisiejszych Niemczech ludzie, którzy wspominają narodowy socjalizm jako erę szczęśliwości. Są ludzie, którzy biorą udział w akcji politycznej, zmierzającej do odtworzenia i przywrócenia do władzy systemu, zbudowanego na wzór narodowego socjalizmu. Są oni jednak w mniejszości. Po przeciwnej im stronie stoi inna grupa, być może również mniejszość, złożona z ludzi, którzy, mniej czy bardziej surowo, byli prześladowani przez nazistów i którzy teraz są przywódcami w nowym, zachodnio-niemieckim państwie. Są oni, oczywiście, zdecydowani sprzeciwić się powrotowi narodowego socjalizmu we wszelkiej postaci. Między tymi dwiema grupami stoi wielka masa narodu niemieckiego, zarówno byłych nazistów jak i ludzi, którzy nigdy nie byli w partii. Ich decyzje, w zmiennych okolicznościach, wyznaczą przyszłe losy Niemiec. Trudno jest uwierzyć, aby w jakichkolwiek bądź okolicznościach, powrócili oni do pseudo-filozofii, która zniestawiała i poniżyła ich ojczyznę i doprowadziła ją do gorzkiej a dobrze zasłużonej klęski. Ale, ogólnie rzecz biorąc, nie zdają oni sobie sprawy z niebezpieczeństwa tak dobrze, jak ci, którzy bezpośrednio, na własnej skórze odrzucili zło nazizmu. Dezorientują ich zarzuty, w których zbrodnie nazizmu łączy się z tradycyjnym nacjonalizmem niemieckim; są skłonni do usprawiedliwienia wojny i do potępiania aliantów za to, że ci nie zrozumieli, że oni (Niemcy) w rzeczywistości walczyli w obronie Zachodu. (Jest to istotnie doskonały przykład pomieszania pojęć w Niemczech — przyp. Red.). Mieszają zbrodniarzy wojennych w jednym kotle z żołnierzami, którzy spełniali zwykły obowiązek żołnierski. Martwią się o honor niemiecki i o honor niemieckich żołnierzy, a jednocześnie nie chcą przyznać, że z winy nazistów honor niemiecki został narażony na prawie niepowetowany szwank. Często, w swej perwersyjnej logice,

składają całą winę na nazistów, albo na Hitlera osobiście i w ten sposób, ku własnemu zadowoleniu, uwalniają wszystkich pozostałych Niemców od wszelkiej winy czy odpowiedzialności za przeszłość. I jednym tchem dowodzą, że alianci są przyczyną wszystkich ich obecnych kłopotów i że ponoszą oni (alianci) odpowiedzialność za ich przyszłość. Słowem, są to ludzie bardzo zatroskani i usiłujący znaleźć wyjście z głębokiego wewnętrznego niepokoju oraz z upokarzających przeżyć tak, aby nie stracić wiary w siebie samych i szacunku do siebie samych. Jedynie czas pokaże czy ich obecni przywódcy ich zadowolą, gdy już nie będzie przewodnictwa i pomocy alianckiej. Tylko czas da im możliwość przyzwyczajania się do instytucji demokratycznych i znalezienia nadziei powodzenia, w sensie materialnego dobrobytu i podniesienia godności narodowej — w ustroju, który dla wielu spośród nich, jeżeli nie dla wszystkich, zrodził się nie raz tylko, ale dwukrotnie, ze straszliwej narodowej klęski”.

Tyle p. McCloy. Ta sumienna, życzliwa ale rzeczowa ocena nie wymaga komentarzy. Komentarz daje samo życie. Jak ono dziś wygląda, do czego zmierzają Niemcy? Na to pytanie oto jakie odpowiedzi daje Marion hr. Dönhoff, publicystka umiarkowanego hamburskiego tygodnika „Die Zeit”:

„Czyż wielu z nas nie myślało w 1945 r., że teraz spadnie ludziom bielmo z oczu, że rozpoznają znaki — że się zmieniają? Było jakieś krótkie naprężenie i wtedy zdawało się, że nowy duch wstępuje do tego kraju. Ale dziś, po siedmiu latach, mało co z tego pozostało. Większość uczepia się tylko swego egoizmu, resentymentów, kłótni i żądy władzy”.

Nie byłoby w tym nic dziwnego — pisze publicystka niemiecka — że w obecnej sytuacji, po trzykrotnym, od czasu pierwszej wojny światowej, załamaniu się wszelkich symbolów i złudzeń, pewna ilość ludzi w Niemczech staje się dostępną dla radykalnych tendencji. Dotychczas, z małymi wyjątkami, naziści nie mieli większego powodzenia. Ale...

„...obecnie, zakaz działalności SRP (neonaziści Remera. Przyp. Red.) i pogoń za osieroconymi głosami stworzyły zupełnie nową sytuację. Przywódcy partji i politycy partyjni najwidoczniej stracili zupełnie głowę. Wszyscy myślą tylko o 370 tysiącach głosów, pozostałych po SRP, które trzeba zdobyć w Dolnej Saksonii. W wyborach samorządowych, które się odbyły w Dolnej Saksonii 9 listopada — wedle danych hanowerskiego ministerstwa spraw wewnętrznych wybrano 70 czołowych funkcjonariuszów SRP i dawnej NSDAP, jako kandydatów partji mieszczańskich, na stanowiska radców miejskich i gminnych.

„Prawe skrzydło FDP („Wolna Partia Demokratyczna”, w założeniu liberalne stronnictwo, zbliżone do kół przemysłowych, obecnie powiększone o dużą liczbę b. nazistów i przejawiające tendencje radykalno-prawicowe. Przyp. red.) oświadczyło w Ems, na kongresie partyjnym, że swe główne zadanie widzi w zbieraniu wszystkich sił na prawo od CDU (chrześcijańscy demokraci kanclerza Adenauera. Przyp. red.)...” „...Przywódca tego kierunku Dr Middelhaue... zaangażował, jako swą prawą rękę i referenta personalnego, radcę, ministerialnego Dierwege z ministerstwa propagandy Goebbelsa. Obok niego wypływają teraz wciąż postacie z dawnej prasy nazistowskiej i urzędów informacji, jak. np. radca ministerialny, Hans Fritsche, w którego zapewnienia, że zupełnie zmienił poglądy, zapewne wątpić nie należy. Jeżeli zasadniczo byłoby niesłuszne zaszerogowywanie b. członków partji narodowo-socjalistycznej i jej funkcjonariuszów do kategorii obywateli drugiej klasy, do końca życia — to jednak sądzimy, że powinni oni trzymać się z dala od życia publicznego...”

„DP-Patria Niemiecka, na krótko przed kongresem partyjnym, który ostatnio odbył się w Brunswiku, przyjęła do swego oddziału heskiego dr Derichsweilera, b. fuehrera studentów Rzeszy (który w międzyczasie wszedł do naczelnego kierownictwa partii), fuehrera SA Pfeffer von Salomona, nazistowskiego prezydenta policji z Kassel a potem prezydenta rządu w Wiesbaden, jak również dr Hellmuta Schranza, b. burmistrza z Offenbach...”

„Wreszcie BHE (partia wysiedlonych dr Krafta. Przyp. red.), która w sześciu parlamentach krajowych rozporządza przeszło 70 posłami i w której szeregach maszeruje niejedyn dawny funkcjonariusz (partii nar.-socj. Przyp. red.), (choć nie wszyscy tak wybitni jak ostatni szef sztabu SA, Wilhelm Schepman lub były szef wydziału w ministerstwie propagandy dr Ott, obecnie sekretarz stanu w Dolnej Saksonii), przechrzcila się właśnie na „Blok Wszechniemiecki” — najwidoczniej po to, aby wyciągnąć wnioski z każdej sytuacji”.

„Niebezpieczeństwo rysuje się dość wyraźnie” — konkluduje autorka — „Dotychczas można było być stosunkowo spokojnym, gdyż elementy radykalno-prawicowe nie mogły się przebić jako samodzielne organizacje. Wielu organizacji... już upadło. Ale gdy teraz partie konserwatywne lub liberalne oraz BHE, który zawsze głosił, że jest apolityczny i stanowi jedynie reprezentację uchodźców, gdy takie partie, które głosząc swój program normalny, stały się w wielu okolicach drugimi czy trzecimi partiami pod względem siły — nagle biorą kurs skrajnie prawicowy, to w każdym razie jest nad czym się zastanowić. Gdzież jest właściwie poczucie odpowiedzialności polityków partyjnych, którzy aktywizują głuche niezadowolenie niejednego obywatela tylko po to, aby łapać głosy? Czy rzeczywiście jest tak trudno pomyśleć o parę lat wstecz? Oto pół Europy zamieniło się w pustynię, cały świat się załamał, miliony ludzi poniosło śmierć, miliony straciły ojczyznę, a nikt nie miałby z tego wyciągnąć nauki — ani na wewnątrz ani na zewnątrz?”

BERLIŃCZYK

Kronika angielska

TRZY KONSTITUCJE

Z obowiązku kronikarskiego wypada zanotować dwie rezolucje powzięte przez dwie Rady — polityczną i narodową.

W dn. 15 i 17 listopada odbyła się w Londynie sesja Rady Politycznej. Uchwalono rezolucję, która jest powtórnym sformułowaniem znanych żądań wysuwanych pod adresem prez. A. Zaleskiego. W rezolucji tej czytamy m. in.:

„...od stanowiska osoby pełniącej urząd prezydenta zależy zakończenie samowładnego wykonywania konstytucji i przywrócenie porządku prawno-konstytucyjnego i politycznego. Rada Polityczna raz jeszcze stwierdza, że wyrazem tego powinna być zmiana na urzędzie prezydenta, objęcie urzędu prezydenta przez osobę prawidłowo na ten urząd wyznaczoną, oraz utworzenie rządu odpowiedzialnego przed Radą Jedności Narodowej, wylonioną przez demokratyczne stronnictwa, związane z żywymi siłami politycznymi w Kraju i na emigracji”.

W odpowiedzi na powyższą rezolucję rząd polski w Londynie ogłosił w dniu 18 listopada br. oświadczenie, w którym stwierdzono, że „urząd i osoba prezydenta R.P. nie mogą być wciągane w polemiki i spory stronnictw politycznych”. Poza tym oświadczenie rządowe określa rezolucję Rady Politycznej jako w swej treści sprzeczną z konstytucją, a w formie niezgodną z dobrymi obyczajami politycznymi.

W sumie należy stwierdzić, że obie strony zarzucają sobie wzajemnie gwałcenie konstytucji.

W dniu 22 listopada wszystkie ugrupowania Rady Narodowej podpisały wspólną deklarację, w której powiedziano m. in., że uchwała Rady Politycznej „godzi w konstytucję oraz wprowadza czynnik anarchii do życia państwowego”.

Jeżeli chodzi o obrady Rady Politycznej należy zwrócić uwagę na dwie charakterystyczne wypowiedzi.

P.Z. Zaremba (PPS) w swym przemówieniu powiedział m. in.: „Jest rzeczą nie do pomyślenia i niech się nikt nie łudzi, że jeżeli o nas chodzi, porzucimy kogokolwiek z naszych kombatantów tutaj w Radzie Politycznej dla nowych koncepcji i nowych przyjaciół”.

W świetle dawniejszych wypowiedzi p. Zaremby powyższa wypowiedź oznacza, że PPS nie uczyni secesji z Rady Politycznej. Niemniej jednak, omawiając sprawę jedności na emigracji p. Zaremba zaznaczył: „W czerwcu mówiłem, że musimy szukać sposobu na zrealizowanie jedności z tym drugim elementem naszego życia emigracyjnego, zogniskowanym w P.K.N.D. (Komitet p. Mikołajczyka — przypisek mój). Nie chciałbym też, aby niektóre wystąpienia tu, na naszej Radzie, podyktowane na pewno najlepszą wolą, przyniosły jeszcze większe oddalenie się”.

W końcowym ustępie swego przemówienia przedstawiciel PPS wrócił do tej sprawy i zaznaczył powtórnie: „Wystąpiliśmy z inicjatywą dojścia do porozumienia (z komitetem p. Mikołajczyka — przyp. mój). Wystąpiliśmy z tą inicjatywą i jestem przekonany, że inicjatywa ta jest słuszna i musi być dalej przeprowadzana”.

Jeszcze jaśniej i wyraźniej sprecyzował ów pogląd p. F. Berka (S.P.), który oświadczył: „Jeżeli chodzi o ośrodek p. Mikołajczyka, nie możemy powstrzymać się od stwierdzenia, że nie byłibyśmy w zgodzie z demokratyczną ideologią naszego stronnictwa, gdybyśmy nie brali pod uwagę celowości jego udziału w jednolitym kierownictwie politycznym. Znane są tragiczne błędy, które człowiek ten popełnił. Znane są jego obecne nieprzemyślane napaści na tych, którzy wbrew niemu mieli rację. Pomimo to nie powinniśmy rezygnować z możliwości wciągnięcia go w główny nurt politycznego życia emigracji”.

Jednakże droga do odbudowy Rady Jedności Narodowej poprzez porozumienie z Komitetem p. Mikołajczyka najeżona jest również konstytucyjnymi trudnościami. P.K.N.D. stoi na stanowisku legalizmu z daty 1921 i powołuje się stale na konstytucję z tegoż roku. Rada Polityczna stoi na stanowisku „zdemokratyzowanej” Umową Paryską konstytucji z 1935 r., a obóz rządowy trzyma się wiernie czystej konstytucji z 1935 r. Obowiązują u nas na emigracji w rezultacie *trzy* konstytucje.

Kiedyś przyszli historycy komentując nasze, nic nie znaczące, emigracyjne swary podkreślą jako curiosum charakterystyczne dla zaniku poczucia rzeczywistości, że spieraliśmy się o historyczne ustawy konstytucyjne, które nigdy nie wróciły do życia. O ileż byłoby właściwiej zamiast spierać się o przebrzmiałe pergaminy — korzystając z pobytu na Zachodzie wypracować projekt demokratycznej, nowoczesnej konstytucji polskiej. W Kraju, ani tego typu prac, ani studiów i badań nie można prowadzić. Przebywając w wolnym demokratycznym świecie moglibyśmy nie tylko opracować projekt nowoczesnej ustawy konstytucyjnej, lecz również przyjąć ją prowizo-

rycznie jako podstawę naszej politycznej działalności. Kraj widziałby wówczas w nas gałąź oderwaną wprawdzie od pnia ale żywą. Powtarzamy w kółko frazesy o „ciągłości istnienia państwa” zapominając, że istotą wszelkiej ciągłości jest rozwój i postęp. Państwo i życie polityczne nie stanowią od tej reguły wyjątku. Raczej mógłbym u wierzyć, że istnieją w Polsce zwolennicy dziedzicznej monarchii niż linie podziałów na zwolenników konstytucji z r. 1921 i konstytucji z r. 1935 — czystej i zdemokratyzowanej. W Kraju dla znakomitej większości są to dziś puste dźwięki.

OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI GEN. SIKORSKIEGO

Sumner Welles, b. podsekretarz stanu w latach 1937 — 43 oświadczył na posiedzeniu katyńskiej komisji Kongresu, iż w jego przeświadczeniu przyczyną katastrofy samolotu gen. Sikorskiego w Gibraltarze w dn. 4 lipca 1943 r., — był sabotaż.

Cat-Mackiewicz jako londyński korespondent detroickiego „Dziennika Polskiego” przeprowadził w tej sprawie wywiad z gen. L. Rayskim, b. szefem lotnictwa w Polsce przed wojną.

Okazuje się, że gen. Rayski znał osobiście pilota, który jedyny ocalał wówczas z katastrofy. Pilot ów twierdził, że bezpośrednią przyczyną katastrofy samolotu był fakt, że nie mógł sterów wziąć na siebie. „Wyglądało by z tego” — cytując wypowiedź gen. Rayskiego — „że stery były zablokowane. Byłoby to rzeczą nader dziwną, gdyż tam było dwóch pilotów, zablokowanie sterów nie powinno było ująć ich uwagi przed startem, tym bardziej, że regulaminowo próbuje się stery przed startem”.

Według opinii gen. Rayskiego ocalenie pilota było niemal cudowne. Generał sądzi bowiem, że „jedynym tłumaczeniem tego niesłychanego zdarzenia to przypuszczenie, że maszyna pękła właśnie w miejscu, w którym on (tj. pilot) siedział i został on w ten sposób wyzwolony i znalazł się w wodzie. Gdyby nie możliwość takiego przypuszczenia ocalenie jego byłoby wręcz nieprawdopodobne”.

Na zapytanie czy nie można wykluczyć sabotażu — Gen. Rayski odpowiedział: „Oczywiście nie można go wykluczyć”.

Wydaje się, że całkowitej pewności odnośnie przyczyn katastrofy samolotu gen. Sikorskiego nie zdobędziemy nigdy.

KOLONIA POLSKA NA LABRADORZE ?

Londyńskie „Wiadomości” w artykule pt. „Rozproszenie” (Nr 348) analizując skutki, przyczyny i następstwa rozproszenia polskiej emigracji — piszą m. in.:

„Był projekt osiedlenia Polaków na Labradorze; część Labradoru korzysta z szerokiej autonomii, przy ludności tak nielicznej, że Polacy mieliby zapewnioną większość i mogliby utworzyć jednostkę samorządną, ale nikt nie podjął studiów dokładniejszych. Były i inne projekty, na pierwszy rzut oka mniej pociągające, tych także nie opracowano”.

...Mniej pociągające niż Labrador? — To już chyba jedynie Kołyma. „Wiadomości” roniąc łzę z powodu tego, że nie osiedliliśmy się na Labradorze sądzą, że gdyby któryś z tych osiedleńczych projektów urzeczywistniono powstałaby w jakimś odległym punkcie świata nowa społeczność polska, która w przyszłości stałaby się czymś w rodzaju kolonii odbudowanej Polski.

Owiany groźnym podmuchem północy ściągam tom „L” encyklopedii z półki i czytam pod Labrador :

„...Klimat jest niezmiernie surowy i ludność tubylcza wycierpiała wiele na skutek licznych chorób przed przybyciem misji Braci Morawskich (Moravian Missions) oraz ekspedycji lekarskiej Sir Wilfred Grenfell'a. Obecnie jedynymi oazami na pustyni są schroniska „Unitas Fratrum”...

...Najważniejszym przemysłem jest rybołówstwo i traperstwo.

...Ludność oblicza się na 50 tysięcy. Na cyfrę tę składają się eskimosi i Indianie oraz nieco białych (some whites)”.

Nie ma co — ładnie bylibyśmy wyglądali. Bylibyśmy zbudowali wspólną kolonię zwłaszcza, że większość z nas świetnie nadaje się do rybołówstwa i traperstwa.

Ci, którzy cudem wyrwali się z Kołomyi i z łagrów pod kołem podbiegunowym — w swej naiwności zapewne nie przypuszczali, że mędrcy w Londynie snują projekty osiedlenia nas — po spełnieniu obowiązku żołnierskiego — na... Labradorze. Tam naszą nową misją byłoby wypełnić dziejowy testament Ligi Morskiej i Kolonialnej.

„Wiadomości” swą labradorską sagę motywują w następujący sposób : „Masa (polskiej emigracji), która pozostała na zachodzie Europy była wciąż jeszcze dość liczna. Nasuwała się myśl o celowym pokierowaniu jej losami. Nie było to możliwe w Europie. Ale kto wie czy nie byłoby możliwe na półkuli zachodniej”.

Na Zachodzie mamy możliwość kształcenia młodego pokolenia. Mamy możliwość czytania takich świetnych pism jak „Wiadomości”. Jesteśmy w centrum cywilizowanego świata i możemy uczyć się i studiować by choć w części wyrównać ów kataklizm bolszewickiego średniowiecza, które dła wi kulturę polską w Kraju. Mamy możliwości działania politycznego, kulturalnego, propagandowego. I pomyśleć, że zamiast tego mogliśmy się znaleźć na Labradorze, bo pewna grupa mędrców pragnęła „kierować naszymi losami”.

„Kierownicy naszych losów” spisali się niestety bardzo wątpliwie ale fakt, że brakło im energii by osiedlić nas na Labradorze Historia zapisze na ich dobro.

Rozumiem w zupełności Żyda, doktora filozofii z Wiednia, który w Palestynie doł obecnie krowy w kibucu. Palestyna jest jego ojczyzną. Ale w imię czego polski doktor filozofii miałby wędzić szprotki na Labradorze ? O ileż lepiej by mył już owe przysłowiowe talerze u Lyonsa — jeżeli nie można inaczej — ale dwa dni w tygodniu wolne od pracy mógł spędzić w bibliotece, w teatrze czy u siebie w domu czytając „Wiadomości”.

A może na Labrador czy do innych miejsc „na pierwszy rzut oka mniej pociągających” jechać miała tzw. „szara brać żołnierska” a parnas intelektualny i polityczny dla dobra sprawy byłby pozostał w tym szkaradnym Londynie ?

BOMBA ATOMOWA NA POLSKĘ

W czasie swej rozmowy z gen. Eisenhowerem i gub. Stevensonem na krótko przed wyborami w St. Zjednoczonych — gen. Sosnkowski domagał się przyrzeczenia, że w razie wybuchu konfliktu zbrojnego bomby atomowe nie zostaną zrzucone na Polskę.

Osobiście wydaje mi się, że to jest zagadnienie ściśle tajne i wszelkie rozmowy na ten temat winny być prowadzone na najwyższym szczeblu

i z zachowaniem całkowitej tajemnicy. Amerykanie mogą (i powinni) zapewnić nas, że na Polskę nie będą zrzucone bomby atomowe — byłoby jednak błędem gdyby tego rodzaju deklarację podano do publicznej wiadomości. Jeżeli takim zapewnieniu nadano by rozgłos to wówczas podobne gwarancje atomowe należało by przyznać Niemcom Wsch., Czechosłowacji, Rumunii, Węgrom a logicznie biorąc również i Litwie, Ukrainie, państwom bałtyckim itd.

Sprawa wydaje się prosta i jasna. Prof. Stroński na ostatnim posiedzeniu Rady Politycznej zajął podobne stanowisko dodając, że „nie podobna oczekiwać odpowiedzi, w której by Ameryka oświadczyła, że nie rzuci bomby atomowej na Polskę, bo byłoby to chyba na to, aby Rosja stworzyła sobie bezpieczny rezerwat zbrojeń na tym obszarze, co dopiero musiałoby wywołać konieczność szczególnych bombardowań”.

Wypowiedź prof. Strońskiego londyński korespondent detroickiego „Dziennika Polskiego” p. Cat-Mackiewicz skomentował w sposób następujący :

„I oto ten człowiek (prof. Stroński) dnia 15 listopada zakończył swą długą działalność polityczną protestem przeciwko wysuwaniu żądania, aby broń atomowa czy wodorowa nie była skierowana na terytorium polskie. Zdaniem p. Strońskiego Sowiety wtedy przeniosą do Polski swój przemysł wojenny. Hipoteza ta oczywiście nic nie jest warta nawet polemizować z nią nie warto, ale jakże ponury jest obraz Polaka do tego stopnia obojętnego na życie narodu, którego członkiem był dotychczas. Pan Stroński zachęcał do rzucania na nasze terytorium bomb atomowych dnia 15 listopada, a 17 listopada ogłoszono w Londynie wyniki zniszczenia spowodowanego przez bombę wodorową. Czy wyobrażacie sobie, że ten człowiek zgadzający się na potworny mord narodu polskiego będzie mógł wrócić do Kraju ?

Rada Polityczna nie odcięła się od przemówienia prof. Strońskiego. Przeciwnie podała je do wiadomości w sposób aprobujący.

Mamy więc prawo powiedzieć : Z ludźmi, którzy nie chcą przeciw działać mordowaniu narodu polskiego — nie wspólnego mieć nie chcemy i nie mamy”.

Posunęliśmy się w emigracyjnej neurozie daleko. Oskarżenia wzajemne o zbrodnie stanu, o łamanie konstytucji, o wysługiwanie się obcym wywiadam — są na porządku dziennym. Ale nawet jak na chorobliwe stosunki emigracyjne, zarzuty p. Mackiewicza są zbyt nieprzytomne w swej oczywistej bezsensowności.

LONDYŃCZYK

Der MONAT

MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKYEGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

Kronika ukraińska

Nieporozumienie czy tani patriotyzm ?

NOTA REDAKCJI

W związku z listem ks. Józefa Z. Majewskiego i serią spowodowanych tym listem wypowiedzi naszych Czytelników, które drukujemy poniżej — pragniemy zaznaczyć co następuje:

1. Kolumna Listów do Redakcji jest „wolną trybuną” i poglądy wyrażane w listach są wyrazem prywatnych opinii Czytelników a nie Redakcji „KULTURY”. Wystarczy pobieżnie przejrzeć ten dział by stwierdzić, że zamieszczamy przeważnie listy, które wyrażają krytykę naszych poglądów, względnie reprezentują stanowisko odmienne od tego, które w danej sprawie zajmuje Zespół „KULTURY”. Nie drukujemy listów z pochwałami i komplementami bo uważamy, że na to szkoda miejsca.

2. Odnosnie meritum sprawy pragniemy przypomnieć naszym Czytelnikom, że pogląd Zespołu „KULTURY” na zagadnienie ziem wschodnich sformułowaliśmy kilkakrotnie omawiając te sprawy w artykułach J. Łobodowskiego i J. Mieroszewskiego. Celem uniknięcia nieporozumień definiujemy nasze stanowisko powtórnie:

Polska może odzyskać i utrzymać byt niepodległy tylko w ramach sfederalizowanej całej Europy. Twierdzimy, że prawo udziału w przyszłym europejskim federacyjnym związku mają nie tylko narody, które tworzyły niepodległe państwa w r. 1939, lecz również Ukraińcy i Białorusini. Z uwagi na niebezpieczeństwo imperializmu rosyjskiego, obecnie i przyszłe — powstanie niepodległej Ukrainy i jej uczestnictwo w europejskim związku federacyjnym — dla Polski jest sprawą pierwszorzędного znaczenia.

Jest nonsensem i złą wolą każdemu, który usiłuje wyprostować tragiczny splót stosunków polsko-ukraińskich zarzucać sprzedawczykowstwo i handlowanie ziemiami Rzpltej. Na emigracji nikt nie jest upoważniony do zaciągania jakichkolwiek zobowiązań dotyczących zmiany granic. Nie zwalnia nas to jednak od obowiązku usiłowań zmierzających do wypracowania nowych form i koncepcji — zwłaszcza, że od roku 1939 zaszły wielkie zmiany i odbudowa sytuacji przedwojennej na ziemiach wschodnich wydaje się nam zarówno niemożliwa jak i niepożądana.

Wychodząc z takich założeń artykuł J. Łobodowskiego „Przeciw upiorom przeszłości” (Kultura nr 2/52 — 3/53) — zapatrzylismy notą od redakcji z zaznaczeniem, że pogląd autora w tej sprawie pokrywa się z opinią Zespołu „KULTURY”.

Niestety istnieje spory odłam polskich polityków i publicystów na emigracji, którzy sądzą, że obrona Polski obejmuje również konserwację sporu polsko-ukraińskiego i w zrozumieniu tej grupy każdy krok zmierzający do porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami jest zdradą i zbrodnią stanu.

Sytuacji polsko-ukraińskiej z r. 1939 ani w jej aspekcie politycznym ani terytorialnym nie uważamy za ideał, który bez zmian należy odbudować. Wręcz przeciwnie. Ponieważ w chwili obecnej istnieje ponad 30 zatargów granicznych w Europie wschodniej i środkowo-wschodniej — nie ulega wątpliwości, że gdy przyjdzie do organizowania nowego systemu europejskiego wiele granic — w tym i wschodnia granica Polski z r. 1939 — muszą być poddane rewizji. Istotną w tym zagadnieniu jest tylko jedna sprawa a mianowicie, by ewentualne zmiany czy korektury nie były narzucone czy podyktowane, lecz by opierały się o swobodnie powziętą decyzję narodów polskiego i ukraińskiego. Jesteśmy zwolennikami zmian, ale zwolennikami tylko takich zmian, za którymi wypowiedzą się w przyszłości upoważnione reprezentacje narodów polskiego i ukraińskiego.

Uważamy natomiast, że tu na emigracji jest naszym obowiązkiem przedyskutować w przyjaznej atmosferze całość tych spraw w nadziei wypracowania koncepcji, która posłużyć by mogła w przyszłości za podstawę rozmów polsko-ukraińskich.

Zespół „KULTURY”

Szanowny Panie Redaktorze!

Antokol, 22.11.1952.

Prawdopodobnie nie zamieści Pan tego listu, jak nie zamieścił poprzedniego, do którego asumpt dał mi jeden z wierszy p. Miłosza, drukowanych w „Kulturze”.

Mimo to nie mogę (przywilej czytelnika!) nie zaprotestować przeciwko listowi J. Z. Majewskiego... aż z Pretorii w Afryce Południowej, opublikowanemu w numerze listopadowym „Kultury”.

Mniejsza już — delikatnie mówiąc — o „nieścisłości” w sprawie Lwowa i Wilna, od których roi się w liście. Jest on ponadto obrazą uczuć olbrzymiej z pewnością większości Polaków, którzy dobrze rozumieją, że

polski Lwów i polskie Wilno, a nie zrzeczenie się ich, jak naiwnie sądzi i — co gorzej — propaguje ks. Majewski, a więc tylko Polska duża i silna, mocno wsparta o Ziemię Wschodnią, jest rękojmią nie tylko utrzymania Ziemi Zachodnich, ale i zachowania niepodległego bytu.

Polska mała i słaba, z którą nie będą się liczyli przyjaciele i wrogowie, może utracić nie tylko Wilno i Lwów, lecz Szczecin i Wrocław, a potem Gdańsk i Poznań, Katowice i Łódź, aż po samą Warszawę...

Nie wiem, bo nie zostało dotąd jasno sformułowane, jakie jest stanowisko „Kultury” w tej zasadniczej sprawie.

Myślę jednak, że obiektywizm Redakcji, którego zresztą całkiem zabrakło w moim wypadku — nie idzie tak daleko, aby miała się solidaryzować z ks. Majewskim i jemu podobnymi historykami i politykami.

Myślę, że co innego jest dyskusja nad formą naszego współżycia z Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami na polskich ziemiach wschodnich, a co innego otwieranie im — zresztą wzajemnie skłóconym w swoich pretensjach — na ścieraj wrót do tych ziem.

Umieszczenie więc listu ks. Majewskiego niewątpliwie było wielkim błędem i nie przysporzyło „Kulturze” popularności wśród licznej rzeszy przebywających na emigracji wilnian i lwowian.

Nie występuję zresztą w ich imieniu, będąc bowiem warszawiakiem, nie jestem do tego upoważniony.

Piszę po prostu jako skromny Polak, ogarniający swoją miłością w równej mierze cały obszar Rzeczypospolitej : i tej historycznej i tej przedwojennej, i tej obecnej, i tej, która musi wyłonić się z obecnego chaosu politycznego i bezdroży ideowych.

Piszę jako człowiek, który czuje i rozumie, że żyć i umierać warto jest tylko dla rzeczy wielkich.

Z poważaniem

Józef RELIDZYŃSKI
Antokol, Beckenham, Kent

Dn. 23 listopada 1952 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Człowiek, który się do Pana z powyższym listem zwraca, należy do pokolenia wychowanego całkowicie w wolnej i niepodległej Polsce. Nie popełnił więc przesady, jeśli stwierdza, że wyrosłem w atmosferze wolności, bez niewolniczych kompleksów przeszłości, szczególnie zaś bez uprzedzeń dzielnicowych, których my młodzi nigdy nie rozumieliśmy, a które nas — nota bene — smuciły, czasem drażniły, zależnie od okoliczności. Tym mniej interesowały nas jakieś tam tkwiące w naszych rodzicach kompleksy antyniemieckie, antyrosyjskie, czy antylitewskie. Nie znaczy to, by mnie, czy moich przyjaciół z tego okresu nie interesowały zagadnienia polityczne, gospodarcze i społeczne. Mielśmy na to różne organizacje młodzieżowe, w których wyładowywaliśmy nadmiar energii, intelektualnej i gdzie kształtowaliśmy i rozwijaliśmy — mam wrażenie w zdrowy sposób — nasze społeczne i polityczne instynkty.

Mogę Pana zapewnić, że pod jednym względem cała młodzież, a przynajmniej ta jej znaczna część, z którą się ja zetknąłem, była zgodna; myśleli mianowicie o granicach Polski i o czci dla ludzi, którzy te granice wyryłali. Narodowiec, socjalista, czy ludowiec, jednakowo uznawaliśmy wielkość Paderewskiego, Hallera, Witosa, Dmowskiego, Żeligowskiego czy Korfańskiego, jednakową część oddawaliśmy „Orłętom lwowskim”, jak powstańcom śląskim czy też poznańskim. Kończyła się dla nas ideologia polityczna tam, gdzie się zaczynała Polska.

Prawie cały okres okupacji niemieckiej spędziłem w Kraju i znów mogę Pana zapewnić, Panie Redaktorze, że wykazaliśmy wyjątkową jednolitość. Zresztą, czyż potrzeba o tym, o czym każdy wie, pisać? Czy czytał Pan chociaż jedną tajną gazetkę przez nas wydawaną, czy czytał Pan, jak sobie wyobrażaliśmy przyszłą Polskę, tę Polskę, dla której z radosnym (bez emfazy literackiej) uśmiechem ginęli nasi chłopcy i dziewczęta w egzekucjach ulicznych z okrzykiem: „Dulce et Decorum...” Czy wie Pan może o naszych wysiłkach nawiązania kontaktów z naszymi rówieśnikami z grona mniejszości narodowych i o doświadczeniach, jakie z tych naszych usiłowań wynieśliśmy? Czy wierzy Pan naszym dojrzałym poglądom opartym na eksperyencji i na jakże realnym przeżywaniu żywej i krwawiącej otwartymi ranami historii Polski?

Pan wybaczy mi szczerość, Panie Redaktorze, ale zarówno Pan, jak i Pańscy „federacyjni” koledzy jesteście ludźmi „nie z tej ziemi”, jeśli ośmielacie się insynuować nam poglądy, które my — nie bojąc się ostrych słów — już dawno nazwaliśmy, może dość ordynarnie, ale za to trafnie zdradą Polski. Co więcej, stawiamy Was niżej od Pana Mikołajczyka, bo ten przynajmniej jako wytłumaczenie ma specjalne okoliczności, wśród których zrodziła się jego polityka tzw. realizm. Wy nie macie dla nas żadnego wytłumaczenia! Siedząc w wygodnych fotelach, często za subwencjonowane (pochodzące ze zbiorów takich, jak ja, prostych robotników) honoraria — wypisujecie bajeczki chyba dla ukraińskich polonofobów, bo przecież nie gwoli uradowania serc polskich.

Toteż, nie mogąc w inny sposób zaprotestować przeciwko (na szczęście) teoretycznym handlom Lwowem i w ogóle naszymi ziemiami wschodnimi (dziwi mnie, że nie zaczęliście Panowie do tej pory dyskusji z Litwinami względnie Białorusinami na temat Wilna, a z Niemcami na temat Szczecina, Gdańska i Wrocławia, bo jak federacja, to czemu z Ukraińcami tylko, a nie z Litwą, Białorusią i Niemcami!) — zawiadamiam Pana uprzejmie, że z dniem 1 grudnia b. r. rezygnuję z abonowania „Kultury” i więc proszę mi Pańskiego Pisma nie przysyłać.

Łącząc wyrazy szacunku
Mieczysław NOWARA
H. C. West Sale, Vic, Australia

Związek Ziem Półn.-Wsch.
Rzeczypospolitej Polskiej
Zarząd Główny

Londyn, 29 listopada 1952 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Nr 11/61 1952 „Kultury” umieszczony został list Ks. Józefa Majewskiego, w którym, jeżeli autor jest Polakiem, dopatrujemy się wypowiedzi podlegających kodeksowi karnemu za zdradę stanu.

Ponieważ list ten został umieszczony bez żadnych komentarzy ze strony Redakcji, zapytujemy Pana Redaktora, jak Redakcja „Kultury” zamierza stwierdzić, że nie solidaryzuje się z treścią tego listu.

Z poważaniem,

Vice-prezes:
E. CHEŁCHOWSKI

Prezes:
St. TYSZKIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu listu ks. Józefa Z. Majewskiego zamieszczonego w cennym miesięczniku „KULTURA” Nr 11/61, każdy z nas musiał w swej duszy przeżywać niezwykle wstrząs, albowiem to co powiada dziś ks. Ma-

jewski o Lwowie i Wilnie, jako miastach niepolskich — mówił poprzednio Stalin, a p. Bierut o tyle okazał się subtelniejszy, iż te części Polski, w które wchodziły wymienione miasta polecił przekazać Stalinowi rękami Mikolajczyka, dziś zaś ks. Majewski, prawdopodobnie ksiądz wyznania rzymskokat., uzasadnia niejako ten ich krok argumentami, które w świetle historii są nie tylko sprzeczne ale nieścisłe i niemerytoryczne.

Pochodząc z kresów południowo-wschodnich z dziada pradziada, wiem, zdaje się cokolwiek więcej od ks. Majewskiego. Sięgnąwszy myślą do najbardziej odległych czasów, znalazłem w archiwum Ossolińskich pewien dość interesujący akt o ile pamiętam z XV wieku, gdzie było powiedziane, iż król Bolesław Chrobry idąc na Kijów w r. 1018 zatrzymał się w większej osadzie Lwów, gdzie gromadziły się Jemu w sukurs spieszące wojska z Rusi halickiej. Późniejsza historia polska mówi o szeregu miast, które odgrywały mniejszą lub większą rolę. Zbaraż, Trembowla, Buczacz, Podhajce, Stanisławów, Brzeżany, Tarnopol, Złoczów, Jaworów, Zółkiew, Zaleszczyki. no i Lwów. Wszystkie te miasta, rozsiane na całej przestrzeni Małopolski wschodniej stanowiły niejako posterunki kluczowe do tego stopnia, iż będzie można powiedzieć słowami poety :

*My wszędzie tam tkwili jak potężne skały
o które orkany żądła swe tępity.*

Po ostatnim rozbiórce Polski, gdy cała Małopolska pod nazwą Galicji weszła w skład Monarchii austr.-węgierskiej, to właśnie najprędzej i najpotężniej odradzał się duch narodowy w tej części kraju, którą tak wspaniałomyślnie Ks. Majewski ofiaruje Ukraińcom, pomijając ten zasadniczy szczegół, iż w tym rejonie nie było Ukrainy historycznej, nazwy którą nadał król Bolesław Chrobry ziemi przydnięprzańskiej zwiąc ją O K R A I N A. Ks. Majewski nie znając historii tej ziemi (Małopolska wschodnia) postępuje dziś w identyczny sposób jak Zagłoba ofiarowujący Niemcom i Szwedom.

Najpotężniejsze umysły mężów stanu, patriotów polskich i wszystkich tych, którzy nie pozwolili Narodowi usnąć w marazmie, rodziły się czy pochodziły właśnie i przeważnie z tych ziem. Szereg wybitnych nazwisk polskich pozwalał sobie przytoczyć: Gołuchowscy, Badeniowie, Smolka, Dzie duszyccy, Skarbkowie, Lanckorońscy, Koniecpolscy, Bilińscy, Dulębowie Ossolińscy, Ujewscy, Sobiescy (Król Jan III), Zółkiewscy, Rozwadowsky, Balcer, Piniński, Zakrzewski, Foałat, Konopnicka, Głabiński, Zamorski, Pawlikowski, Korytowski, Cielecki, i tylu tylu nie sposób wszystkich wyliczyć, a których nazwiska w życiu Narodu ujarzmionego miały swój ciężar gatunkowy. Lwów był oazą polskości.

We Lwowie przebywali królowie : Jan Kazimierz, Kazimierz Wielki, Jan III, a po roku 1863 we Lwowie przebywał ostatni rząd polski pod czułą opieką całego społeczeństwa z Bronisławem Schwarce na czele i z chorążym Wizunasem. We Lwowie nie było niemal takiej ulicy, której nazwa nie była wątkiem historii. We Lwowie organizował swoje Legiony Piłsudski.

Mimo bezsprzecznych zasług jakie położyli choćby tylko ci wymienieni, popełnili razem w swym dobroczynnie fatalny błąd, mszczący się na naszym odrodzeniu narodowym. Wszyscy ziemianie byli Polakami, nie było ziemian Rusinów, a że wówczas nie było na tej ziemi antagonizmu narodowościowego, przeto każdy z nich fundował cerkiew obrządku unickiego, w których przebywali jako kolatorowie. Kościołów rzymsko-kat. było w stosunku do unickich — mało. Potrafili to wykorzystać parochowie unicy, przy bardzo biernym ustosunkowaniu się księży rzymsko-kat. Pod koniec panowania Habsburgów wniecono na tych ziemiach hasło Ukrainy, dla przeciwstawienia się szerczącemu się prawosławiu. Gromada prowodyrów

ukrainizmu „galicyjskiego” a pod egidą upadających Niemiec pragnęła uchwylić władzę w r. 1918. Odruch polski we Lwowie przeciwstawił się ; a z chwilą przybycia odsieczy wyrzucono napastników poza Zbrucz. Najciekawszy jest w tym ten moment, gdy tych prowodyrów nie chce przyjąć właściwa Ukraina, po czym ci sami przechodzą z powrotem na naszą stronę pod Zmerynką, natomiast polskie wojska wkraczające na Ukrainę były witane z nieklamana radością.

Zechce Pan Redaktor przyjąć moje wyrazy szacunku.

SKARBK-MICHAŁOWSKI
34, Shirland Rd, London W. 9

Szanowny Panie Redaktorze !

W poczytnym piśmie W. Panów, Nr 11/61, ukazał się list Ks. Józefa Z. Majewskiego, w sprawie ziem wschodnich Rzplitej Polskiej, który oburzył mnie jako Polaka do głębi.

Najpierw ciekawi mnie, jakiej narodowości jest Ks. Majewski, który lekką a szczerą ręką oddaje Litwinom Wilno, a Ukraińcom Lwów. Przytacza Wielebny Ksiądz, że „3/4 Polaków na emigracji pochodzi z tak zw. Kresów Wschodnich”. To, że ci ludzie ginęli jako żołnierze za całość Państwa Polskiego na morzu, lądzie i w powietrzu wcale nie obchodzi i nie zastanawia wielebnego autora. Byle tylko zaspokoić Litwinów i Ukraińców (Rusinów). Nawet proponuje, aby „sino-żółty” sztandar powiewał nad Lwowem, a „kolonizatorów” polskich ze wschodu przerzuci wielebny ksiądz spokojnie na kolonizowanie Ziemi Odzyskanych.

Nawet p. Mikolajczyk — jak podaje w swej książce „Rape of Poland” — sprzeciwiał się oddaniu wschodnich terenów Państwa Polskiego, ale był, jak twierdzi, zmuszony przyjąć dyktat trio jałtańskiego.

Może wielebny ksiądz wyemigrował z Polski przed rokiem 1939 na znak protestu przeciw łączności Ziemi Czerwieńskiej i Wileńskiej do Macierzy.

My — jednak — zostaliśmy tutaj na emigracji, jako żywy protest przeciw kupczeniu naszą ziemią bez nas. Tak więc „wynurzenia” autora z Preterii (który — mam nadzieję — jest zupełnie osobniony w swoim rozumowaniu jeśli jest Polakiem) są chyba wynikiem działania zbyt gorącego słońca afrykańskiego).

Natomiast uważam, że „Kultura” jako pismo przeznaczone dla emigracji niepodległościowej, musi przestrzegać pewnych zasad i stać na stanowisku całości Państwa Polskiego, bo taka jest postawa całego Narodu Polskiego.

Jest to nie tylko kardynalny obowiązek obywatela do Rz-Pospolitej, ale nawet dobre obyczaje pisma niepodległościowego nakazują, by podobnych „wynurzeń”, godzących w całość Państwa Polskiego, nie umieszczać w piśmie nawet w formie listu autora, którego nazwisko robi wrażenie, że jest pisany przez Polaka.

Tuszę, że Redakcja „Kultury” na pewno nie przedrukowałaby listu jakiegos bierutowca, który by usprawiedliwiał zabór Polski przez Rosję, jak również listu jakiegoś Polaka, który by domagał się oddania Poznańskiego, Pomorza, Śląska i Łodzi Niemcom.

Mam przekonanie, że list Ks. Majewskiego został wydrukowany w „Kulturze” przez przeoczenie Redakcji.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Dr Tadeusz ROSOL
207 Roxton Rd
Toronto 8, Canada

Sprawy i Troski

Jeszcze o Free Europe

Szanowny Panie Redaktorze !

Czytelnik „Kultury” (Nr 11/61) dowiaduje się z artykułu Zygmunta Nagórskiego jr. pt. „Sprawa polska w USA”, że Radio Wolna Europa jest radiostacją par excellence amerykańską, jeszcze jedną imprezą, której zadaniem jest „to sell the Europeans the American way of life”. Twierdzenie to odbiega od prawdy tak daleko, że domaga się sprostowania. Należy się ono tym czytelnikom, którzy nie mając okazji słuchania naszej rozgłośni, nie mogą wyrobić sobie własnego osądu o jej programie.

Nikt nie zaprzecza, że Radio Wolna Europa powstało z inicjatywy i za pieniądze amerykańskie. Inicjatywę tę podyktował Amerykanom dobrze zrozumiany własny interes oparty na amerykańskiej zasadzie obrony wolności. Stworzenie dla Polaków na Zachodzie możliwości swobodnego przemawiania do Kraju z własnego, polskiego punktu widzenia, nawet jeśli nie jest on zawsze identyczny z amerykańskim — stanowi samo przez się najskuteczniejszą propagandę wolności. Z tego podstawowego założenia wywodzą się zasady, na których oparta została współpraca między Polakami i Amerykanami w Radio Wolna Europa.

Programy nie podlegają cenzurze i inicjatywa redakcyjna i polityczna należy całkowicie do Polaków. Żaden z nas — ani w Nowym Jorku ani w Monachium — nie spotkał się z nakazem nadania takiej lub innej audycji. Ramowe instrukcje są przedmiotem dyskusji z polskim kierownictwem, zanim staną się obowiązujące. W spornych sprawach obie strony szukają rozwiązania, które byłoby do przyjęcia dla jednych i dla drugich.

Czy Radio Wolna Europa jest zatem radiostacją par excellence amerykańską — jak twierdzi p. Nagórski? Czy też jest ono radiostacją polską w pełnym tego słowa znaczeniu? Najuczciwszą i najbliższą prawdy odpowiedzią na to pytanie będzie stwierdzenie, że w obecnym stanie rzeczy Radio Wolna Europa jest imprezą polsko - amerykańską — „Polish-American Partnership”. Polacy, zatrudnieni przez RWE traktowani są bowiem jako partnerzy, a nie płatni urzędnicy, zobowiązani do wykonywania instrukcji i rozkazów.

Polski zespół rozgłośni Wolna Europa nie rości sobie żadnych pretensji do odgrywania roli ośrodka politycznego. Uważa natomiast, że misja jego polega m.in. na utworzeniu pomostu i odbudowaniu łączności między rzeszą polską rozszaną po świecie, a okupowanym Krajem.

W zespole RWE znalazło się sporo polskich dziennikarzy, publicystów i aktorów, których nazwiska znane są dobrze polskiemu ogółowi. Przy rekrutacji personelu kwalifikacje zawodowe stawiane były na pierwszym miejscu. Równocześnie jednak starano się o to, by personel ten był możliwie najbardziej wszechstronny pod względem politycznym. Polski zespół RWE jest pierwszym bodaj od 1945 roku, który zjednoczył w zgodnej i harmonijnej współpracy — ludzi ze wszystkich ośrodków politycznych. Wydawało by się, że jest to nie tylko rękojmnią politycznej równowagi programu, ale także ważnym i pozytywnym osiągnięciem.

Żaden z polityków polskich nie usiłował dotychczas przekonywać słuchaczy, że jego partia ma za sobą większość w Kraju i żaden nie prowadził „agitacji przedwyborczej”. Słuchacze polscy mieli natomiast okazję z tych właśnie przemówień dowiedzieć się po raz pierwszy — że wbrew kłamliwej propagandzie reżimowej — stanowisko emigracji w sprawach o żywotnym znaczeniu — takich, jak zagadnienie granic lub niebezpieczeństwa przedwczesnego oporu czynnego — jest zgodne i solidarne.

Postawmy się na chwilę w położeniu amerykańskiego obserwatora, interesującego się zagadnieniami polskimi. Jakie wnioski może on wyciągnąć po przeczytaniu „sweeping statements” p. Nagórskiego, odnoszących się do RWE? Jeżeli jest dobrze poinformowany, będą one dla niego smutnym przykładem polskiego braku poczucia odpowiedzialności w formułowaniu ocen i sądów. Jeśli nie zna prawdziwego stanu rzeczy — mogą one wytworzyć zupełnie fałszywe pojęcie o instytucji, która z punktu widzenia polskich interesów spełnia niewątpliwie niezmiernie pożyteczną rolę.

Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

S. Strzetelski
New York

J. Nowak
Monachium

NA MARGINESIE SPRAWY POLSKIEJ W USA

Analiza, żywa i prawdziwa charakterystyka oraz trafna ocena sytuacji sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych, ogłoszona na łamach „Kultury” przez Zygmunta Nagórskiego jra. — szczególnie, jeśli idzie o odcinek Komitetu Wolnej Europy — jest niemal bez zarzutu. Stało się dobrze, że właśnie Zygmunt Nagórski jr, jako człowiek niepodważalny o tendencje niechętnie współpracy polsko-amerykańskiej, realizowanej na platformie Komitetu Wolnej Europy, dał tak druzgocący i surowy obraz oznaczający fiasko dotychczasowej akcji. Bo jeśli nie ma sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych po trzech latach inicjatywy zakreślonej na takie rozmiary i popieranej takimi środkami, jak się to dzieje w Komitecie Wolnej Europy, to znaczy, że inicjatywa w obecnej formie nie rokuje już żadnych nadziei. Znaczy to również, że wymaga gruntownej przebudowy i reform zarówno co do metod i systemu, jak zasadniczych założeń, jak wreszcie — ludzi. Ostatecznie wszystko zależy od ludzi.

Są dwa elementy w tym zagadnieniu: amerykański i polski. Oba — jak to stwierdza Nagórski — nie zdały egzaminu. Każdy z nich popełnił błędy.

Amerykanie błędzą dlatego, że ulegli mylnemu wrażeniu, jakoby ustalone przez nich doktryny i wynikający z nich system miał odpowiadać każdemu środowisku na świecie, a również emigracjom korzystającym z ich pomocy materialnej i moralnej. Ten błąd towarzyszy zresztą Amerykanom nie tylko na odcinku polskim i nie tylko w Komitecie Wolnej Europy, ale tu przyjął bodaj najbardziej jaskrawe formy.

Doktryna amerykańska streszcza się w teorii, która w skomplikowanych sytuacjach każe szukać drogi pozornie najłatwiejszej, co w bezpośredniej konsekwencji prowadzi do konieczności wymagającej przymusu i nacisków, jeśli najłatwiejsza droga nie budzi aprobaty u partnera. Na odcinku polskim Amerykanie — widząc kotłowość emigracji — postanowili działać w oparciu o jeden stały element, który uznali za najpewniejszy dla siebie. Wybór padł na Mikołajczyka. Rzecz ma swoją historię, której tu dotykać nie będę. Od tej chwili Amerykanie, cokolwiek podejmują na odcinku polskim, włączają w tę inicjatywę Mikołajczyka, jako reprezentanta sprawy polskiej, bez którego nic się odbyć nie może.

Można oceniać Mikołajczyka tak lub inaczej, ale nie podobna zaprzeczyć, że na emigracji — w najlepszym razie — posiada on najmniejsze i znikome oparcie. To zaś, o czym się mówi na temat wpływów Mikołajczyka w Kraju jest tak samo całkowicie niesprawdźalne w obecnych warunkach, jak wpływy każdej innej grupy. Mechaniczne wnioski, że skoro w Polsce jest większy lub mniejszy procent chłopów to dlatego były prezes stronnictwa chłopskiego powinien mieć największy głos na emigracji — jest wnioskiem tak samo omylnym, jak wątpliwe

byłoby przekonanie, że pełne w dzisiejszej Polsce kościoły oznaczają, że w przyszłości, w wyzwolonym kraju, najsilniejszą partią będzie partia katolicka. Wszystko, cokolwiek się powie na ten temat na emigracji jest dowolnością pisaną na wodzie.

Jedynym sprawdzalnym dziś elementem jest fakt, że Kraj pozostający pod obcym uciskiem chce wyzwolenia i nie uzależnia go od wpływu czy pierwszeństwa żadnej partii ani żadnego człowieka, choćbyśmy go tu uważali za największego bohatera. Jest to również drugi fakt, że emigracja w tym celu pozostaje poza Krajem, aby — zgodnie z powszechnym, choć nie ujawnianym nurtem Kraju — uczynić wszystko, co możliwe, w zakresie zrealizowania i przyspieszenia akcji wyzwolenia.

Te dwie okoliczności narzucają wniosek, że aby współdziałać ze stroną polską w sprawach dotyczących Polski — trzeba współdziałać z wszystkimi Polakami, a nie tylko z tymi, którzy okazują się najłatwiejsi. Jeśli zaś można było mieć wątpliwości co do słuszności tej zasady, to trzechletnie doświadczenie na odcinku Komitetu Wolnej Europy jest chyba dostatecznym dowodem, że dotychczasowa doktryna, choćby pozornie zachęcająca — jest błędna. Sprawy europejskie w ogóle, a sprawa polska wśród nich — wymagają z reguły trudniejszych metod działania, aniżeli analogiczne zagadnienia w Ameryce. I na tym polega główne nieporozumienie ze strony Amerykanów, którzy do spraw nieamerykańskich przykładają własną miarkę.

Tak samo błędne jest znglowanie etykietkami określającymi większą lub mniejszą albo zgoła wątpliwą prawomyślność różnych ludzi i grup wobec zasad czy programu demokracji. Od kiedy demokracje zachodnie podjęły jawną, a nawet serdeczną współpracę z Jugosławią Tity i weszły na drogę ustalenia współpracy z Hiszpanią Franco — wszystko, co słyszemy ze strony Amerykanów na temat „faszystów” i „demokratów” polskich brzmi jak złośliwa niedorzeczność. Brzmi to tym bardziej nieszczerze i niedorzecznie, jeśli widzimy, że na przykład wśród polskich „faszystów” jedni — z tego ni z owego — są godni współpracy z demokracją, a drudzy — nie. Dlaczego? — nikt nie potrafi tego wyjaśnić zgodnie z pełnym sensem i prawidłową logiką?

Ten mętlik upozorowany rzekomym podkładem „ideologicznym” pozostającym w rażącej sprzeczności z „ideologią” stosowaną na innych odcinkach, nie tylko wywołuje wrażenie chaosu, sztuczności tak zwanych zasad i zakorzenionych uprzedzeń, powoduje dalsze, bardzo ujemne następstwa po stronie polskiej.

Bardzo obszernie napisał o nich Zygmunt Nagórski i nie wiele w tej sprawie można dodać. Ale jeśli szukać przyczyn „inercji” polskiej, którą Nagórski uważa za główną przewinę polską na rynku amerykańskim, a mówiąc ściślej na odcinku Komitetu Wolnej Europy, to jest ona bezpośrednim rezultatem systemu mocodawców tej instytucji, opartego na wyróżnianiu jednych grup i jednych ludzi od innych gorzej lub źle widzianych, na rozróżnianiu „faszystów” i „demokratów”, co w kon-

sekwencji powoduje bardzo ludzką reakcję. Nieforytowani dbają o swoją poprawność więcej, niż potrzeba, a na przykład wczorajsi „faszyści” czy „półfaszyści” czy choćby podejrzani o „fasyzm” w dalekiej przeszłości, czynią wszystko, aby uzasadnić, że oskarżenia i podejrzania są niesłuszne. Powiedziałem, że jest to reakcja ludzka, chociaż naturalnie odległa od ideału, wymaganego od przedstawicieli polityki narodowej, a choćby narodowego stanowiska. Tak się jednak złożyło, że w Komitecie Wolnej Europy nie ma tytanów, są tylko ludzie pragnący żyć. Ten dobór wynikł konsekwentnie z systemu amerykańskiego, który szukał ludzi łatwych, a unikał opornych.

W tym splocie wzajemnych przyczyn i win trudno mówić i myśleć o polskim ośrodku politycznym, którego postulat tak słusznie wysunął Zygmunt Nagórski. Jeśli ludzie, a nie tytani, za główne swoje zadanie uważają zachowanie własnej osobistej pozycji w instytucji, która zabezpieczyła im byt codzienny — czyż można mieć do nich pretensje, że pozycja sprawy ogólnej, którą mają reprezentować, o tyle znajduje u nich mniejszą troskę? Trzeba być ludzkim i wyrozumiałym sędzią słabości i warunków, wśród których one się rodzą.

Nie znaczy to, że nie trzeba żądać zmiany. Ale zmiana jest możliwa tylko wtedy, gdy zmieni się system i gdy Komitet Wolnej Europy przestanie być przytulkiem dla potrzebujących pomocy materialnej intelektualistów czy — co gorsze — pseudo-intelektualistów, jeśli nie zgoda półinteligentów, mających poparcie takiej lub innej partii. Pieniądze są na pewno nieodzownym środkiem do życia, który w formie żołdu pobiera nawet bohater walczący na froncie. Ale pieniądze nie mogą być celem, gdy mówimy o walce w imię ideałów. Niestety do Komitetu Wolnej Europy ludzie idą nie dlatego, że są żądni czynnego udziału w walce, która jest obowiązkiem każdego Polaka na emigracji, ale dlatego, że płacą tam więcej i za mniejszy wysiłek, niż w przeciętnej fabryce.

Ta atmosfera nie sprzyja bohaterstwu, które jest tu więcej potrzebne, niżby się to pozornie wydawało. Bohaterstwo w Komitecie Wolnej Europy polega na tym, że jego współpracownicy w imię obrony swego stanowiska winni być gotowi do wyrzeczenia się tego przywileju, jaki im stwarza współudział w materialnych dobrodziejstwach tej instytucji. Nie było wypadku, który mógłby potwierdzić wolę tego bohaterstwa, choć przyczyn było i jest wiele. Wystarczy wymienić sprawę nazwy radia polskiego w Monachium. Wystarczyłby sprzeciw wobec każdego nacisku stosowanego w stosunku do starych i znanych działaczy politycznych przez młodocianych funkcjonariuszy amerykańskich, rozstrzygających z nonszalancją o sprawach związanych z problemami polskimi. Czy trzeba wymieniać przykłady, aby wiedzieć, że w stosunkach pomiędzy polskimi współpracownikami Komitetu Wolnej Europy a jego mocodawcami — godna i właściwa postawa tych pierwszych nie jest zawsze pierwszą cechą Polaków, których Amerykanie mają

wśród siebie i wedle których oceniają środowisko polskie? Zygmunt Nagórski dał aż nadto wyraźny obraz tej upokarzającej sytuacji, gdy pisał o wyścigu ludzi spieszących „z zakamarków”, aby „na fali koniunktur” przepłynąć ocean zwany Ameryką, albo gdy wspominał o personaliach przenoszonych uporczywie i „jakże chętnie na teren zewnętrzny”. Albo gdy powiedział o „precyzyjnie wykonywanych instrukcjach” lub o tym, że w Philadelphii i Williamsburgu „inicjatywa była amerykańska, wykonanie amerykańskie, i tylko podpisy emigracyjne”. Jeśli widzi to Zygmunt Nagórski, jak zresztą widzą wszyscy inni Polacy, czy można przez chwilę przypuszczać, że nie zauważyli tego porządku rzeczy Amerykanie? A przecież mimo to i w Philadelphii i w Williamsburgu zjawili się posłusznie wszyscy „przedstawiciele” polscy — prócz reprezentanta rządu polskiego i w Williamsburgu prezesa Stronnictwa Narodowego, który bawił wówczas w Stanach Zjednoczonych. To mu zostało zapisane na konto zasług, choć był w Williamsburgu inny „przedstawiciel” jego partii, zawsze gotowy do usług i obecności.

Powiedział trafnie Zygmunt Nagórski: „nie ma dzisiaj miejsca przy stołach negocjujących na zaściankowość, na małość, na mentalność sklepikarzy dbających tylko o własny kramik i uważających każdego konkurenta za śmiertelnego wroga”.

Sprawiedliwość każe jednak powiedzieć, że początek reformy i zmiany wyjść musi od Amerykanów. Sklepikarze rozbijają wszędzie swoje kramiki, jeśli udzieli się im na to miejsca i stworzy warunki ich pokątnego handelku. Komitet Wolnej Europy stworzył te warunki i udzielił tego miejsca przy pomocy systemu, który wyeliminował ludzi szanujących swoją niezależność i rozumiejących sens sprawy, której służą. Ludzie tego typu znajdują się w każdym środowisku polskim i w każdym polskim stronnictwie, ale nie ma ich w Komitecie Wolnej Europy, a jeśli są — ulegli psychozie sklepikarzy, którzy narzucili swój styl i swoje obyczaje.

Pierwszym, praktycznym i głównym warunkiem reformy w stosunkach Komitetu Wolnej Europy ze środowiskiem polskim — a sądzić wolno, że i z każdym innym środowiskiem emigracyjnym — jest zmiana systemu współpracy polegająca na zarzuceniu najemnych umów współdziałania, zawieranych z pojedynczymi ludźmi i na przyjęciu systemu umowy zbiorowej z kierownictwem środowiska emigracyjnego i na przekazaniu mu kompetencji w dziedzinie doboru ludzi, ich honorowania finansowego i planu działania, uzgodnionego wzajemnie przez obie strony zainteresowane: amerykańską i emigracyjną.

Ten system wyeliminuje sklepikarzy. Zlikwiduje małość i zaściankowość, stworzy atmosferę zbiorowej ambicji, wprowadzi dyscyplinę działania i myśli, pozwoli na utworzenie ośrodka i samodzielną kontrolę wysiłku ze strony środowiska emigracji.

Ten sam sklepikarz, pobierający dziś pieniądze od kasjera amerykańskiego i z chytrą intencją dbały o jego względy — przemieni się we własnym szeregu w półtytana zdolnego do największego i twórczego wysiłku, gotowego do poświęceń i żywej inicjatywy, a przede wszystkim nawróconego z pozycji wyrobnika i wykonawcy cudzych dyspozycji do roli szermierza swej własnej idei, powiązanej odgórnie z ideami dysponentów Komitetu Wolnej Europy.

Tak zreformowana współpraca pozwoli wybrnąć z ciasnego zaułka, w jakie zapadła inicjatywa, dobrze zapewne pomyślana ale wykonana wbrew wszelkim zasadom potrzebnym we współpracy ludzi prawdziwie wolnych, wśród których nie ma przedziału na rozkazodawców i posłusznych wykonawców. Jeszcze żadna wielka idea, godna tej nazwy, nie zrodziła się w atmosferze opartej w gruncie rzeczy na wzajemnym zakłamaniu i zaprzeczeniu idei, która ma być gwiazdą przewodnią wielkiego boju o lepszą i jasną przyszłość.

Klaudiusz HRABYK.

Filadelfia, dnia 15. 11. 1952 r.

Szanowny Panie Redaktorze:

Pozwalam sobie tą drogą przesłać Panu Zygmunтови Nagórskiemu serdeczne podziękowanie za jego artykuł pt. „Sprawa polska w U.S.A.”, za odwagę i szczerłość wypowiedzianych sądów oraz za trafność w ocenie sytuacji. Koniunktura na sprawę polską w Stanach Zjednoczonych jest nadzwyczaj pomyślna. Z chwilą gdy Kongres a raczej Izba Niższa wyłoniła spośród siebie Komisję dla Zbadania Zbrodni Katyńskiej był to moment zwrotny. I niestety trzeba stwierdzić, że sprawę polską stawiają na platformie aktualności Amerykanie a nie tzw. polska emigracja polityczna, która się zamieniła dość szybko w emigrację zarobkową, lub też trzyma się, starym polskim zwyczajem, „pańskiej klamki” różnych amerykańskich komitetów. Byłem obecny na przeszło trzech czwartych posiedzeń Kongresu Polonii Amerykańskiej w Atlantic City. Poza kupą frazesów i poza żądaniem Polski od Odry i Nissy aż po linię Traktatu w Rydze żaden z mówców ze strony reprezentantów polskiej emigracji politycznej nie wysunął konkretnego planu działania ani też o istnieniu takowego nie mówił.

W obecnej chwili znajduję się w stadium przygotowywania do magisterium i rozpocząłem poszukiwania materiałów do mojej pracy magisterskiej. Ku memu zdumieniu nie znalazłem ani jednej broszury ani żadnej książki na temat Polski współczesnej a jedynie kilka broszur, wydanych przez Rząd Polski w Londynie podczas II-ej Wojny Światowej. Ktoś mógłby mi zarzucić, że mając zamiar pisać o „Systemie Rachunkowości w Ramach Polskiej Gospodarki Planowej” będę pisał o temacie bardzo specjalnym. Ale przecież swoje tezy muszę podmurować charakterystyką ogólnego położenia w Polsce. I na ten właśnie cel poświęciłem sporo czasu szperając w bibliotece Temple University oraz we Free Library of the City Philadelphia i innych mi dostępnych. Dlatego żywię głęboki szacunek dla Zespołu Redakcyjnego „Kultury” za podjęcie inicjatywy i wydanie numerów specjalnych poświęconych Polsce w cenie przystępnej dla każdego.

Łączę wyrazy szacunku i poważania
Bronisław S. WOJTUN

Najnowsza historia Polski

Gdańsk w stosunkach polsko-niemieckich

Mamy coraz więcej publikacji na temat drugiej wojny światowej, okresu ją poprzedzającego, jej przyczyn, przebiegu itp. Poczynają się mnożyć opisy niemieckie, w stosunku do Polski prawie bez wyjątku wrogie, używające na ogół tych samych argumentów, natomiast my, Polacy, z którymi, i o których wojna się zaczęła, wyglądamy tu bardzo ubogo.

Przeczytanie szeregu pamiętników niemieckich, opublikowanych na przestrzeni ostatnich dwu lat (v. Weizsäcker, P. Schmidt, E. Kordt, P. Kleist i v. Dirksen), przekonało mnie, że ktokolwiek z Polaków na uchodźstwie posiada wiadomości czy materiały odnośnie okresu czasu poprzedzającego wojnę, winien je ogłaszać, by przyczynić się do prostowania tendencyjnych i fałszywych twierdzeń i naświetlenia pamiętnikarzy niemieckich i innych. Ułatwi to ponadto, w terminie późniejszym, historyczne opracowania okresu tak doniosłego w dziejach Polski.

Dając przykład, za temat obrałem sprawę Gdańska, z którą były związane liczne lata mojej służby zagranicznej. Służbę tę rozpocząłem od pracy w Komisariacie Gen. R. P. w Gdańsku, przez co zyskałem sobie opinię eksperta gdańskiego. Każde moje odwołanie do Centrali Ministerstwa kończyło się też przydziałem do spraw gdańskich, mimo protestów z mej strony. Przez ostatnie 3 lata przed wojną byłem kierownikiem referatu gdańskiego M.S.Z., od początku r. 1938 również kier. ref. Ligi Narodów. Moje funkcje w okresie poprzedzającym wojnę były więc związane z zagadnieniem, z powodu którego rozbiły się stosunki polsko-niemieckie, oparte na układzie z r. 1934.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Gdańsk był uważany w r. 1939 za bezpośrednią przyczynę wojny polsko-niemieckiej, która przerodziła się w drugą wojnę światową.

Zaznaczyć pragnę, że referent gdański MSZ-tu korzystał z pewnego przywileju, a mianowicie miał bezpośredni dostęp do ministra spraw zagranicznych. Dawало mu to możność bliższego poznania założeń naszej polityki zagranicznej, jej taktyki, oraz lepszego orientowania się w jej całokształcie. Przywilej ten wypływał z zainteresowania ministra spraw zagran. wszelkimi przejawami stosunków polsko-gdańskich, oraz wagi, jaką przywiązywał do zagadnienia gdańskiego. Gdańsk był barometrem układu stosunków polsko-niemieckich, Gdańsk był — po wypowiedzeniu traktatu mniejszościowego — jedynym obiektem rozważań Rady Ligi N., w którym Polska była bezpośrednio zainteresowana, nadto Gdańsk, jako wchodzący w skład obszaru celnego Polski, był ważnym ogniwem w stosunkach gospodarczych Polski, wreszcie Gdańsk był przedmiotem czułej troski całego społeczeństwa polskiego i przez to wrażliwym punktem polityki wewnętrznej.

Opis mój pragnę poświęcić głównie wydarzeniom ostatnich lat przedwojennych.



Po układzie Warszawa — Berlin bynajmniej nie ustały spory między Polską i Gdańskiem, nie były jednak więcej wnoszone do decyzji Wysokiego Komisarza Ligi Narodów i w konsekwencji nie docierały do Rady Ligi. Starano się je załatwić w drodze bezpośrednich negocjacji, osiągając na ogół kompromis. Sytuacja dla strony polskiej była o tyle trudna, że jej partnerem był Senat gdański, tymczasem ostateczna decyzja po stronie gdańskiej, pobierana na miejscu, zależała od A. Forstera, Gauleitera na Gdańsk z ramienia Hitlera jako wodza partii narodowo-socjalistycznej. Forster został nasłany z zewnątrz i nie był niczym związany z Wolnym Miastem, nie kierował się też zupełnie interesem Gdańska. Ponadto wiadomo nam było, że Forster toczy walkę z prezydentem Senatu o władzę i wpływy. Inteligentnego i niezależnego Rauschninga nie zdołał sobie podporządkować, spowodował też jego usunięcie (Rauschning schronił się początkowo w Polsce i przystąpił do napisania swej rewelacyjnej książki o Hitlerze „So sprach Hitler...”), ostrzegając nas przed planami Hitlera w stosunku do Polski. A. Greiser, następca Rauschninga, urodzony w Poznańskim i stale zamieszkały w Gdańsku, był powolny Forsterowi, choć i między nimi były spory, na co Greiser uskarżał się przed Wysokim Kom. L. N. prof. Burckhardtem, dając również nam do zrozumienia, że on jest czynnikiem umiaru, podczas gdy Forster źródłem konfliktów. Jak dziś wiemy, aparat hitlerowski bynajmniej nie odznaczał się lojalną i harmonijną współpracą, wręcz przeciwnie — zawiści, walka o władzę i wpływy były

wyjatkowo zaciekle. Gdy pozycja Greisera stawała się coraz słabsza, strona polska zdecydowała się z konieczności do nawiązania nieoficjalnego kontaktu z Forsterem, do czego nas także namawiał prof. Burckhardt, utrzymujący z nim stosunki od początku swego pobytu w Gdańsku. Wyrazem nieoficjalnego kontaktu z Forsterem był jego przyjazd w lecie 1938 do Warszawy, przyjęcie go przez ministra spraw zagranicznych i tygodniowy objazd po Polsce, w którym towarzyszyłem Forsterowi i dwu senatorom gdańskim. Zaproszenie Forstera do Polski miało na celu zaznajomienie go z Polską i skłonienie do umiaru i współpracy. Cel ten został w pewnym stopniu osiągnięty, gdyż różne inicjatywy na szkodę stosunków polsko-gdańskich nie wychodziły więcej czy głównie od Forstera, jak na to wskazywały informacje jakie mieliśmy. Zresztą w sytuacji międzynarodowo-politycznej po kryzysie sudeckim zaborcze koncepcje co do Gdańska poczęły dojrzewać i nabierać kształtów na terenie Rzeszy i rola Forstera została ograniczona do wykonawcy rozkazów Führera, w którego ślepo wierzył i któremu wiernie służył.

Tydzień trwająca wspólna podróż dawała okazję do rozmów z Forsterem na różne tematy. Prymitywna, bezpośrednia i impulsywna jego natura pchała go do wypowiedzi, niewątpliwie szczerych, choć, za przykładem swego wodza, był on abstynentem. Początkowo stale powtarzał, niezawodnie nasłuchawszy się tego u swego mistrza, że życie między narodami nie może być oparte na „paragrafach” i od nich uzależnione. Jeśli chodzi o stosunki polsko-gdańskie to okazało się, że nie zna zupełnie tekstu „paragrafów”, na których opierały się wzajemne stosunki. Postanowienia Konwencji Paryskiej z r. 1920, będącej rozwinięciem artykułów Traktatu Wersalskiego co do Gdańska, przeto podstawą stosunków polsko-gdańskich, były mu kompletnie obce. Jednemu z towarzyszących mu senatorów (urzędnikowi z zawodu, dobrze obeznanemu z umowami polsko-gdańskimi), polecił, by go dopilnował w Gdańsku w przestudiowaniu podstawowych tekstów. Pobyt w Wilnie przekonał Forstera o polskości miasta, mówił mi też, że zaraz po powrocie z podróży udaje się z „raportem do Führera”, któremu powtórzy tę opinię, przekonany, jak gdyby, że będzie ona dla niego miarodajna.

Forster chciał być koniecznie na granicy polsko-sowieckiej, by przekonać się czy istotnie jest otoczona drutem kolczastym i zobaczyć strażnika sowieckiego. Tłumaczył mi, iż Führer oczekuje od niego raportu co do granicy. Zwiedziliśmy ją w okolicach Starej Wilejki. Strażnika sowieckiego Forster nie zobaczył. W związku jednak z bytnością nad granicą snuł wobec mnie fantazje o wspólnej niemiecko-polskiej wyprawie przeciw Rosji Sowieckiej i nie mógł zrozumieć, że Polacy odnoszą się do tego niechętnie. Któregoś dnia opowiedział mi o wieczorze spędzonym u Führera na krótko przed podróżą, na którym było poza nim jeszcze 5-ciu innych gauleiterów. Późno

w noc snuli plany na przyszłość. Wszyscy mówili zgodnie Führerowi, że jego powodzenia w każdej dziedzinie wymagają „uwieńczenia” zwycięską wojną, co go uczyni największym mężem stanu w dziejach Niemiec. Nie dziw też, że słuchając takich podszeptów, Hitlera trawiła gorączka wojenna. Zwiedzane w Polsce miasta (Warszawa, Wilno, Lwów, Kraków) i różne obiekty np. stajnia ks. Sanguszków w Gumniskach wywołały u Forstera takie wrażenie i nastrój, że zaproponował zakończenie podróży w Gdyni — konkurentce portu gdańskiego, w programie nieprzewidzianej (gdzie Forster nigdy nie był), o czym uprzedził Senat Gdański. Zostało mu to zabronione via konsul niemiecki w Poznaniu, co dowodziło, że Berlin nie życzył sobie wizyty Forstera w Gdyni. — Uwagi moje o Forsterze chciałbym zakończyć zapytaniem, co się z nim dzieje? Kilka lat temu został zasądzony, przed sądem w Gdańsku, za zbrodnie wojenne na karę śmierci, dotychczas jednak wyrok na nim nie został wykonany, w przeciwieństwie do Greisera, który został zaraz stracony w Poznaniu. Reżim warszawski, a właściwie Moskwa, ma w tym cel. Jaki?



Pierwszego wstrząsu, w nowym układzie politycznym, doznały stosunki polsko-gdańskie w lipcu 1935 r., w związku z dewaluacją guldena gdańskiego do poziomu złotego polskiego, bez uprzedzenia o tym Rządu Polskiego. Głównym motywem była zapewne obawa, że rząd Polski wysunie plan wspólnej waluty. Gdy w związku z zarządzeniami walutowymi Senatu W. M. rząd Polski wydał dn. 18-go lipca 1935 r. polecenie gdańskim urzędem celnym (Gdańska Dyrekcja Cel otrzymała zarządzenia celne bezpośrednio od Departamentu Cel Ministerstwa Skarbu) wstrzymania, aż do odwołania, odprawy celnej towarów przeznaczonych dla Polski, przy czym towary te miały chwilowo podlegać ocłeniu na terenie Polski, Senat zarządzeniem z 23-go lipca zakazał gdańskiej Dyr. Cel wykonywania zarządzenia rządu Polskiego, a w dalszym przebiegu powstałego konfliktu otworzył samowolnie gdańską granicę celną dla wwozu niektórych towarów bez cła. Było to jaskrawe naruszenie stanu prawnego, na zasadzie którego Gdańsk był inkorporowany w obszar celnny Polski (władze gdańskie nie miały prawa wydawania zarządzeń celnych), na jakie czynniki gdańskie nigdy dotąd sobie nie pozwoliły. Bezpośrednie rozmowy z Senatem gdańskim nie doprowadziły do zlikwidowania zatargu i dopiero interwencja ambasadora Lipskiego u Hitlera spowodowała podporządkowanie się Gdańska i przywrócenie traktatowego stanu rzeczy. Rolę podżegacza odegrał w tym konfliktzie minister finansów Rzeszy Hjalmar Schacht.

Było to krótko po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Posunięcie w Gdańsku można też było tłumaczyć jako próbę sił w nowej sytuacji Polski po zgonie długoletniego kierownika

jej polityki, próbę sił analogiczną do posunięcia Polski, gdy w r. 1932 „Wicher” zawiął do portu gdańskiego wzgl. gdy w marcu 1933 została wzmocniona załoga na Westerplatte. Dało to Hitlerowi możliwość odegrania roli arbitra w incydencie polsko-gdańskim. Pewien cień zawisł nad stosunkami polsko-niemieckimi i uwypukliła się rola Rzeszy jako czynnika decydującego w układzie stosunków polsko-gdańskich.

Zafatwienie konfliktu wyrównało stosunki z Senatem gdańskim. Nastąpił okres 3-letniego, względnego spokoju w naszych stosunkach z Wolnym Miastem, zakłócany sporadycznymi rozbieżnościami w kwestiach gospodarczych, jak również w związku z wprowadzaniem w Gdańsku, na wzór Rzeszy, ustawodawstwem nazistowskim. Ustawa rasowa miała na celu wyeliminowanie elementu żydowskiego z handlu gdańskiego, który odgrywał poważną rolę w handlu zbożem i drzewem. Rząd Polski występował energicznie w obronie Żydów-obywateli polskich, niestety, nie mógł ich uchronić od szykan ze strony urzędów gdańskich, zlikwidowali też oni stopniowo swe interesy w Gdańsku i opuszczali W. Miasto. Natomiast mniejszość polska w Gdańsku mogła na ogół krzewić swe życie narodowe nie napotykając na większe przeszkody. Indywidualne naciski germanizacyjne były oczywiście stosowane przez urzędy i partię. — Wyrazem normalizacji w stosunkach polsko-gdańskich były dwie wizyty w tym okresie prezydenta Senatu Greisera w Warszawie, a również zaproszenie go przez Prezydenta R. P. na polowanie reprezentacyjne, oraz nawiązanie kontaktu z Forsterem i zaproszenie go do Polski.

W tym samym okresie zaostrzyły się bardzo stosunki Gdańska z Ligą Narodów, opiekunką W. Miasta. Ówczesny Wys. Kom. L. N., Sean Lester, Irlandczyk, człowiek b. prawy i gorący demokrat, przeciwstawiał się zarządzeniom totalistycznym Senatu i wnosił na Radę Ligi naruszenia konstytucji gdańskiej. Początkowo Senat podporządkowywał się uchwałom Rady, nakazującym zmianę ustaw i rozporządzeń, sprzecznych z Konstytucją, znajdując niemniej drogi i sposoby na zgniecenie opozycji. Stosunki między Senatem i Wysokim Komisarzem stopniowo się zaostrzały aż w lecie 1936 doszło do ostrego konfliktu, w którym Niemcy odegrali rolę prowokatora. Mianowicie z okazji wizyty w Gdańsku w czerwcu 1936 r. niemieckiego krążownika „Leipzig” dowódca okrętu nie złożył wizyty Wysokiemu Komisarzowi, co wyraźnie przewidywał obowiązujący protokół. Gauleiter Forster podał w artykule prasowym, że nastąpiło to dlatego, iż w roku ub. w czasie wizyty w Gdańsku innego okrętu niemieckiego, Wysoki Komisarz zaprosił na przyjęcie u siebie, wydane dla oficerów tego okrętu, również przedstawicieli opozycji gdańskiej. Prez. Senatu Greiser zaś zarzucił Wysokiemu Komisarzowi na posiedzeniu Rady Ligi, w dniu 4-go lipca 1936, nietaktowne zachowanie się w tym wypadku, oraz otwarcie i bezpośrednio wobec Rady zaatakował ingerencję Ligi w sprawy gdańskie, żądając by Wys. Kom. nie mie-

szał się do spraw wewnętrznych W. Miasta. W samym Gdańsku postanowiono przed biurem Wys. Kom. urzędnika Gestapo, który legitymował każdego interesanta i domagał się podania mu celu wizyty w biurze Wys. Kom. Równocześnie Senat wydał dekret, wprowadzający kary za komunikowanie „instancjom politycznym” informacji sprzecznych z interesem W. Miasta. Tymi sposobami odcięto Wysokiego Komisarza od kontaktu z ludnością gdańską i uniemożliwiono mu wykonywanie zadań, wypływających z gwarancji konstytucji gdańskiej. Rada Ligi zdecydowała odwołać Wysokiego Komisarza, powierzając jednocześnie Polsce mandat wyjaśnienia z rządem niemieckim incydentu z dowódcą okrętu „Leipzig”, oraz wynegocjowania z Senatem gdańskim przywrócenia poszanowania praw Ligi w Gdańsku. Rząd Polski wywiązał się pomyślnie z udzielonego mu mandatu. Rząd niemiecki dał wyjaśnienie incydentu, pokrywające się w istocie z artykułem Forstera, zapewnił jednak rząd Polski, że nie zamierzał podważać statutu W. Miasta, ani działać przeciw prawom Polski, co Rada przyjęła do wiadomości i uznała incydent za wyczerpany. Od Senatu gdańskiego rząd Polski uzyskał oświadczenie, że Senat jest zdecydowany respektować statut prawny W. Miasta i wypływające z niego zobowiązania. Przedkładając Radzie Ligi raport w tej sprawie, rząd Polski zaznaczył, że z praktycznego punktu widzenia Wysoki Komisarz w wykonywaniu swych funkcji powinien dbać o to, by wewnętrzna administracja Gdańska nie doznawała przeszkód. Rada Ligi zadowolili się oświadczeniem Senatu i zamianowała nowego Wysokiego Komisarza w osobie prof. K. Burckhardta (v. Weizsäcker twierdzi w swych pamiętnikach, że przyczynił się do tej nominacji, nie podaje jednak w jaki sposób).

Prof. Burckhardt, Szwajcar, historyk i b. dyplomata, pochodzący z Bazylei z rodziny słynnego historyka Jakóba Burckhardta, znał Niemców dobrze, nie chciał i unikał zatargów z nimi, obrał też inną taktykę niż Lester, na co miał niewątpliwie aprobatę Komitetu Trzech Rady. Do stosunków wewnętrznych gdańskich nie mieszał się i ograniczał się do kontaktów z hitlerowcami jako partią rządzącą. Dla ścisłości pragnę dodać, że będąc w Warszawie p. Burckhardt widywał się z przedstawicielami opozycji gdańskiej, którzy schronili się w Polsce, szczególnie z socjalistą E. Brostem, b. redaktorem organu socjalistów gdańskich „Danziger Volksstimme”. Sam ułatwiał te spotkania, utrzymując z Brostem stały kontakt. W Gdańsku, przez kontakt z Forsterem, prof. Burckhardt próbował go powstrzymać od wybryków, utrzymywał poza tym bezpośredni kontakt z Berlinem poprzez sekr. stanu v. Weizsäckera, czego poprzedni Wysocy Komisarze nie praktykowali. Burckhardt znał dobrze Weizsäckera z czasu, gdy był on konsulem Niemiec w Bazylei, a później posłem w Bernie i uzyskiwał niejednokrotnie ciekawe informacje o nastrojach na Wilhelmstrasse, którymi dzielił się z nami, podając je również Lon-

dynowi i Paryżowi. Przypominam sobie, że po kryzysie sudeckim przywiózł z Berlina poglądy Weizsäckera, z których wynikało, że Hitler dąży do wojny i że należy się obawiać, iż nic nie zdoła go od niej powstrzymać. Ilekroć Burckhardt był w Warszawie, zajmowałem się z nim z urzędu, mieliśmy też liczne i szczere rozmowy. Zadania arbitra w stosunkach polsko-gdańskich nie były potrzebne toteż rola prof. Burckhardta sprowadzała się do funkcji posła Ligi Narodów w Gdańsku, pisującego periodyczne raporty do Rady, oraz informującego bieżąco Paryż i Londyn, jako członków Komitetu Trzech dla spraw gdańskich.

Sytuacja, wytworzona w Gdańsku na skutek buntu przeciw atrybucjom Ligi i w wyniku obstrukcji, stosowanych przeciw Wysokiemu Komisarzowi, była przedmiotem szeregu rozmów strony polskiej z najwyższymi czynnikiem Rzeszy. Przetoż najważniejsze z nich, zawierające solenne oświadczenia i zobowiązania ze strony samego Hitlera. Dnia 12. 8. 1936 Hitler powiedział podsekr. stanu w MZS hr. Szembekowi, że sprawa gdańska jest o małym znaczeniu w stosunku do zagadnień, zalecających przystosowanie polityk Polski i Niemiec. Czynniki gdańskie otrzymały od niego polecenie zaniechania sporów z Polską, za co atakowały go wszystkie ugrupowania, i jedynie marszałek Hindenburg, z uwagi na swe pochodzenie, okazał pełne zrozumienie i zachęcał go bez zastrzeżeń. Reżim nar.-socj. w Gdańsku będzie kontynuował politykę porozumienia z Polską i poszanowania jej praw, co pragnie stwierdzić w sposób jak najbardziej kategoryczny. Zna on i docenia polskie prawa w Gdańsku, które nie mogą być naruszone, oraz rozumie, że nie należy podważać statutu Gdańska. Dn. 18.11.36 v. Moltke, amb. Rzeszy w Warszawie, oświadczył, ministrowi Beckowi, z polecenia Hitlera, że prawa Polski w Gdańsku będą respektowane. Dn. 5. 11. 1937, z okazji deklaracji polsko-niemieckiej w sprawie mniejszości, Hitler dał amb. Lipskiemu następujące zapewnienie co do Gdańska:

- 1) „Sytuacja prawno-polityczna Gdańska nie będzie zmieniona;
- 2) Uprawnienia ludności polskiej w Gdańsku muszą być respektowane;
- 3) Prawa Polski w Gdańsku nie zostaną w niczym naruszone.”

Hitler stwierdził stanowczo, że układ z Polską będzie szanowany również w odniesieniu do Gdańska. Słowa dotrzyma i nie może być mowy o akcji zaskoczenia. Życzył sobie jedynie, by ludność niemiecka Gdańska mogła sobie wybrać taki system rządów, jaki Niemcom najwięcej odpowiada. Zresztą taki stan rzeczy będzie najlepszą rękojmą przeciw ewent. komplikacjom, jako że pozwoli zapobiec nierozważnym aktom ze strony poszczególnych partii politycznych.

Zapewnienie to Hitler powtórzył ministrowi spr. zagr. Beckowi w dn. 14 stycznia 1938 r. w Berlinie, z okazji zatrzymania się w drodze do Genewy na sesję Rady Ligi, oświadczając, że prawa Polski w Gdańsku nie będą w niczym naruszone, oraz że statut W. Miasta nie będzie więcej podważany, niezależnie od losów Ligi. Wreszcie w mowie w Reichstagu w dn. 20.2.1938 Hitler powiedział dosłownie w odniesieniu do Polski i do sprawy gdańskiej:

„W piątym roku, po pierwszym wielkim układzie w polityce zagranicznej Rzeszy, jest naszą głęboką satysfakcją móc stwierdzić, że właśnie w naszych stosunkach z państwem, z którym nas dzielił największy może spór, nie tylko się dokonało odprężenie, lecz w miarę lat nawiązało się coraz przyjaźniejsze zbliżenie. Wiem dobrze, że należy to zawdzięczać w pierwszym rzędzie faktowi, że wówczas nie było w Warszawie zachodniego parlamentaryzmu, natomiast był Marszałek Polski, wybitna osobistość, który doceniał znaczenie dla Europy odprężenia polsko-niemieckiego. Dzieło to, co do którego wówczas dużo osób wypowiadało wątpliwości, w międzyczasie wykazało się, i sędzę, że mam prawo powiedzieć, iż odkąd Liga Narodów przestała nareszcie mieć stosunki w Gdańsku, a w osobie nowego Wysokiego Komisarza postawiła tam człowieka o osobistych kwalifikacjach, miejsce to, które właśnie stanowiło największe niebezpieczeństwo dla pokoju, kompletnie straciło swe zagrażające znaczenie.

Rząd Polski respektuje sytuację narodową w tym państwie, a miasto i Niemcy szanują prawa Polski. W ten sposób zdołano utworzyć drogę do porozumienia, które wychodząc od Gdańska, mogło dziś, mimo próby mścicieli pokoju, pozbawić jadu stosunki polsko-niemieckie i przekształcić je we współpracę szczerą i przyjazną”.

Mimo tych uroczystych oświadczeń i zapewnień, strona niemiecka zażądała, zaledwie w kilka miesięcy po publicznej deklaracji Hitlera z 20-go lutego 1938, powrotu Gdańska do Rzeszy. Co spowodowało tę nagłą zmianę u Hitlera już w 3 tygodnie po Monachium i w czasie, kiedy żadna sprawa nie wstrząsnęła stosunkami polsko-niemieckimi? Pewną odpowiedź na to znajdujemy w pamiętnikach niemieckich dyplomatów, szczególnie u E. Kordta, b. szefa gabinetu Ribbentropa, w jego książce „Nicht aus den Akten...” „W rozważaniach na temat roli Polski w okresie kryzysu sudeckiego znajdujemy u Kordta twierdzenie, że „Polska była wówczas przez kilka tygodni najwięcej znienawidzonym i pogardzanym mocarstwem w Europie”. Kordt mówił dalej dosłownie: „Jestem przekonany, że ktokolwiek w tym czasie przeciwstawiłby się Polsce w oparciu o rzeczową, powszechnie uznaną zasadę moralną, ten mógł liczyć na pełne zrozumienie całego świata zachodniego”. Kordt wygłasza następnie pogląd, że „Hitler nie dojrzał wówczas szans jakie losy mu nastęczał”. To wynurzenie znajduje wyjaśnienie w memoriale, przytoczonym w książce Kordta, który urzędniczo Auswärtiges Amt, z antyhitlerowskiej opozycji, doręczyli jesienią 1939 r. naczelnemu dowódcy armii, gen. v. Brauchitsch, jego szefowi Sztabu, oraz gen. v. Stülpnagel i kilku innym wyższym wojskowym. Punkt e części C tego memoriału podaje: „Bez wyprawy na Hradczyn kampania przeciw Polsce była

możliwa do wykonania jesienią 1938, względnie wiosną 1939, bez udziału mocarstw zachodnich, w okresie kiedy Hitler uważał Polskę za rzekomy wał ochronny przeciw Rosji Sowieckiej. Również w pamiętnikach v. Weizsäcker'a mamy jego przyznanie się, że po załatwieniu sprawy sudeckiej ostrzegął Ribbentropa przed dalszą akcją przeciw Czechosłowacji, starając się skierować jego uwagę na zagadnienie „Korytarza”. Z Auswärtiges Amt wyszły też zapewne sugestie — uzasadniane odosobnieniem Polski w opinii świata — by już jesienią 1938, bezpośrednio po sukcesie monachijskim, wysunąć pretensje niemieckie do Polski. Były one niewątpliwie w programie samego Hitlera (inaczej rozłożone w czasie, do czego powrócimy), który raz przyjąwszy sugestie Auswärtiges Amtu i zaangażowawszy się, nie widział możliwości odwrotu, opierając swą politykę w znacznym stopniu na przesłankach prestiżowych. Rozważając tę kwestię trudno pominąć wizytę lorda Halifaxa w Berchtesgaden dn. 19.11.1937 i jego wypowiedź wobec Hitlera, że do zmian możliwych w ładzie europejskim należy poza Austrią i Czechosłowacją — Gdańsk. Urzędniczo Wilhelmstrasse prawdopodobnie przypomnieli Halifaxowi tę wypowiedź.

Rząd Rzeszy wysunął, po raz pierwszy, postulat powrotu Gdańska do Niemiec w rozmowie Ribbentropa z amb. Lipskim w dniu 24-go października 1938. Odpowiedź rządu Polskiego została zakomunikowana Ribbentropowi przez amb. Lipskiego dnia 19-go listopada 1938. Omawiając historyczne węzły Gdańska z Polską i przechodząc do aktualnej sytuacji rząd Polski stwierdził, że problem gdański określony jest dwoma elementami: swobodą, jaką ma ludność niemiecka W. Miasta i utrzymaniem węzłów z Polską. Poza narodowym charakterem większości ludności, wszystko inne jest ściśle związane z Polską. Wyliczając uprawnienia polskie w Gdańsku rząd Polski przypomniał, że nie został zrealizowany warunek statutu, zalecający unifikację systemu monetarnego, co odbija się niekorzystnie na sytuacji gospodarczej W. Miasta. Rząd Polski wyraził gotowość do negocjacji z rządem Rzeszy w celu osiągnięcia stabilizacji warunków i proponował zastąpienie gwarancji i prerogatyw Ligi Narodów dwustronnym układem polsko-niemieckim. Układ taki zapewniłby istnienie W. M. Gdańska w sposób gwarantujący swobodę narodową i kulturalną większości jego ludności, oraz poszanowanie wszystkich praw Polski. Rząd Polski ostrzegwał, że wszelka inna solucja sprawy Gdańska, szczególnie próba wcielenia go do Rzeszy, będzie musiała nieodwołalnie prowadzić do konfliktu. Min. Beck podawał w końcu do wiadomości kanclerza Hitlera, że Marszałek Piłsudski powiedział jeszcze w r. 1933, gdy podjęte zostały negocjacje, które doprowadziły do układu z 1934 r., że problem gdański będzie probierzem układu stosunków polsko-niemieckich i pozwoli ocenić intencje Niemiec w odniesieniu do Polski.

Po raz drugi sprawę inkorporacji Gdańska do Rzeszy poruszył Hitler sam w rozmowie z min. Beckiem w Berchtes-

gaden dn. 5-go stycznia 1939 r. Stwierdzając, że Gdańsk prędzej czy później musi wrócić do Rzeszy, Hitler wypowiedział pogląd, że jego zdaniem można by znaleźć w drodze wspólnego porozumienia, rozwiązanie zagadnienia i sposób zapewnienia słusznych interesów tak Polski jak i Niemiec. Po odpowiedzi min. Becka, że w sprawie Gdańska cały naród polski jest b. wrażliwy, oraz że w sugestii kanclerza nie ma ekwiwalentu dla strony polskiej, Hitler powiedział, że w sprawie Gdańska należy szukać zupełnie nowej formy rozwiązania, którą określił jako „korporację” (Körperschaft), gwarantującą interesy ludności niemieckiej i interesy polskie. Hitler zapewnił min. Becka, że w Gdańsku nie zostaną stworzone żadne fakty dokonane.

Z okazji wizyty w Warszawie w 5-lecie układu polsko-niemieckiego, Ribbentrop ponowił żądanie Niemiec powrotu Gdańska do Rzeszy wzamian za „solenne uznanie granic Polski”. Min. Beck odpowiedział, że Polska nie może pójść na koncepcję co do Gdańska, nie mogąc rezygnować z realnych praw wzamian za deklarację. Polska nie może się zgodzić na powrót Gdańska do Rzeszy, gdyż usadwienie się Niemiec u ujścia Wisły byłoby równoznaczne z kontrolą jej gospodarczego, a zatem i politycznego życia. Niemniej obydwaj ministrowie doszli do gentlemen-agreement, że w wypadku wycofania się Ligi z Gdańska, zostanie ogłoszona, w ciągu 24 godzin, wspólna deklaracja stwierdzająca, iż istniejący w Gdańsku stan rzeczy będzie utrzymany w mocy do czasu nowego uregulowania problemu Gdańska.

Wreszcie w dn. 21-go marca 1939, w tydzień po zajęciu przez Niemcy Czech i Moraw, Ribbentrop powtórzył amb. Lipskiemu tym razem żądanie powrotu Gdańska do Rzeszy, oświadczając równocześnie, że Hitler jest niezadowolony z powodu braku pozytywnej reakcji na sformułowany przez niego postulat w sprawie Gdańska. Dn. 26-go marca została zakomunikowana Ribbentropowi, przez amb. Lipskiego, odpowiedź rządu Polskiego, zgodna z poprzednimi, przy czym rząd Polski przypomniał, że już uprzednio wysunął propozycję wspólnego układu co do Gdańska. Taki układ między Berlinem i Warszawą będzie odpowiadał uregulowaniu sprawy, tym więcej, że Liga Narodów nie ma już możliwości wywiązania się z obowiązków, jakie na siebie wzięła. — Równocześnie min. Beck zakomunikował amb. Rzeszy w Polsce, v. Moltkemu, że wszelka interwencja rządu niemieckiego dla osiągnięcia zmiany statutu Gdańska będzie uważana za agresję przeciw Polsce. Min. Beck dodał, że próba zamachu od wewnątrz ze strony Senatu Gdańskiego spotka się z natychmiastową reakcją rządu Polskiego.

Na tym zakończyły się rozmowy polsko-niemieckie w sprawie powrotu Gdańska do Rzeszy (we wszystkich fazach dotyczyły one również żądania Niemiec co do eksterytorialnej autostrady przez Pomorze, w której to sprawie rząd Polski zajął stanowisko odmowne, godząc się natomiast na rozmowy w kwestii ułatwień technicznych). Żądania niemieckie i odpowiedź Pol-

ski z 26-go marca zaostrzyły stosunki między obu krajami. Rząd Polski czuł się zmuszony przedsięwziąć środki zapobiegawcze natury wojskowej w pobliżu Gdańska, Niemcy urządzili demonstrację swej floty u polskiego wybrzeża, pomyślaną niewątpliwie jako presję na rząd Polski.

Rząd brytyjski, zaskoczony wchłonięciem przez Niemcy Czech i Moraw, zrozumiał wreszcie intencję Hitlera i podjął akcję, mającą na celu ostrzeżenie go, że dalsze próby zaborów z jego strony napotkają na opór. Akcja rządu brytyjskiego zbiegła się w czasie z „żądaniem” Niemiec, skierowanym do Polski z 21-go marca, o którym rząd brytyjski nie był poinformowany. W rezultacie wymiany poglądów między Londynem i Warszawą doszło do deklaracji premiera Chamberlaina z 31-go marca o gotowości rządu brytyjskiego przyjscia Polsce z pomocą w wypadku zagrożenia jej niepodległości. Do skutku doszła również podróż do Londynu min. Becka, projektowana od stycznia 1939 r. na sugestię brytyjską, która pierwotnie miała doprowadzić do wyjaśnienia, czy Wysoki Komisarz Ligi Narodów ma być utrzymany w Gdańsku, czy też wycofany, na co należała Szwecja jako członek Komitetu Trzech. W czasie pobytu w Londynie min. Becka deklaracja prem. Chamberlaina została zastąpiona wspólną deklaracją z 6-go kwietnia, zapowiadającą zawarcie sojuszu polsko-brytyjskiego.

W mowie, wygłoszonej w Reichstagu dn. 28-go kwietnia, Hitler wypowiedział układ polsko-niemiecki z 1934 r. twierdząc, że porozumienie polsko-brytyjskie jest sprzeczne z tym układem. Co do Gdańska, Hitler oświadczył w tej mowie, że wzamian za powrót Gdańska do Rzeszy (i drogę eksterytorialną przez Pomorze), rząd niemiecki gotów jest uznać wszystkie gospodarcze prawa Polski w Gdańsku, dać Polsce wolny port w tym mieście, uznać definitywnie granicę polsko-niemiecką i zawrzeć z Polską 25-letni pakt nieagresji. Polski minister spraw zagranicznych odpowiedział mową, wygłoszoną w Sejmie dn. 5-go maja stwierdzając m. in., że Polska nie może pójść na jednostronne koncesje. Równolegle odbyła się między Berlinem i Warszawą wymiana memorandów, powtarzających zasadnicze części obu mów, odnoszące się do stosunków polsko-niemieckich. Były to ostatnie dokumenty, wymienione między obu rządami w kwestii uregulowania problemu Gdańska.

W połowie marca popłoch w sprawie Gdańska wywołał Wysoki Komisarz prof. Burckhardt. W dniu 13-go marca zatrzymał się on w Berlinie w drodze powrotnej ze Szwajcarii do Gdańska i, jak zwykle, widział się z Weizsäckerem, który go ostrzegł, że „w Gdańsku zajądą wypadki”, które Ligę i Burckhardta postawią w b. trudnej sytuacji, lepiej też by nie był on w tym czasie w Gdańsku. W 3 dni później to ostrzeżenie powtórzono Burckhardtowi via konsul niemiecki w Gdańsku. Burckhardt poleciał zaraz samolotem do Genewy, ale nie wykazał w tym wypadku spokoju i rozważa. Poinformował wprawdzie Genewę, Londyn i rząd Polski o tym ostrzeżeniu,

ale wyjechał zamiast pozostać na posterunku celem wypełnienia zadań, nałożonych na Wysokiego Komisarza przez Ligę w wypadku agresji z zewnątrz, czy zamachu na miejscu przeciw statutowi W. Miasta. Rząd Polski, zapytywany przez Paryż i Londyn, czy liczy się z „coup d'état” w Gdańsku, odpowiedział, że nie daje wiary tym pogłoskom, i wyraził się krytycznie o zachowaniu Burckhardta.

W kilka dni później, tj. 21-go marca, nastąpiło „żądanie” Berlina odnośnie Gdańska. Odtąd wypadki poczęły się toczyć szybko i sytuacja narastała stopniowo do konfliktu. Statut W. Miasta ustalał, że Gdańsk jest terenem zdemilitaryzowanym, że nie może posiadać fortyfikacji, garnizonów i formacji wojskowych, a jedynie policję porządkową. Tymczasem od początku 1939 r., szczególnie po 21-y marca obserwowaliśmy gorączkowe militaryzowanie Gdańska. Poczęto organizować oddziały wojskowe, przejmować dla nich dawne koszary, przemycać z Niemiec broń i amunicję, naprawiać stare fortyfikacje, budować umocnienia na pograniczu Polski itp. Wszystko to wskazywało, że Hitler, spotkawszy się z odmową Polski na powrót Gdańska do Rzeszy i gotowością zbrojnego przeciwstawienia się zamachowi na odrębność Gdańska, dąży do zajęcia W. Miasta siłą. Berlin mógł to zrobić przez wkroczenie oddziałów niemieckich z Prus Wschodnich, gdzie ilość wojska nieprzerwanie zwiększano, względnie przez uchwałę Senatu czy Volkstag'u gdańskiego o przyłączeniu się Gdańska do Rzeszy. Przed jednym i drugim min. Beck przestrzegał rząd Rzeszy w rozmowie z amb. Moltke dn. 28-go marca. Przestroga widocznie podziałała, gdyż „coup d'état” nie miał miejsca w Gdańsku, a wkroczenie wojsk niemieckich z Prus Wschodnich do Gdańska poprzedziło napaść na Polskę zaledwie o kilka godzin.

Wielka Brytania i Francja były informowane o militaryzacji Gdańska przez swoich ambasadorów w Warszawie i konsulów w Gdańsku, a także przez rząd Polski i Wysokiego Komisarza Ligi Narodów. Londyn i Paryż doradzały bagatelizowanie tej akcji i nie nadawanie jej rozgłosu, z którym to stanowiskiem rząd Polski się zgadzał. Prasa nie była też informowana o pełnym rozmiarze militaryzacji Gdańska. W końcu maja rząd brytyjski — zaniepokojony tempem militaryzacji i napaściami na polskich celników na pograniczu Prus Wschodnich, które doprowadziły do wypadku w Kalthof, w którym zginął Niemiec z Elbląga — konsultował rząd Polski co do akcji w wypadku zamachu od wewnątrz. Rozważana też była wspólna demarche ostrzegawcza W. Brytanii, Francji i Polski u Senatu W. Miasta, do której jednak nie doszło.

Gdy w początku lipca 1939 r. składałem ministrowi spraw zagranicznych kolejny raport o sytuacji w Gdańsku, zwróciłem uwagę na postępującą militaryzację W. Miasta, jawne już ćwiczenia oddziałów wojskowych, z bronią; przybycie z Niemiec oddziałów w mundurach, oraz gen. Eberhardta z grupą ofice-

rów niemieckich dla objęcia dowództwa; budowę lotnisk i pozycji artyleryjskich; wreszcie wizyty Goebbelsa, Fricka i Himmlera, zapowiadających rychły powrót Gdańska do Rzeszy, co wskazywało na wojenne intencje Niemiec i przypominało ich akcję w sprawie Sudetów. Min. Beck powiedział wówczas, że możliwe iż Hitler chce wojny, że jednakże aparat MSZ, jako instrument polskiej dyplomacji, nie może ustać na chwilę w szukaniu i opracowywaniu solucyj, które pozwoliłyby uniknąć wojny i umożliwiły znalezienie formuł pokojowego załatwienia różnic z Niemcami. Min. Beck dodał, że musimy mieć na uwadze, że Hitler większość swych sukcesów w dziedzinie zagranicznej osiągał dzięki bluff'owi, jaki uprawiał wobec Zachodu, i że być może sądzi, że i Polskę zdoła skłonić bluff'em do ustępstw. Otrzymałem polecenie nowego opracowania ewentualnego podziału terytorium Gdańska między Polskę i Niemcy, z zachowaniem uprawnień gospodarczych Polski w porcie gdańskim — w razie, gdyby zaistniała możliwość rozmów z Niemcami.

Chciałbym również omówić szczegółowo inny wypadek, nad którym rozwodzi się amb. Noël w swych pamiętnikach i krytykuje rząd Polski za decyzję i akcję, nie wykazując dostatecznego zrozumienia dla wagi incydentu i nie orientując się widocznie w motywach decyzji władz polskich. Mam tu na myśli zarządzenie gdańskich władz celnych z 4-go sierpnia 1939 r., mocą którego począwszy od rana 6-go sierpnia, polskich strażników celnych, pełniących służbę na granicy Gdańska i Prus Wschodnich, nie dopuści się do wykonywania ich funkcji kontrolnych. Referując ministrowi spraw zagranicznych to zarządzenie, poprzedzone szykanami od tygodni w stosunku do polskiego personelu celnego i systematycznymi próbami wyeliminowania go od kontroli ruchu towarów w porcie i na punktach granicznych, wyraziłem pogląd, że mamy do czynienia z przemyślaną akcją prowokacyjną, mającą na celu wybadanie reakcji rządu Polskiego. Nie zareagować na to nie możemy, gdyż byłoby to równoznaczne z pogodzeniem się na usunięcie kontroli celnej — w tej chwili na granicy celnej Prus Wschodnich, a później i na innych punktach. Słaba zaś reakcja będzie pojęta przez Berlin jako dowód słabości Polski i zachęci Niemcy do dalszych prowokacyjnych posunięć, których rozmiar i konsekwencje trudno przewidzieć. Min. Beck powiedział, że pozdziela to rozumowanie i dodał, że sądzi, iż jest to odpowiedź Berlina na wypowiedź marszałka Rydza-Śmigłego sprzed kilku miesięcy, że „Polska nie odda nawet guzika”. Następnego dnia miał być doroczny zjazd legionistów, zatem fakt i data ataku na polską służbę celną w Gdańsku zostały świetnie wybrane. Min. Beck kontynuował swe rozważania: „W ostatnich miesiącach wykazaliśmy dużo umiaru, co Berlin może fałszywie oceniać, jeśli więc tym razem nie zareagujemy silnie, będziemy mieli wojnę na pewno, natomiast mocna postawa z naszej strony może skłonić Hitlera do zastanowienia się i złagodzenia kursu, co wypadkom może nadać nowy, pokojowy bieg”.

Po telefonicznym porozumieniu się z Premierem Sławoj-Składkowskim i Marszałkiem Rydzem-Smigłym, którzy podzielili stanowisko min. Becka, otrzymałem instrukcję przetelefonowania do Gdańska tekstu noty, która miała być złożona natychmiast Senatowi gdańskiemu oraz podana do wiadomości Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, którego nasz Komisarz Generalny miał skłonić do ostrzeżenia Senatu przed naruszeniem stanu prawnego w dziedzinie celnej. Nota nasza żądała natychmiastowego odwołania zarządzenia gdańskich władz celnych, uprzedzała, że inspektorzy staną do służby w dniu 6-go w mundurach i z bronią i groziła represjami w stosunku do W. Miasta, gdyby im miano utrudnić pełnienie służby, stawiając w końcu Senatowi do godz. 6-ej pop. 5-go sierpnia termin do udzielenia odpowiedzi. Pamiętam, że Komisarz Generalny, Chodacki, i jego zastępca przyjęli tekst instrukcji z ulgą, gdyż zarządzenie w sprawie inspektorów celnych oceniali podobnie jak Centrala MSZ i poprzednio już wypowiadali opinię, że ostatnie wydarzenia w Gdańsku wymagają silnej reakcji ze strony rządu Polskiego. Obce publikacje oficjalnych dokumentów (księgi — biała, żółta itp.) zawierają oświadczenie, złożone jakoby przez p. Chodackiego prof. Burckhardowi, że jeśli władze gdańskie nie cofną zarządzenia i jeśli inspektorom celnym będzie uniemożliwione wykonywanie ich funkcji, będzie to „casus belli” dla rządu polskiego. Dla ścisłości podać pragnę, że w instrukcji przetelefonowanej przeze mnie nie było upoważnienia do takiego oświadczenia, nie wykluczam jednak, że Chodacki został do tego upoważniony przez min. Becka bezpośrednio.

Aparat Wilhelmstrasse próbował wówczas (znacznie słabiej dziś w pamiętnikach), obciążać rząd Polski, że tą notą rozdrażnił Hitlera i pchnął go do decyzji wojny. Jak dziś wiemy, jest to niezgodne z prawdą. Rząd niemiecki założył protest u rządu R. P. przeciw skierowaniu „ultimatum” do Gdańska, przy czym zwracał uwagę rządu polskiego, że polskie zarządzenia dotyczące przywozu do Polski towarów gdańskich mogą spowodować znaczne straty gospodarcze dla ludności Gdańska i gdyby rząd Polski miał utrzymać te zarządzenia w mocy, Gdańsk będzie musiał szukać innych możliwości wywozowych, a również przywozowych — czyli Berlin groził otwarciem granicy celnej. (V. Weizsäcker twierdzi, że nota ta została sfabrykowana w kwatery Hitlera, skąd otrzymał jej gotowy tekst z poleceniem doręczenia ambasadzie polskiej. Auswärtiges Amt byłby niewątpliwie przygotował zręczniejszą notę). Rząd Polski w swej odpowiedzi zastrzegł się przeciw mieszaniu się rządu Rzeszy do spraw polsko-gdańskich i ostrzegwał, że interwencje w przyszłości na szkodę praw i interesów Polski w Gdańsku będzie uważał za akty agresji.

W samym Gdańsku cel noty polskiej został osiągnięty, gdyż w dn. 5-go sierpnia, w terminie wyznaczonym do odpowiedzi, prez. Senatu Greiser zatelefonował do p. Chodackiego, zaprzeczając jakoby wydane zostały zarządzenia mają-

ce na celu uniemożliwienie inspektorom celnym pełnienia służby na granicy Prus Wschodnich; w rezultacie inspektorzy nie napotkali na utrudnienia, gdy zjawili się do służby 6-go sierpnia.

Sprawa tego incydentu znalazła nadspodziewanie pełne wyjaśnienie w związku z procesem przed Międz. Trybunałem w Norymberdze przeciw dyplomatom niemieckim. Wśród dokumentów niemieckiego urzędu dla spraw zagr., które znaleziono i ujawniono przed Trybunałem, były odpisy instrukcji tegoż urzędu dla Gdańska, które zalecały akcję prowokacyjną przeciw Polsce w Gdańsku, właśnie w sprawie inspektorów celnych. W okresie incydentu wydelegowany został do Gdańska specjalny agent Auswärtiges Amt, wyższy oficer SS — Veessenmayer, dla organizowania akcji. Dokumenty te, niektóre podpisane przez v. Weizsäckera, potwierdziły przypuszczenia strony polskiej co do charakteru incydentu, ujawniając perfidną grę niemiecką, w którą był wmieszany Auswärtiges Amt.

Sytuacja w Gdańsku i stosunki z Niemcami uległy zaostrzeniu. Według pamiętników v. Weizsäckera i Kordta w ciągu lata 1939 poufne wiadomości z kwatery Hitlera wskazywały, że atak na Polskę nastąpi w jesieni. Ciż sami autorzy przytaczają wynurzenie Hitlera, uczynione w gronie jego bliskich, w początku sierpnia, że jeśli Zachód porozumie się z Rosją, wówczas on „odtrąbi całą akcję przeciw Polsce i zwoła na wrzesień zjazd partii pod hasłem pokoju (Parteitag des Friedens)”. Jak dobrze wiemy, klucz do zapobieżenia wojnie był w Moskwie, Kreml jednak chciał, by doszło do wojny między Niemcami i Polską, a również między Niemcami a Francją i Anglią, czego zarozumiały i zaślepiony Hitler nie zdołał zrozumieć (tudząc się, że układ ze Stalinem umożliwi mu zlokalizowania wojny z Polską), i jak szalenie dążył do własnej zguby i klęski narodu niemieckiego.

11-go sierpnia Wysoki Komisarz prof. Burckhardt udał się do Berchtesgaden do Hitlera na jego zaproszenie. Cel tego zaproszenia nie był jasny. Wyjaśnienie zawiera znowu książka v. Weizsäckera, który twierdzi, że był jego inicjatorem i że Burckhardt miał tłumaczyć Hitlerowi, iż w wypadku rozpoczęcia wojny z Polską Zachód nie pozostanie bierny i że grozi powszechny konflikt. Jeśli to był istotny cel wizyty, w co można by wątpić, to prof. Burckhardt nie był typem człowieka, ani indywidualnością czy autorytetem, z którego opinią liczyłby się Hitler. Z wiadomości, jakie mieliśmy, wynikało, że Hitler, swoim zwyczajem, nie dopuścił go prawie do głosu, tłumacząc mu swe żądania i ich motywy, licząc widocznie na ich powtórzenie Londynowi i Paryżowi. Prof. Burckhardt poinformował nas i obydwa mocarstwa zachodnie, że z rozmowy z Hitlerem odniósł wrażenie, że waha się on czy pójść na wojnę. Podejrzewaliśmy, czy nie był to manewr dla uspienia czujności, głównie Londynu. Reakcją rządu brytyjskiego było po tej wizycie postanowienie, by korzystać więcej z usług i pośrednictwa prof. Burckhardta na miejscu, w Gdańsku. Wizyta nie dała żadnego

rezultatu, prof. Burckhardta zaś nie uchroniła od tego, że nie bardzo kurtuazyjnie go potraktowano w dniu zajęcia Gdańska.

Na połowę sierpnia zapowiedziano w Gdańsku wizytę jednostek niemieckiej floty wojennej, wśród nich pancernika „Schleswig-Holstein” (z pamiętników Weizsäckera dowiadujemy się, że Hitler zamierzał początkowo wysłać około 20 okrętów wojennych, w tym 2 krążowniki). Wizyty obcych okrętów wojennych w Gdańsku odbywały się w porze letniej co roku, przy czym notyfikacja o wizycie musiała być dokonana drogą dyplomatyczną poprzez rząd Polski jako prowadzący sprawy zagraniczne W. Miasta. Rząd Rzeszy, który przedtem zawsze przestrzegał tej drogi, w tym wypadku ograniczył się do podania do wiadomości faktu wizyty, co potraktowaliśmy jako normalną notyfikację i powiadomiliśmy o wizycie, jak zwykle, Senat Wolnego Miasta, Wysokiego Komisarza Ligi Narodów i Prezydenta Rady Portu. Dla tych wizyt był ustalony — jak już wspominałem przy sprawie „Leipziga” — protokół, przewidujący wizyty dowódcy flotyli czy okrętu w kolejności: Prezydent Senatu W. Miasta, Wysoki Komisarz Ligi Narodów, Komisarz Gen. R. P. i Prezydent Rady Portu. Dowódca pancernika „Schleswig-Holstein” tym razem nie złożył wizyty Komisarzowi Gen. R. P. Powtórzyła się ta sama demonstracja jak z okazji przybycia Leipziga w 1936 r., kiedy nie złożono wizyty Wys. Kom. Ligi Narodów. Tego rodzaju wizyta trwała zwykle 3-4 dni, po czym flotylla odpływała. W tym wypadku pancernik „Schleswig-Holstein”, zamiast odpłynąć, podsunął się i zakotwiczył w pobliżu Westerplatte, gdzie znajdowała się załoga złożona z 200 żołnierzy polskich, pilnujących polskiego składu amunicji. Dało to nam dużo do myślenia i nasuwało jak najgorsze przypuszczenia na najbliższą przyszłość, co wypadki miały potwierdzić.

Około 20-go sierpnia odbyła się konferencja u Ministra Przemysłu i Handlu, celem powzięcia decyzji, czy surowce jak wełna, bawelna itp., nagromadzone w składach w porcie gdyńskim, nie powinny być przewiezione w głąb kraju. Konferencji przewodniczył min. A. Roman a wzięli w niej udział obydwaj podsekretarze stanu w Min. Przemysłu i Handlu pp. M. Sokołowski i A. Rose, podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu p. K. Dzierżykraj Morawski, podsekr. stanu w Min. Komunikacji p. J. Piasecki, oraz z ramienia MSZ min. M. Arciszewski i ja. W toku konferencji zostało skierowane do min. Arciszewskiego zapytanie, jak MSZ ocenia sytuację; czy liczy się z możliwością wojny i jeśli tak, w jakim terminie. Min. Arciszewski odpowiedział, że wydarzenia ostatnich tygodni świadczą, że Hitler dąży do wojny i że wydaje się ona nieunikniona, gdyż Polska nie może przyjąć żądań Niemiec. MSZ pilnie baczycyło na gest pojednawczy Berlińska, jak dotąd jednak nadaremnie. Jeśli chodzi o termin, w którym Polska może być zaatakowana, to może to nastąpić już w ciągu tygodnia do 10 dni, przy czym wskazaliśmy na fakt, że panc. „Schleswig-Holstein” nie opuścił Gdańska, a podpłynął pod

Westerplatte, co wskazuje na agresywne zamiary Hitlera w bliskim czasie. Konferencja powzięła też decyzję, że surowce należy bez zwłoki przewieźć w głąb kraju, co zostało uczynione. Niestety nasze zapasy wełny i bawełny dostały się, o ile mi wiadomo nietknięte, w ręce Niemców w m. Łodzi.

W ostatnich miesiącach przed wojną byłem prawie w codziennym kontakcie z szefem Oddziału II-go Sztabu Głównego pułk. Smoleńskim. Komunikowaliśmy sobie wzajemnie informacje, uzyskiwane drogą wojskową czy cywilną, o militaryzacji Gdańska i koncentracji wojsk niemieckich, na pograniczu Polski, oraz uzgadnialiśmy niejednokrotnie, które szczególnie informacje i fakty należy podać do wiadomości naszych szefów. Przypominam sobie dobrze, że Oddz. II-gi miał b. szczegółowe i, jak się później okazało, na ogół ściśle, informacje w kwestii zgrupowania dywizji niemieckich w Prusach Wsch., na granicy Pomorza i Śląska, i zdaje się również w Czechach i na Słowaczynie. Przesuwanie wojsk niemieckich ku granicy polskiej interpretowaliśmy jako zbliżający się termin napaści.

MSZ, w porozumieniu i w współpracy z M.P. i H., poczyniło przygotowania, dzięki którym został uratowany nasz piękny dorobek na morzu w postaci naszej floty handlowej. Dużą zasługę w tej mierze ma ówczesny dyrektor Departamentu Morskiego MP i H p. Leonard Możdżeński. Na kilka miesięcy przed wojną została opracowana tajna instrukcja morska i rozesłana do placówek dyplomatycznych i konsularnych. Instrukcja ta przewidywała na wypadek wojny zatrzymanie naszych statków w portach krajów przyjaznych, wzgl. skierowanie ich do takich portów. Na nalegania dyr. Możdżeńskiego — jeśli mnie pamięć nie myli na 4 dni przed wojną, kiedy nie widzieliśmy już szans utrzymania pokoju — upoważniono ministra spraw zagran. do wysłania telegramów szyfowych do odnośnych naszych placówek z poleceniem otwarcia instrukcji i wykonania jej zaleceń. Równocześnie otrzymały statki w portach polskich dyspozycję wypłynięcia poza Bałtyk i dzięki tym zarządzeniom udało się uchronić naszą flotę od dostania się w ręce Niemców.

Mieliśmy zatem surowce zabrane z portów i wybrzeża i przewiezione w głąb kraju, a flotę handlową i większość okrętów wojennych na bezpiecznych wodach, co jednakże nie miało wpływu na przebieg kampanii przeciw Polsce. Nasze statki handlowe, oraz okręty wojenne, mogły niemniej służyć wspólnej sprawie w czasie wojny, wyróżnić się i zdobyć sobie powszechne uznanie.

Jedno przygotowanie nie dało spodziewanego rezultatu, lecz co do niego istniały zresztą wątpliwości od samego początku. Mianowicie w związku z zakotwiczeniem panc. Schleswig-Holstein na wprost Westerplatte został przygotowany w Gdyni, przez Kierownictwo Marynarki Wojennej, tramp „Toruń”, naładowany cementem, który natychmiast po rozpoczęciu przez Niemców akcji wojennej miał wpłynąć do portu gdańskiego, być zatopiony u wylotu portu i zablokować wyjście niemieckiego pan-

cernika, ułatwiając przez to jego zniszczenie. O ile mi wiadomo, kapitan „Torunia” podjął wczesnym rankiem 1-go września wykonanie trudnej misji, nim jednak zdołał wpłynąć na wody portu gdańskiego zatopili go ciężkie działa „Schleswig-Holsteina”. Zresztą nawet gdyby mu się misja udała, nie było środków na zniszczenie pancernika. Przecenialiśmy wszyscy nasze możliwości wojskowe.

W ostatnich dniach sierpnia, szczególnie po podpisaniu paktu Hitler — Stalin, nie mieliśmy właściwie żadnej wątpliwości, że wojna grozi i że data jej jest bliska. W przeciwieństwie do poglądów na Zachodzie nie łudziliśmy się, by podpisanie sojuszu polsko-angielskiego miało powstrzymać Hitlera od wojny. Dziś wiemy, że fakt ten wywarł na nim wrażenie, powodując go do odwołania ataku na Polskę, wyznaczonego pierwotnie na 26-go sierpnia, niemniej górę wzięły jego ambicje wojenne w przekonaniu, że Zachód nie przyjdzie Polsce z pomocą, i wojnę rozpoczęła 1-go września.

Wypadki w Gdańsku, a również na pograniczu polsko-niemieckim, potwierdzały obawy, że zbliżamy się szybko do wojny. Ogłoszenie w Gdańsku w dn. 26-go sierpnia (widocznie Berlin nie powiadomił na czas czynników gdańskich o odwołaniu ataku na Polskę w tym dniu), dekretu Senatu z 22-go sierpnia o powierzeniu Gauleiterowi Forsterowi funkcji głowy państwa (Staatsoberhaupt), wbrew statutowi W. Miasta i jego konstytucji, uważaliśmy za wstęp do proklamacji Forstera o przyłączeniu Gdańska do Rzeszy i wkroczenia w ślad za tym Reichswehry na teren Gdańska. Rząd Polski założył protest u Senatu przeciw temu dekretowi i zwrócił się do Wysokiego Komisarza o akcję z jego strony, jako że Liga Narodów była gwarantką statutu i ustroju W. Miasta. Zdawaliśmy sobie oczywiście sprawę, że protesty na nic się nie zdadzą. Berlin z Ligą się nie liczył, a pozycja jej w Gdańsku tak osłabła, że Wysoki Komisarz był bezsilny i nawet najlepsze jego intencje nie mogły powstrzymać wydarzeń.

W końcowych dniach sierpnia urzędowanie w Ministerstwie trwało w permanencji. Co nocy dyżur sprawowali kolejno wyżsi urzędnicy w randze dyr. departamentu, mający do pomocy młodszego urzędnika. Z Komisariatem Gen. nie mogliśmy już rozmawiać na bezpośredniej linii telefonicznej, którą uszkodzono, co wieczór też jeden z urzędników Kom. Gen. udawał się do Gdyni, skąd podawał nam telefonicznie ostatnie wydarzenia z Gdańsku, niejednokrotnie dopiero późno w nocy, gdy mu utrudniano przekroczenie granicy polsko-gdańskiej.

W dn. 31-ym sierpnia wieczorem byłem z min. Arciszewskim i kilku kolegami w Klubie MSZ, w pałacu Kronenberga, gdzie słuchaliśmy audycji radia berlińskiego, podającej słynne punkty hitlerowskie rzekomej jego gotowości załatwienia „pokojowo” sporu z Polską. Treść i ton tej audycji nasuwały nam przypuszczenie, że jesteśmy w przededniu ataku na Polskę. Około godz. 11-ej miałem telefon od p. Sędzielowskiego, zast. dyr.

gab. ministra spr. zagr., z powtórzeniem wiadomości, jaką Oddz. II-gi Szt. otrzymał dopiero co od Wydz. Wojsk. Kom. Gen. w Gdańsku, według której nieznanego głosu powiedział po niemiecku przez telefon dyżurującemu urzędnikowi Kom. Gen.: „już przekroczyli most” i zawiesił słuchawkę. Zapytany jak tłumaczyć to ostrzeżenie i czy dać mu wiarę, odpowiedziałem, że oznacza ono, iż wojsko niemieckie wkroczyło na teren Gdańska od Prus Wsch. i że przekroczyło most na Wiśle, zbudowany w ostatnich tygodnia (do czasu jego wykończenia trzeba było przepływać się promami przez Wisłę), oraz że uważam, iż informacji tej należy dać wiarę, szczególnie w świetle komunikatu radia berlińskiego. Później dowiedzieliśmy się, że owej nocy strona polska w Gdańsku miała dwa dalsze ostrzeżenia o grożącej napaści, których nie była już w stanie nam powtórzyć. Miał je Komisarz Generalny i Polski Naczelny Inspektor Cel. Informatorem był wysoki urzędnik gdański, który nie ukrywał wobec nas wrogiego stosunku do reżimu hitlerowskiego i który nie wierzył, by Niemcy były w stanie pokonać Polskę, Francję i W. Brytanię.

Nocy tej mało spałem, mając telefony z informacjami i zapytaniami. Najważniejszy telefon był krótko po 5-jej rano. Dyżur w Ministerstwie owej nocy miał dyr. J. Wszelaki, który mi powtórzył wiadomość, pochodzącą z kół wojskowych, że Niemcy zajęli Gdańsk i zaatakowali lotnictwem Tczew, Puck i Gdynię, i zapytywał, czy jej dać wiarę i podać min. Beckowi. Odpowiedziałem, że uważam iż należy min. Becka obudzić i wiadomość mu powtórzyć. Po chwili miałem ponownie telefon od Wszelakiego, że sekretarz wzbrania się obudzić ministra mówiąc, że już kilkakrotnie były alarmujące wiadomości, które się nie sprawdziły, minister zaś położył się późno b. zmęczony. Powtórzyłem mu opinię, że minister powinien być obudzony bez zwłoki i poinformowany o napaści. Po kilku minutach miałem po raz trzeci telefon od Wszelakiego, komunikujący mi, że ministra obudził osobiście i podał mu wiadomość o ataku Niemiec, że w międzyczasie informacja o napaści się potwierdziła, nowe meldunki donoszą o atakach lotniczych na Poznań i Kraków i inne miasta, oraz o ostrzeliwaniu przez artylerię niemiecką mostu na Wiśle pod Tczewem.

W dniu 1-szym września znaleźliśmy się w stanie wojny z Niemcami, której w naszej pracy w służbie zagranicznej pragnęliśmy zapobiec. Z mojego odcinka pracy mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że nie robiliśmy niczego, co by Hitlera miało, czy mogło sprowokować do wojny. Nieraz się zastanawiam, czy mogliśmy uniknąć wojny z Niemcami. Nie widzę tej możliwości w r. 1939. Może istniała w 1938. Zresztą spekulacje na ten temat są dziś mało celowe. Poza tym przy tych rozważaniach przypominam sobie wypowiedź Hitlera z 23.XI.39: „Nie po to organizowałem siły zbrojne, by nie uderzyć. Wola i decyzja uderzenia były we mnie zawsze...”

Opinia światowa nadawała sprawie gdańskiej większe znaczenie niż w istocie posiadała, uważając ją za bezpośrednią przyczynę wojny polsko-niemieckiej, a w konsekwencji drugiej wojny światowej. Dziś wiemy dobrze, że tak nie było. Na uzasadnienie tego twierdzenia i na zakończenie, przytoczę wypowiedź Hitlera, uczynioną na tajnej naradzie jego rady przybocznej w dn. 23-go maja 1939:

„Polak nie jest „dodatковым wrogiem”. Polska będzie zawsze po stronie naszych wrogów. Mimo traktatów przyjaźni, Polska miała zawsze ukryte intencje wykorzystania każdej okazji na naszą szkodę. *Gdańsk nie jest bynajmniej przedmiotem sporu.* Chodzi tu o ekspansję naszego obszaru życiowego na wschód i o zapewnienie środków żywnościowych. Nie może wobec tego być mowy o oszczędzaniu Polski i nie pozostaje nam jak decyzja: zaatakować Polskę przy pierwszej korzystnej okazji. Nie możemy liczyć na powtórzenie się sprawy czeskiej. Wojna będzie. Naszym zadaniem jest izolować Polskę. Osiągnięcie odosobnienia będzie decydujące...”

J. MARLEWSKI

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St.-Louis-en-l'Île — PARIS-IV^e

Telefon: DANton 51-09

poleca książki antykwaryczne :

Wł. St. Reymont. *LEGENDA*. Z oryginalnymi drzeworytami Wł. Skoczylasa. Warszawa, Nakładem Instytutu Wydawn. Biblioteka Polska, 1924. Str. 36 i 5 plansz poza tekstem in-4^o. Egzemplarz numerowany, odbity w drukarni Wł. Łazarskiego. Podpisany przez Wł. St. Reymonta jak również każdy drzeworyt podpisany przez Wł. Skoczylasa. W pięknej oprawie polskiej w półskórkę.

KATEDRA KRAKOWSKA NA WAWELU. 17 chromolitografii F. Strobanta. Tekst Ks. Biskupa Ludwika Łętowskiego. Kraków 1859. Czcionkami drukarni „Czasu”. Stron 108 in-folio. Oprawa z epoki, grzbiet nieco uszkodzony poza tym egzemplarz w b. dobrym stanie.

Adam Mickiewicz. *COURS DE LITTERATURE SLAVE*. 1840-1843. Paris, L. Martinet 1860. Pięć tomów, Str. IV + 419 + 450 + 396 + 510 + 304. Egzemplarz nierozcięty.

Spisy posiadanych książek antykwarycznych z poszczególnych działów sporządzamy na każde żądanie — bezpłatnie.

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwo „Kultury”, „Orla Białego”, „Wiadomości”.

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Kronika kulturalna

Sartre-Camus

Najważniejszym niewątpliwie ewenementem paryskiego życia kulturalnego w ciągu ostatnich miesięcy była pewna polemika, która spowodowała poważne skutki. Podać krótką informację o niej jest obowiązkiem kronikarza.

W maju br. miesięcznik redagowany przez Jean-Paul Sartre'a, „Temps Modernes”, opublikował recenzję z ostatniej książki Alberta Camusa „L'homme révolté”. Autor tej recenzji, młody filozof Jeanson, poddał ostrej krytyce postawę Camusa wobec historii. W szczególności raziło go to, że Camus, badając zagadnienie terroru na przykładzie rosyjskich rewolucjonistów XIX wieku i na przykładzie bolszewików, stwierdzał „ślepą ulicę”, w którą wpędza ludzkość terror wspierany doktryną i wspierający doktrynę. Książka Camusa wywołała wielkie niezadowolenie francuskich intelektualistów komunistycznych i była zaciekle atakowana w ich publikacjach. Ukazanie się ataku na nią w piśmie egzystencjalistów stało się przedmiotem licznych komentarzy: czyżby oznaczało to „nową linię” samego Sartre'a? Odpowiedź na to pytanie przyniosły następné numery „Temps Modernes”.

Sartre i Camus byli przyjaciółmi z czasów Ruchu Oporu. Mimo poważnych różnic w ich filozofii, ich stosunki osobiste nigdy dotychczas nie uległy rozluźnieniu. Po ataku na jego książkę autor „Peste” wystąpił z długim listem do Sartre'a. W liście tym precyzował swoje stanowisko, protestował przeciwko błędnej interpretacji niektórych z jego tez przez Jeansona i wykazywał, że filozofia historii, w imię której Jeanson zwalcza jego książkę, stoi w jaskrawej sprzeczności z egzystencjalizmem Sartre'a. „Temps Modernes” opublikowały ten list — wraz

z wieloma stronicami odpowiedzi Sartre'a i Jeanson. Te odpowiedzi były postawieniem kropki nad i. Sartre, zienawidzony przez Moskwę i okrzyczany jako najjaskrawszy przykład zgnilizny Zachodu, jako „agent imperializmu”, wystąpił tutaj w charakterze zwolennika „bóstwa Historii”, które obrazić ośmielił się jego dawny przyjaciel. Jego odpowiedź oznaczała ni mniej ni więcej, że przechodzi na pozycję filozoficzne marksizmu-leninizmu-stalinizmu. Równocześnie jego tekst był wzorowym przykładem tej operacji, która znana jest dobrze na Wschodzie, a która polega na „zniaczeniu” przeciwnika, wyszydzeniu jego walki w obronie praw i nadziei ludzkich i obróceniu w pośmiewisko jego dzieła. Niemniej daleko w ironicznej furii szedł Jeanson. W wyniku stosunki zostały zerwane.

Ten spór dwóch wybitnych postaci literatury francuskiej ma znaczenie nie tylko dla paryskich kół intelektualnych. Uwydatnił on pewne konflikty ideologiczne, sięgające głębiej niż polityka choć ściśle z polityką związane. Nie tutaj jest miejsce na ich analizę. W każdym razie Sartre chcąc potępić stanowisko Camusa — które politycznie jest stanowiskiem antystalinowskiej lewicy — musiał uciec się do linii rozumowania heglowsko-marksistowsko-stalinowskiej i przekreślić tym samym znaczenie całej swojej dotychczasowej filozofii, opartej na wolności. To pojęcie wolności nie było u niego co prawda wsparte żadną transcendencją. W ostatnich numerach „Temps Modernes” Sartre idzie konsekwentnie dalej i mówi o tym, że partie komunistyczne różnych krajów komunikują się ze sobą za pośrednictwem tej „transcendencji” jaką jest Moskwa (reprezentującą „bóstwo Historii”). Egzystencjalizm Sartre'a jest więc zaprzeczony przez niego samego i pogrzebany.

Jakie przyczyny psychologiczne skłoniły Sartre'a do nagłego „nawrócenia” — nie wiadomo. Nie wiadomo też czy są one wyłącznie psychologiczne. Zdaje się, że wobec wielu intelektualistów zachodnich taktyka „bicia po twarzy”, zastosowana przez komunistów, jest skuteczna: im więcej są bici i opluwani, tym bardziej skłonni są do uwielbienia. Nie tacy intelektualiści jak Camus, który jest bardziej szanowany niż Sartre nawet przez wrogów. Ale Sartre jest niebawą gratką dla Moskwy. Rozkaz został wydany — i oto publikacje stalinowskie na całym świecie zaczęły pisać hymny na jego chwałę. Tym bardziej, że udał się na „Kongres Pokoju” do Wiednia, gdzie jego przemówienie (przed porządkiem obrad!) wzbudziło szal entuzjazmu.

Sartre jest dla Moskwy pierwszorzędnym nabytkiem — gdyż jak dotychczas nie należy do partii a więc może być przedstawiany na eksport jako „wolny sympatyk”. Jest on jednym z najwybitniejszych europejskich filozofów (przy całkowitej naiwności jego wypowiedzi politycznych, nie ustępujących pod tym względem wypowiedziom André Gide'a). Zwążywszy, że obóz zachodni całkowicie lekceważy broń ideologiczną (spychając przez to wielu pisarzy i myślicieli w pułapkę stalinizmu, z

której nie ma wyjścia) — ta strata nie będzie opłakiwana przez wszystkich tych, którzy sądzą, że wystarczy powtarzać o rosyjskich obozach powolnej śmierci, aby ludzi niechętnie do Rosji usposobić. Jeżeli chodzi zresztą o ludzi typu Sartre'a, to właśnie terror zdaje się być dla nich najlepszym argumentem nie przeciwko — ale za, gdyż tęsknią do siły, której mogliby się poddać.

M. K.

François Mauriac — laureat Nobla

Do wojny Mauriac był zjawiskiem czysto francuskim. Graham Greene spopularyzował go w krajach anglosaskich. Nagroda Nobla czyni z niego zjawisko światowe. Ta więc — w 67-ym roku życia — pozostała mu już tylko nadzieja na grób w Panteonie, gdzie Francja chowa swych najbardziej zasłużonych. „Nie jest jednak wykluczone — powiada sam — że zawisnę na szubienicy”. W tej obawie, zamienionej w ponury żart, jest połowa Mauriaca. Druga połowa jest w owym paradoksie, że najsurowszy krytyk katolickiej burżuazji stał się — jako publicysta polityczny „Figara” — jej najbardziej eksponowanym obrońcą. Mauriac widzi sam siebie na straconej pozycji, buńczucznie wystawiającego się na największe niebezpieczeństwo. Cała ironia tej sytuacji tkwi w tym, że gdybyśmy chcieli życzyć Mauriacowi, by los nie zamienił tego heroizmu w żalosną kokieterię — musielibyśmy życzyć Francji i katolicyzmowi tego właśnie, czego Mauriac tak się obawia.

Ten jansenista wpada nieustannie w pułapki, zastawione przez ironiczny los. Odsłaniając piekło katolickiego życia rodzinnego, Mauriac wystawiał się na sztych wszystkich „dobrze myślących”, którym jego pretensja do apostołatu wydawała się bluźnierczą. Bezlitosne okrucieństwo jego powieści zapewniło mu pozycję modnego pisarza, czyniąc go równocześnie podejrzanym w kołach, które uważają się za ostoję tradycji katolickiej. A kiedy katolicka młodzież literacka poddaje się urokowi Sartre'a i Millera, spadkobierców mauriacowskiego okrucieństwa, i odwraca się od Mauriaca jako „grafomana” (nie wahając się zestawiać go z francuską Mniszchówną — Delly) — Mauriac staje się rzecznikiem „dobrze myślących” i heroldem katolicyzmu tradycyjnego.

Po kilku próbach poetyckich, które go nie zadowalały, Mauriac powziął ambicję napisania „ostatniej książki”, to jest książki, po której nie miałby już nic więcej do powiedzenia. Od

czterdziestu lat powstaje w ten sposób jedna powieść po drugiej. Wiadomość o nagrodzie Nobla zastała Mauriaca przy pisaniu dwudziestej „ostatniej” książki. Wreszcie sam zaczął się zastanawiać, dla czego nie stał się Balzakiem z „Ludzkiej Komedii” czy Proustem, którego uważa zresztą za swego mistrza. Tyle książek powinno dać fresk, epopeję, przekrój całego społeczeństwa w określonej epoce. A tymczasem wszystkie jego książki są tylko — jak sam mówi — poronionymi próbami napisania jednej, właśnie „ostatniej” książki. Przy pisaniu każdej z nich miał pewność, że tym razem znalazł się u celu i za każdym razem okazywało się, że pracę trzeba zaczynać od nowa. Bo chociaż niektóre części obrazu, jaki pragnie dać o świecie, Mauriac może uważać już za ustalone — do tego stopnia, że je po prostu powtarza — inne wciąż jeszcze nie są dość prawdziwe albo nie łączą się z resztą kompozycji w harmonijną całość.

Tajemnica tkwi niewątpliwie częściowo w tym, co Mauriac nazywa różnicą między opisywaniem z zewnątrz a patrzeniem od wnętrza. Balzac mógł namalować fresk, bo interesowała go naprawdę tylko powierzchnia świata. Niemniej słuszna jest uwaga, że Mauriac nie jest epikiem, tylko lirykiem. Ale Proust, który także był bardziej poetą niż malarzem, dał przecież pełny, choć poetyczny, obraz swej epoki. Czy twórczość Mauriaca będzie czymś więcej, niż świadectwem subtelnej i skomplikowanej osobowości? „Zaden element mojej epoki — powiada — nie powinien przedostać się do mego dzieła, zanim nie odnajdę go w sobie samym... Nie obserwuję, nie opisuję — odnajduję... Wszystko tak się złożyło, jakby w dwudziestym roku mego życia zamknęło się wieko świata, który miał być tworzywem mego dzieła...” A był to „świat ciasny, ograniczony do klasy burżuazyjnej, znajdującej się w stanie przemiany, a może nawet zaniku, do jednego miasta, kilku krajobrazów: lasów sosnowych czy winnic, do religii, a raczej do atmosfery religijnej, z której nic dziś nie pozostało, nawet w kołach katolickich, i wreszcie do konfliktów moralnych, które rozwój obyczajów uczynił prawie niezrozumiałymi”. Jeżeli ten świat ma jakąś wartość, to w opinii krytyki zawdzięcza ją poezji, która z niego promieniuje dzięki przeniesieniu go z pamięci jednego człowieka do dzieła sztuki.

Czym jest ta poezja? Jest ona odwrotną stroną niemocy, jaką odczuwa Mauriac przy swoich próbach napisania „ostatniej” książki. „Całe moje dzieło — powiada — mogłoby nosić tytuł: Pustynia Miłości”. Wydał trzy tomy „Dziennika”, a więc utworu o formie, która uchodzi za intymną, a przecież nie w tym „Dzienniku”, tylko w swoich powieściach odstąpił się naprawdę. Egzystencjaliści parają się dziś z problemem „tego drugiego”, tj. bliźniego, który „nas obserwuje” a sam jest nieosiągalny. Mauriac był w tym sensie egzystencjalistą przed egzystencjalistami. Jeżeli stoi na biegunie powieściopisarstwa francuskiego, przeciwnym temu, który zajmuje Paul Bourget, jeżeli nigdy nie pisał powieści, z tezą, a przecież dostarcza filozofowi

świadectwa o życiu i o człowieku — tajemnica tkwi w tym, że jest chrześcijaninem, a raczej katolikiem nie tylko jako człowiek, ale przede wszystkim jako pisarz. A katolik, to człowiek wciąż na nowo podejmujący ów na pozór syzyfowy trud zastępowania na Łaskę, która jest nagrodą Miłości. Mauriac nie może napisać „ostatniej” książki, choć za każdym razem ma pewność, że ją właśnie pisze, z tego samego powodu, dla którego katolik — póki żyje — nigdy nie uzyskuje pełnej Łaski i nigdy nie jest pewny, że ją posiada, choć przysięgłby, że zrobił właśnie wysiłek, dzięki któremu wreszcie na nią zasłużył.

W ten sposób dzieło Mauriaca staje się bardziej wzorem sztuki katolickiej, niż gdyby był propagandzistą wiary, kaznodzieją, egzegetą, autorem powieści z tezą. Bo Mauriac nie mówi o doświadczeniach katolika, nie opisuje ich, nie przedstawia i nie ocenia, ale w każdej książce to doświadczenie robi. Jego sztuka staje się w ten sposób poezją integralną, której kryterium nie jest Piękno, bo piękno dostępne jest z zewnątrz ale Prawda, która z zewnątrz jest zarazem ślepa i niedostępna. Ta prawda nie jest dziełem logiki, ale wiary, nadziei i miłości.

Mauriac słusznie zwraca uwagę, że modna dziś — zarówno na lewicy jak i na prawicy — powieść tendencyjna, miała swego mistrza w osobie Pawła Bourget, którego usiłował przed śmiercią rewindykować Maurras, a o którym na lewicy nikt nawet nie pamięta. Porównywanie Mauriaca z Bourgetem jest nie tylko krzywdą, ale ignorancją. Dzieło Mauriaca reprezentuje ideał powieści artystycznej, a nie ideologicznej. Jeżeli mimo to jest to powieść katolicka, to stanowi ona dowód, że katolicyzm wciąż jeszcze jest dostatecznie żywy, by nie tylko fascynować swą ideą, ale by organizować wewnętrznie człowieka, który w swej twórczości stosuje kryteria estetyczne, wyrosłe poza katolicyzmem i by zapewnić tej twórczości jedność, która jest równocześnie jednością osobowości autora. Mauriac nie dopuszcza żadnej prawdy, której nie przeżył, a każda prawda, jaką przeżywa, okazuje się prawdą wiary. Powieści Mauriaca nie są o p i s a m i walki Jakuba z Aniołem, bo twórczość Mauriaca sama jest walką Jakuba z Aniołem.

Ta jedność człowieka i jego dzieła, umożliwiona przez to, że ideałem pisarza jest piękno jako wyraz prawdy, daje autorowi taką władzę nad rzeczami i środkami artystycznymi, że słowa, jakimi się posługuje, równocześnie nabrzmiały są treścią i formalnie zgęszczone jak w najbardziej ascetycznej poezji. Za przykład niech mi posłuży ten niezrównany początek jednej z jego powieści: „— Śpi. — Udaje, chodźmy”. W tych trzech słowach zawarty jest motyw, który w powieści, jak w poemacie symfonicznym, zostanie już tylko rozwinięty, ale nie wzbogacony. Prawda ma to do siebie, że daje siłę nie tylko charakterowi, ale i talentowi. Prawda daje szlachetność życiu, a równocześnie jest najlepszą metodą tworzenia arcydzieł.

Zardzewiały repertuar

Tuła się wśród nas niekontrolowany przesąd, że pokazywanie społeczności polskiej na emigracji jak najczęściej filmów polskich z żelaznego, przedwojennego repertuaru jest niemal zasługą patriotyczną! Że chroni to skutecznie przed zalewem obcości, odświeża obraz dalekiej ojczyzny, podsyca narodowe uczucia. Nie chcę wymieniać, który z polskich filmów, jakie pokazuje się co pewien czas w miastach i hostelach Anglii „dla pokrzepienia narodowego ducha”, pobudził mnie do niniejszych uwag. Nie to bowiem jest ważne, i nie zamierzam kierować ostrza tych uwag przeciw poszczególnym filmom ani tym, którzy im patronują. Idzie mi o cały rodzaj.

Wszystkie niemal filmy polskie, powstałe na przestrzeni przedwojennego dwudziestolecia, cechuje prymitywizm gry aktorskiej, nieszczerłość wyrazu i błahość tematów, nie mówiąc już o zużyciu taśm i słabości wyświetlenia. Ukazują one raczej coś w rodzaju upiora naszej przedwojennej przeszłości, aniżeli jej żywą wizję.

Cechy to zresztą całkiem zrozumiałe i usprawiedliwione. Poziom tych filmów, w porównaniu z ówczesną produkcją światową, nie był już przed wojną wysoki. Nic dziwnego, że dzisiaj jest prawie nie do zniesienia. Na domiar kopie filmów bywają zdarte — bo wyświetlano je niezliczoną ilość razy i na podłych aparatach; z tego samego powodu obrazy bywają zazwyczaj ciemne, a udźwiękowanie liche — co pogłębia jeszcze ponurość wrażenia. Na dobre aparaty i świeże kopie nie stać oczywiście przedsiębiorców operujących skromnymi kapitałami.

Powinienem tu jeszcze przeprowadzić dowód prawdy i pokazać na kilku polskich filmach ich wspólne, nieuleczalne wady. Myślę jednak, że są one zbyt oczywiste, by trzeba je wykazywać, że rzecz jest dostatecznie wiadoma, a tylko zbywana jakimś bezradnym milczeniem.

Dlaczego w takim razie pokazuje się te filmy i dlaczego wyszukuje się w ubogiej spuściznie przedwojennej nawet najlichsze odpadki? Cóż — jest na nie niewątpliwie popyt wśród emigracyjnej społeczności. Poza tym jak już podkreśliłem u wstępu, wyświetlanie filmów polskich bywa zachwalane jako czyn patriotyczny, który ma podtrzymywać świadomość narodową na obczyźnie.

Osobiście mam poważne wątpliwości czy filmowcy, krążący po hostelach z nieśmiertelną wiązką tych samych lichych filmów, służą na dalszą metę polskiej sprawie i czy to zerowanie bez kontroli na sentymentach emigracyjnej społeczności nie musi w końcu przynieść szkody zamiast zysku.

Myślę przede wszystkim o młodzieży. Skoro w propagandzie polskich filmów wysuwa się zawsze patriotyczny punkt widzenia na czoło, słuszną to rzecz zainteresować się reakcją najmłodszych, od których zależy nasza narodowa przyszłość. Obawiam się, że dojdziemy do niedobrych wniosków. Jakiż obraz Polski wyrobi sobie na podstawie tych filmów dziecko, które Polski nigdy nie widziało i na domiar przywykło do współczesnych, technicznie doskonałych filmów zagranicznych? Cóż za kompleks małowartościowości musi się narodzić w młodym umyśle przy oglądaniu takich tanich i nieszczerych podobizn polskiego życia. Strach o tym pomyśleć. Nie — lepiej żeby młodzież nigdy nie oglądała tych filmów, jeśli nie ma się ze wstydem odwrócić od nieznanej ojczyzny.

Ale może służą one podtrzymaniu pamięci i przywiązania do kraju u starszego pokolenia? Procesy odbywające się w podświadomości bywają skomplikowane i zdradliwe. Zartata i niedoskonała fotografia kobiety niegdyś kochanej w równej mierze gasi jak podtrzymuje stygnącą miłość. Zartaty i wykrzywiony obraz przeszłości, spływający na nas z ekranu, nie tylko wyciska łyzy tęsknoty, ale podlega mimowolnej kontroli umysłowej, mimowolnemu porównywaniu z tym, co nas współcześnie otacza. Na domiar fałszywa kopia zajmuje powoli miejsce zacierającego się w pamięci oryginału i oryginał zaczyna się osądzać na podstawie kopii. Nie ludźmy się, że proste umysły reagują w odmienny sposób. Reagują tak samo, często radykalnie — tylko mniej świadomie i jawnie. Kropla draży kamień.

Doceniam w pełni znaczenie filmu polskiego dla zagadnienia świadomości narodowej na obczyźnie. Film, to najpotężniejsza broń emocjonalna naszego wieku — niedająca się już zastąpić ani książką, ani teatrem. Dlatego sądzę, że sprawę wyświetlania filmów polskich, która dotychczas toczy się automatycznym i niekontrolowanym torem, należy zrewidować i poddać pewnej kontroli. Żelazny repertuar filmowy emigracji, eksploatowany jak dotychczas na dziko, przynosi na pewno więcej szkody niż korzyści.

Czy jest na to rada? Jeżeli nawet nie można zrobić wiele, trzeba uczynić co możliwe. Należało by przede wszystkim wyświetlane filmy przesiał i pozostawić tylko najlepsze. Wydaje mi się przy tym, że o wiele mniej podległy zębowi czasu filmy wesołe, komediowe, aniżeli tak zwane poważne. Krajobraz polski i obyczaj — to, co w filmach bywa zawsze autentyczne i rzetelne — powinno również ostać się w selekcji. Jeszcze jedno: aparaty, którymi się filmy polskie rzuca na ekran, nie mogą być zużyte w lichego gatunku, jak to się najczęściej zdarza — bo to bywa poważną przyczyną zniechęcenia tymi filmami.

Trudno odrodzić polski film na obczyźnie, skoro żyje on z gotowych zapasów, a nowe filmy z kraju muszą być niestety wykrzywione propagandą. Ale można przynajmniej w przedwojennych filmach odkroić to, co jest już zbyt przestarzałe i nieodłączne. Żywych wątków zostanie wtedy niewiele, ale przynaj-

mniej będą żywe. I wówczas dopiero polskie filmy, nawet w swej ubogiej obecnej szacie, pozostaną pozytywnym elementem w naszym życiu, pozbawionym obrazu Polski rzeczywistej.

Poruszyłem tę sprawę polskich filmów na emigracji przede wszystkim dla jej typowości. Rzecz jest, niestety, znamieną dla całokształtu naszego życia duchowego na obczyźnie. Nie tylko w dziedzinie filmu emigracja karmi się od lat żelaznym repertuarem tych samych idei, uczuć czy obyczajów — nie wychodząc prawie i nie pragnąc nawet wyjść z ich zaklętego kręgu. Czyż można się dziwić, że prowadzi to powoli do spróchnienia wewnętrznego, do jakiejś monomanii wyгнаńczej, albo — do radykalnego protestu, do buntu przeciw całemu narodowemu dziedzictwu i przerwania się w drugą ostateczność — ku gombrowiczowskiej Synchronizacji.

Wit TARNAWSKI

Konkurs literacki F. E.

Konkurs Literacki Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa przyniósł niespodziewanie obfity plon w postaci 544 prac z dwudziestu krajów świata.

Najwięcej, bo aż 214 prac napłynęło z Anglii; na drugim miejscu idą Stany Zjednoczone — 78 prac, na trzecim Kanada — 54 prace, na czwartym Francja — 46 prac, na piątym miejscu Niemcy — 37 prac, a dalej Austria, Afryka Południowa, Argentyna, Austria, Belgia, Brazylia, Holandia, Irlandia, Kolonie Francuskie w Afryce, Szwecja, Szwajcaria, Włochy, Tunis i nawet egzotyczny Pakistan.

Największą niespodziankę sprawiły 4 prace konkursowe, nadesłane z Polski, pomimo wyraźnego ostrzeżenia słuchaczy, że z uwagi na bezpieczeństwo — Konkurs przeznaczony jest wyłącznie dla Polaków na obczyźnie.

Pierwszy temat: „Najciekawsze przeżycie z lat 1939 — 52” zdobył 276 prac. Na drugim miejscu idą „Listy z Kraju” — 167 prac. Na temat: „Co Zachód może przeciwstawić Komunizmowi” nadesłano 101 prac.

Sąd Konkursowy w składzie: Jan Nowak, Wiktor Budzyński, Gustaw Herling-Grudziński, Zdzisław Marynowski, Wacław Modrzeński, Tadeusz Nowakowski i Eugeniusz Remiszewski — przystąpił już do pracy. Oczekuje się przybycia do Monachium Redaktora Stanisława Strzetelskiego z Nowego Yorku, który również weźmie udział w Sądzie Konkursowym.

Z uwagi na ogromną ilość nadesłanych prac, rozstrzygnięcie Konkursu przypadnie prawdopodobnie dopiero w dniu 3 maja 1953 r., tj. w pierwszą rocznicę uruchomienia Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium.

Od nadrealizmu do konwencji

Tak się złożyło, że wśród ośmiu nowych filmów, obejrzanych przeze mnie w ciągu ostatniego miesiąca, znalazły odzwierciedlenie różne kierunki i metody twórcze — od nadrealizmu (*Miracolo a Milano*) poprzez eksperymentalny formalizm (*The Thief*) i różne gatunki realizmu (*Les enfants terribles*, *The Picwick Papers* i *The Snows of Kilimanjaro*) aż do konwencjonalizmu (chińskie *Forbidden City* i *L'amour, madame*). Ustawienie tych dzieł właśnie w tej kolejności i według tej zasady podziału daje mi możliwość powiedzenia o nich więcej, niż mógłbym uczynić recenzując je encyklopedycznie, szufladka za szufladką.

Miracolo a Milano De Sici zasługuje na uwagę z wielu względów. Jest to nie tylko jeden z pierwszych filmów włoskich zrywających z metodą realistyczną, której autor „Złodziei rowerów” był wybitnym współtwórcą. Z porównania z innymi filmami tego typu — np. z *Il capotto* Alberta Latuady — zdaje się wynikać, że „Cud w Mediolanie” to może jedyny film o treści społecznej, używający konsekwentnie i celnie środków artystycznych nadrealizmu*), znanych dotychczas głównie z obrazów fantastycznych i z żartobliwych komedii, obliczonych w pierwszym rzędzie na zabawienie widza — jak *The Ghost Goes West* lub *I Married a Witch* czy *It Happened Tomorrow* René Claira. Od wszystkich filmów tego rodzaju, jak również o tych, które do wprowadzenia środków nadrealistycznych używają pretekstu marzenia sennego (*Le voyage imaginaire* Claira lub *The Matter of Life and Death*) *Miracolo a Milano* różni się zarówno pod względem formy jak i treści myślowej. W dziele tym De Sica bez żadnych pretekstów, od początku do końca z żelazną konsekwencją zanurza widza w wymiarze baśni ludowej, w której wszystko jest możliwe: gdzie dobra wróżka może znaleźć podrzutka wśród główek kapusty własnego ogródka, gdzie znajdek pozostaje wruszającą i nawiśnie dobry mimo wieloletniego przebywania w publicznym przytułku, gdzie nafta wytryska nagle w osiedlu bezdomnych w formie licznych

*) Wolę tu używać terminu „nadrealizm” dla odróżnienia od surrealizmu francuskiego, który ma — przynajmniej w niektórych dziedzinach — swą wypracowaną teorię, nie pokrywającą się zupełnie z metodą De Sici.

gejzerów za naciśnięciem ziemi laską lub palcem, a czarodziej-ski gołąb spełniając wszystkie życzenia chłopca - apostoła do-broci jest w stanie obronić nędzarzy przed zamachami kapi-talistów, usiłujących ich wyeksmitować przy pomocy policji; skąd wreszcie, gdy czar gołębia przestaje działać, biedacy od-latują na miotłach do kraju ułudy, w którym „tak” oznacza tak, a „dzień dobry” jest życzeniem dobrego dnia pod adresem bliźniego.

Jak w filmach fantastycznych w rodzaju jakiegoś „Niewi-dzialnego człowieka” oszałamia widza bogactwo tricków tech-nicznych i pomysłów — tak w „Cudzie mediolańskim” zdumiewa i zachwyca obfitość i integralność nadrealistycznych środków artystycznego wyrazu. Kiedy na przykład De Sica chce zilustrować znane i oklepane powiedzenie o walce o miejsce pod słońcem, pokazuje na tle ołowianego nieba i obrzydliwych ru-der tylko jeden promień słoneczny i tylko jedno oświetlone nim — jak reflektorem teatralnym — koło, do którego siłą pcha się tłum zmarzniętych obdartusów. Nie brak De Sice znakomitych pomysłów, nie potrzebuje ich zapożyczać — jak to się czyni nagminnie — od Claira lub innych klasyków filmu. Ale oglą-dając je raz i drugi widz czuje, że nie o tricki tu chodzi.

Miracolo a Milano naładowane jest, rzec by można spuch-nięte od myśli. Nic dziwnego, że zarówno krytyka komunistycz-na jak reakcyjna przyjęła film niechętnie. Komuniści piętnują go jako zdradę i rzekome cofnięcie się z „postępowej” drogi, na którą jakoby wkroczył twórca, gdy kręcił „Złodziei rowe-rów”, reakcjonści zaś wpadli na idiotyczny pomysł, że De Sica apoteozuje Rosję jako baśniowy kraj szczęścia. Rzecz w tym, że De Sica nie symplifikuje zagadnień. Choć ostrze swej kry-tyki kieruje przede wszystkim przeciwko kapitalistom, nie za-myka bynajmniej oczu na grzechy i błędy nędzarzy. Nie wska-zuje rozwiązań pozytywnych problemu niesprawiedliwości spo-łecznej i nie można tego od niego, jako od artysty, żądać. Mą-drość filmu objawia się we wszechstronnym podejściu do te-matu, we wskazaniu na fakt, że w samym człowieku, w jego skażonej naturze tkwi może najważniejsza z przyczyn niespra-wiedliwości, nędzy i wyzysku. Można by przypuszczać, że De Sica zwątpił w ogóle w możliwość zadawalających rozwiązań społecznych. Wydaje mi się jednak, że byłby to wniosek zbyt pochopny. Swym głębokim i pięknym dziełem twórca zdaje się mówić, że indywidualna, nieorganizowana dobroć jednostki sama przez się nie jest w stanie zapewnić usunięcia nędzy i wy-zysku — może upośledzonym przynieść tylko ucieczkę od rze-czywistości.

Gra wszystkich aktorów (w rolach głównych Emma Gram-matica, Brunello Boro i Paolo Stoppa), fotografia, muzyka i montaż służą harmonijnie całości dzieła, którego kośćcem jest scenariusz De Sici, motorem jego myśl i współzucie dla czło-wieka, a siłą porządkującą talent wspaniałego reżysera.

Bardzo ciekawym, choć nie w pełni udanym eksperymen-tem formalnym jest *The Thief* amerykańskiego reżysera Russe-la Rouse'a, z Ray Millandem w roli tytułowej. Mamy tu dźwię-kową, ale nie mówioną, to znaczy zupełnie pozbawioną dialo-gów historię szpiega atomowego, członka amerykańskiego in-stitutu badawczego, uczonego, który fotografuje i wydaje w rę-ce obcego (nie wymienionego z nazwy) wywiadu tajne doku-menty naukowe. Uciekając przed zaciskającym się kręgiem obławy F.B.I. szpieg zabija przypadkiem jednego z agentów, po czym, mając już prawie pewność bezkarności, nie wytrzy-muje nacisku własnego sumienia i oddaje się dobrowolnie w rę-ce kontrwywiadu.

Trudno zgadnąć jaki cel postawił sobie reżyser podejmu-jąc ten niewątpliwie interesujący eksperyment. Jeśli chodziło mu o jaskrawe uwyrażenie wielkiej samotności człowieka, który w wirze ogromnego miasta trudni się długi czas zbrodni-czą działalnością nie potrzebując z nikim rozmawiać — to osią-gnął swój cel w bardzo znacznej mierze. Mogło mu także za-leżeć na zuniwersalizowaniu dzieła, na uniezależnieniu go od języka widowni. Usiłowania w tym kierunku były i są robio-ne, by wspomnieć tylko niektóre udane próby — jak film szwaj-carski *Four in a Jeep* lub polski *Ostatni etap*, w których każ-da osoba mówi własnym językiem, ale tylko w ograniczonym zakresie, zrozumiałym dla przeciętnie wykształconego czło-wieka.

The Thief posunął się znacznie dalej: skutecznie rozsze-rzył zrozumiałość filmu na wszystkich ludzi, zwłaszcza, że eks-peryment przeprowadzono inteligentnie i konsekwentnie. Nie widzimy na ekranie ludzi poruszających wargami lub usiłują-cych mówić, lecz zagłuszanych przez inne dźwięki (a słysząc ich tu tyle, albo więcej, niż w normalnym dźwiękowcu); boha-terowie filmu nie mówią, gdyż nie zachodzi tego potrzeba: po-szczególni agenci obcego wywiadu porozumiewają się dzwon-kami telefonów, których się nie przyjmuje, bez słowa wręcza-ją sobie mikrofilmy i karteczki z instrukcjami — krótko mó-wiąc sytuacje są tak ułożone, aby film przemawiał tylko gło-sami ulicy, szmerami, szelestami, ale nigdy mową ludzką. Wszystko to jest przeprowadzone w sposób tak prawdopodob-ny, że aż zdumiewa jak ważne sprawy ludzkie można załatwić bez gadulstwa. Tylko raz jeden, po zabójstwie agenta, uczo-ny amerykański, który — jak widać z całej roli — pracuje dla obcego wywiadu *contre coeur*, wybucha jakimś szlochom, czy przejmującym jękiem, pomyślanym jako punkt kulminacyjny dramatu.

Jeśli powiedziałem, że eksperyment nie jest w pełni udany, to nie miałem na myśli załamania się samej konwencji formal-nej, świadomie przyjętej przez artystę. Wydaje się, że reżyser albo nie dość jasno określił sobie cel, do którego zmierzał, albo

w takim stopniu uległ fascynacji swego formalnego założenia, że nie dość uważał na treść myślową i psychologiczną dzieła. W rezultacie pewne szczegóły powtarzają się w filmie stwarzając miejscami nastrój znużenia; postać szpiega przygnięta całą obraz, a przy tym nie jest nakreślona dość przekonująco: nie wiemy dlaczego uczony waha się już w pierwszych sekwencjach, a jego załamanie po śmierci agenta F.B.I. nie jest dostatecznie przygotowane.

Mimo tych braków nieobecność tak często nadużywanego dziś dialogu działa w tym filmie orzeźwiająco i podniecająco. W sumie formalistyczną próbę Rouse'a należy powitać z uznaniem. Raz jeszcze przypomina ona, że rozstrzygającym elementem kinematografii jest obraz w ruchu, o czym nigdy nie wątpię ci, co wracają od czasu do czasu do chaplinowskich, czy clairowskich arcydzieł niemych. Ponadto szlachetna asceza artystyczna, świadomie zastosowane, celowe zaostrenie wymagań formalnych — tak rzadkie w czasach, gdy na jeden bzdurny obraz w rodzaju *Quo Vadis* M.G.M. wydaje się miliony dolarów — może dać w przyszłości jak najlepsze wyniki.

Na marginesie „Złodzieja” warto tu wspomnieć angielską komedię filmową *Top Secret*, która wykpiwa nieudolność brytyjskich władz bezpieczeństwa w związku z ucieczką Pontecorvo i aferą Fuchsa, a przy okazji wyśmiewa pseudopokojową akcję Sowietów. Ten rozrywkowy film, wyreżyserowany przez Mario Zampi, o tyle zasługuje na uwagę Polaków, że pięć prawie niemych ról powierzono w nim naszym aktorom: Boruckiemu, Bożyńskiemu, Mikule, Wojteckiemu i Zienciakiewiczowi (Stalin).

(Dok. nastąpi)

KRYTYK

RADEGAST

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA I AGENCJA CZASOPISEM
MAIL ORDER BOOKSELLERS and NEWSPAPERS AGENCY

570 Aberdeen Ave., WINNIPEG, Man.

poleca największy wybór książek o treści rozrywkowej, religijnej, naukowej. Książki wydane na emigracji i w Kraju. Ostatnie wiadomości.

Przedstawicielstwo „Kultury”, „Wiadomości”, „Orla Białego”, „Zycia”, „Gazety Niedzielnej”, „Robotnika”, „Pokrzyw” oraz czasopism dla dzieci i młodzieży

KATALOGI WYSYŁAMY NA ŻĄDANIE

Najchętniej udzielamy wszelkich informacji.

Książki

Rozmowa z Gheorghiu

Spotykam Constantin Virgin Gheorghiu u „Plona”. Wysocki, chudy, czarno ubrany, o cienkiej twarzy intelektualisty, Gheorghiu nosi na sobie piętno smutku i melancholii, który przynika jego książki. Mówimy od razu o *Seconde Chance* :

— Czy nie zgodzi się Pan z tym, że *Seconde Chance* ma charakter parodii, czy karykatury, którego pozbawiona była *La Vingt-Cinquième Heure* i że właśnie to przeforsowanie tonu odbiera tej książce siłę przekonywującą ?

— Odpowiem Panu na to pytanie cytując Kierkegaarda, który przeszło sto lat temu pisał w swoim dzienniku: „Każy rozwój kończy się swoją własną parodią i zobaczymy, że element polityczny stanie się elementem parodii w rozwoju świata”. Moim zdaniem przepowiednia duńskiego filozofa sprawdziła się dziś całkowicie. Świat ewoluował tak daleko, że żyje dziś wyłącznie w parodii politycznej... Podobnie jak Midas zmienił w złoto wszystko czego się dotykał, współczesny człowiek przemienia wszystko czego się dotknie w politykę. Ten element parodii starałem się świadomie oddać w mojej książce.

— Pesymizm Pana sięga jednak tak głęboko, że trudno oprzeć się wrażeniu, iż dotyczy on samego problemu istnienia człowieka na świecie bardziej niż potępienia współczesnego barbarzyństwa. Kumuluje Pan w swojej książce straszliwe dowody zbliżającej się apokalipsy, niektóre z nich zaczerpnięte z rzeczywistości, inne o charakterze symbolicznym. Ale przecież podobne akty niesprawiedliwości miały również miejsce w innych epokach historii, po których następowały jednak okresy bardziej cywilizowane czy ludzkie?

— Moim zdaniem pomiędzy niesprawiedliwościami, okrucieństwami i barbarzyństwem dawnych epok, a ich współczesnymi przejawami istnieje zasadnicza różnica. W przeszłości dokonywano ich w imię jakiejś wiary, współczesne barbarzyństwo

dzieje się natomiast w metafizycznej próżni. Dlatego wydaje mi się ono o tyle bardziej niezrozumiałe i godne potępienia. Wiem, że na zachodzie szereg ludzi podchodzi do tych kwestii inaczej. Malraux poddaje nam myśl walki dla samej walki. Sartre mówi o „zaangażowaniu się” człowieka świadomym, nie opartym na wierze metafizycznej. Te rozwiązania wydają mi się jednak zbyt łatwe i niezrozumiałe. Niech Pan nie zapomina, że jako Rumun należę bądź co bądź do odmiennej kultury, w której nie można uniknąć odpowiedzi na pytania zasadnicze, transcendentalne.

— Jest jednak w książce Pana element pewnej stoickiej nadziei — kiedy jeden z pańskich bohaterów cytuje odpowiedź Lutra na pytanie co by robił gdyby mu zapowiedziano natychmiastowy koniec świata: „Sadziłbym dalej moje jabłonie”. Czy nie myśli Pan, że człowiek musi zawsze sadzić swoje jabłonie, niezależnie od tego czy ma transcendentalną wiarę czy jej nie ma?

— Zgadzam się z Panem, że nie ma czystej, abstrakcyjnej rozpacz. Schiller mówił, że nadzieja jest trawą, która rośnie nawet na grobach. Ale dla mnie osobiście ta nadzieja jest wyłącznie oknem otwartym na inny świat: opiera się na stanowisku chrześcijańskim.

— Rozumiem to stanowisko Pana na planie transcendentnym. Ale historia i życie ludzkie stawia nas przecież na każdym kroku przed kwestią konkretnego wyboru. Czy nie uważa Pan, przyjmując nawet, że we współczesnym świecie zło widzimy wszędzie, że należy dokonać wyboru pomiędzy większym i mniejszym złem?

— Oczywiście, jeśli chodzi o większość ludzi porajających się z zagadnieniami praktycznymi. Ale wydaje mi się, że wybór ten nie obowiązuje poety, artysty. Ja sam modłę się co wieczór o zwycięstwo Zachodu nad Kremlem. Ale nie widzę w czym Tito jest lepszy od Stalina. Nie widzę, co się zmieniło w reżimie Franca, pomimo że „praktyczne” względy robią dziś z niego „sprzymierzeńca”. Nie przyjmuję tego relatywizmu moralnego. Straciłem wszystko — mój kraj, moich bliskich, pozostało mi tylko jedno dobro: uczciwość. I uczciwym chcę pozostać do końca.

W *La Seconde Chance* główną nutą jest męka człowieka, który tęskni na wygnaniu do swojego kraju. Jest to dramat ludzki. Osobisty. A mówi się, że jest to stanowisko polityczne. Po pierwsze, moja tęsknota do kraju jest aktem polityki anty-angielskiej i anty-amerykańskiej (gdyż to Anglicy i Amerykanie zaprzękali Rumunię Rosji!); po drugie, moja tęsknota do kraju jest aktem polityki antykomunistycznej (gdyż nie mogę wrócić do siebie z powodu Sowietów). Moja męka wewnętrzna, ludzka, uważana jest za potrójny akt polityczny. To trochę tak jak stara służąca Tinka Neva z mojej książki,

której każdy uczynek interpretowany jest przez różne „władze” jako akt polityczny.

— Widzi Pan, ja podchodzę do świata subiektywnie, i nie mogę podać ręki ludziom, z których winy wynika tragedia mojego kraju i mojej rodziny.

— W książce Pana jest kilka postaci, które jak gdyby unikają ogólnego potępienia, które wymierza Pan współczesnemu człowiekowi. Muszę powiedzieć, że trochę mnie razi postać Pillata jako „sprawiedliwego”, który wypowiada często Pana własne tezy. Myślę, że odpowiedzialność za stan rzeczy spada poniekąd na nas wszystkich. Sam Pillat był ostatecznie prokuratorem przy reżimie, który nie miał tak bardzo czystych rąk.

— Kiedy Pillat nie jest w mojej intencji „sprawiedliwym”. Nazwisko jego jest wybrane celowo: to Poncjusz Piłat, ten który umywa ręce. Pillat zawsze stara się o kompromis, tylko nie udaje mu się to gdyż ma mimo wszystko pewną moralną wiarygodność.

— Jak ocenia Pan przyjęcie *La Seconde Chance* przez publiczność i krytyków?

— Nie miałem nigdy złudzeń, że „Druga Szansa” może się spotkać z życzliwym przyjęciem. Jestem przecież w tej książce zbyt „niedelikatny”. Przyjść do kogoś z wizytą i tłumaczyć mu, że jego matka jest brzydka i głupia — tak się przecież nie robi. A właśnie tak mówię o zachodniej cywilizacji w jej obecnym stadium. Uważałem jednak napisanie tej książki za mój obowiązek. Chciałem żeby była bardziej obiektywna, bardziej wszechstronna, sięgająca głębiej niż „Dwudziesta Piąta Godzina”. Nasuwało mi to szereg problemów. Pamiętam na przykład nocną rozmowę, którą miałem z Gabriel Marcellem, i w której pytałem go czy jego zdaniem mam prawo wykazać w mojej książce powrót za żelazną kurtynę, spowodowany rozpaczą, wszystkich moich bohaterów z wygnania na zachodzie. „W imię prawdy absolutnej — niewątpliwie tak” — odpowiedział Marcel. Mam zresztą szereg listów i głosów od uchodźców moich przyjaciół, którzy dziękują mi za napisanie tej książki i dorzucają nowe straszne doświadczenia ze swego własnego życia. Jeżeli nie potrafiłem oddać tej obiektywnej wizji, którą sobie postawiłem za cel — to chyba dlatego, że siły ludzkie są ograniczone.

Gheorghiu uśmiecha się melancholijnie. Za drzwiami poikoiku, w którym rozmawiamy kręci się niespokojnie młody człowiek od „Plona”, który ma zaprowadzić autora „Drugiej Szansy” na następne spotkanie. Dziękuję Gheorghiu za cierpliwość i mówię mu, że dając nieprzychylną krytykę, „Kultura” chciała aby polski czytelnik na uchodźstwie mógł zapoznać się jednocześnie z intencjami autora książki, poruszającej tak bliskie mu zagadnienia.

Od apokalipsy do karykatury

Wydana przed trzema laty powieść rumuńskiego pisarza Constantin Virgil Gheorghiu „La Vingt-cinquième Heure” spotkała się z błyskawicznym powodzeniem, nakład jej we Francji przeszedł 200.000, doczekała się tłumaczenia na kilkanaście języków. W książce tej Gheorghiu wystąpił z wizją proroka i ogniem kaznodziei przeciw unicestwieniu człowieka przez systemy totalitarne i materializm technicznej pseudo-cywilizacji. Rosjanie i Amerykanie sprowadzeni do wspólnego mianownika, odyseja uchodźców wschodnio-europejskich urastała do miary symbolu zbliżającej się apokalipsy. Pomimo braków literackich, formalnych i psychologicznych, „Dwudziesta Piąta Godzina” miała swoistą siłę i wagę. Gheorghiu okazał się w niej zdolnym popularyzatorem, potrafił dotrzeć do wygodnego, zadowolonego z siebie zachodniego czytelnika, który nie dorósł może do zrozumienia innych lepszych pisarzy i subtelniejszych filozofów. Powieść kapryśna i absurdalna, apokaliptyczna i niesprawiedliwa: „La Vingt-cinquième Heure” jest jednak również autentyczną wypowiedzią cierpiącego człowieka, który wygarnął w niej wszystko co miał na sercu. Wygarnąłszy wszystko, mógł ją Gheorghiu już tylko napisać poraz drugi i uczynił to, niestety, w „La Seconde Chance”.

W „Druhej Szansie” odnajdujemy wszystkie elementy „Dwudziestej Piątej Godziny”: ta sama konstrukcja, polegająca na obraniu grupy ludzi, których koleje losu krzyżują się w sposób nieprawdopodobny; ta sama filozofia, potępiająca w czambuł nazistów, komunistów, Amerykanów, Tita, Francuzów, Anglików, hipokrytów „chrześcijańskiej cywilizacji” i papieża; ten sam ton apokaliptyczny (powieść kończy się potwornym starciem amerykańsko-rosyjskim, w którym jeden z przeciwników jest wart drugiego); wreszcie ten sam ton jękliwego utyskiwania. „Druha szansa” figurująca w tytule — to Zachód, dający uchodźcom z wschodniej Europy możliwość rozpoczęcia egzystencji na nowo. Ale Gheorghiu oczywiście w tę „drugą szansę” nie wierzy i żadna z jego postaci nie będzie mogła się do „Zachodu” przystosować. Tak jak w każdej powieści „o tezie”, wszystkie epizody mają tu wagę symboliczną. Możemy w tej symbolice czerpać pełnymi garściami argumenty przeciw wszystkim formom życia, wszystkim przejawom myśli, wszystkim postawom politycznym. Rzecz prosta — historia sama dostarcza autorowi wielu przykładów i tak odnajdujemy w książce mord Żydów w bukareszteńskiej rzeźni, zatopienie

rumuńskiego statku przewożącego Żydów do Palestyny, obozy koncentracyjne w Rosji i w Niemczech, tragedię przymusowej repatriacji sowieckich jeńców wojennych przez Amerykanów. Forma reportażu nie zadowala jednak Gheorghiu. I oto samobójstwo Żydówki żony prezydenta antysemitycznego „państwa Słowian południowych”, aby wybawić od hańby syna, który sam będzie później pochowany przez nieporozumienie na żydowskim cmentarzu; oto w sowieckich stepach hodowla drzew owocowych na trupach; oto światowa armia „made in U.S.A.” zwyciężająca pod przewodnictwem Tita Sowiety i inaugurująca zwycięstwo założeniem obozów koncentracyjnych; oto mnisi uciekający z Watykanu, gdyż nowy papież nie mówi po łacinie; oto polski doktor w 1946 roku, który morduje żydowskie dziecko zamiast je leczyć, aby zemścić się za prześladowania, których doznaje Polska od „Żydokomunistów”...

W „Dwudziestej Piątej Godzinie” były elementy wizji apokaliptycznej i absurdalnej; „Druha Szansa” jest już tylko karykaturą. Napuszony, biblijny styl Gheorghiu i tytuły rozdziałów — „Księga Pustyni”, „Księga Zwycięstwa”, „Księga Upokorzeń”, „Księga Zejścia w Ciemności” wzmagają jeszcze uczucie zażenowania, które nie opuszcza czytelnika od pierwszej do ostatniej strony. Tak jak w swej pierwszej książce, w „Druhej Szansie” Gheorghiu wydaje się oszczędzać jedynie swoich znajomych, którzy, zawsze oczywiście pokrzywdzeni, rzucają wszem wobec jękliwe oskarżenia. Dziwnie są zresztą dobrani ci „sprawiedliwi”: rumuński prokurator wojskowy, który przecież bez specjalnych wyrzutów sumienia służył antysemitkiej dyktaturze; minister spraw wewnętrznych „państwa Słowian południowych” (a więc odpowiedzialny za morderstwo 600.000 Serbów i Żydów); syn „Paternika” — Pavelica. Rozumiemy, że autor broni „indywidualnego człowieka”, i że przez to samo każdy z jego „bohaterów” ma większą wartość w jego oczach od przedstawicieli sił bezosobowych, występujących w książce. Ale kaznodziejstwo tych panów staje się coraz bardziej irytujące i nie jeden czytelnik wyczekiwać będzie z utęsknieniem chwili, gdy nieludzkie zachodnie policje, MVD albo „wojska związku światowego” zakatrupią ich wszystkich po kolei.

(j)

Dramat nawrócenia

Czegoś nie dostaje tej niezmiernie interesującej książce*). Świetnej i bogatej indywidualności autora czegoś brak, co sprawia, że chwilami bywa obcy aż po granice niezrozumiałości.

*) Arrow in the Blue, An Autobiography, — Arthur Koestler, Collins with Hamish Hamilton Ltd. London — 1952.

Koestler jest człowiekiem bez ojczyzny, człowiekiem bez zdefiniowanego poczucia narodowego. Jako chłopiec mówił i myślał po węgiersku. Będąc młodzieńcem pisał, mówił i myślał po niemiecku. Obecnie od z górą dziesięciu lat pisze po angielsku. „Dziś, gdy się rano budzę ze snu” — wyznaje w swojej autobiografii — „myślę po angielsku”. Dodaje jednak, że wie od swojej żony, iż przez sen mówi często po węgiersku, po niemiecku, po francusku i wieloma innymi językami. Autor „Ciemności w Południe” jest wieżą Babel i Ligą Narodów w jednej osobie. Długi czas uważał się za Węgra. Później był sjonistą i pionierem żydowskim w Palestynie, jako członek „Kvutsa” czyli kolektywnej osady. Przez siedem „tłustych” lat był świetnie płatnym asem dziennikarskim olbrzymiego koncernu wydawniczego Ulsteina z siedzibą w Berlinie. Był obywatelem węgierskim, niemieckim komunistą, angielskim żołnierzem, obywatelem palestyńskim a obecnie mieszka w Ameryce. W międzyczasie był korespondentem w Paryżu, brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej i latał Zeppelinem do bieguna. Napisał szereg książek, z których „Ciemność w Południe” była ostatnią napisaną po niemiecku. Wszystkie następne pisał już po angielsku.

Koestler nie wywodzi się z żadnej określonej narodowej kultury. Jego osobowość i profil pisarski są ulepione bez tego elementu. I to jest ów brak.

Bohater „Arrow in the Blue” jest inteligentem środkowo-europejskim, a jego zaplecze kulturalne stanowi niemiecko-języczna kultura węgiersko-austriacko-niemiecka. Lecz sam Koestler nigdy nie uważał się ani za Niemca, ani za Austriaka.

Człowiek, który nigdzie nie jest wrośnięty, który nie ma określonego i żywego poczucia narodowego — na wiele zjawisk reaguje inaczej niż człowiek „spętany swą narodowością”. Nawet na płaszczyźnie komunizmu — jak uczy książka Cybulskiego i wiele innych — w chwili kryzysu inaczej zachowuje się komunista rosyjski a inaczej człowiek typu Koestlera. Gdy Rosjanin traci wiarę w komunizm pozostaje mu jeszcze Rosja — gdy Koestler stracił wiarę w komunizm przestało go cokolwiek łączyć z „ojczyzną robotników”.

Obserwator pokroju Koestlera jest w pewnej mierze politycznym daltonistą. Może się to wydać paradoksem, ale w rzeczywistości skrajny kosmopolityzm działa deformująco w identyczny sposób, jak skrajny nacjonalizm. Obiektywny obserwator sceny politycznej XX wieku nie może zająć stanowiska na żadnym biegunowo krańcowym punkcie czy to nacjonalizmu czy kosmopolityzmu, gdyż znakomita większość współczesnego pokolenia ludzkości żyje pośrodku tych biegunów.

I tak Koestler sądzi, że w r. 1930 na wschód od Renu nie było w Europie innego wyboru tylko faszyzm lub komunizm. Tymczasem w rzeczywistości istniała droga kursu pośredniego, dyktowana instynktem narodowej samoobrony. Mogłoby się przecież wydawać, że KPP miała wymarzone warunki działa-

nia i ten przywilej nad przywileje, iż Polskę łączyła z Rosją granica i to na olbrzymiej przestrzeni. Jeżeli w okupowanej Polsce pod rządami Gestapo można było zbudować armie i państwo podziemne — to niepomniernie łatwiej można było pod rządami naszych premierów zorganizować rewolucję gdyby... nie brakło komunistów. Ale KPP nie liczyła nigdy więcej niż kilka tysięcy członków, którzy wisieli w powietrzu oderwani od podłoża. Na komunizm można reagować rozmaicie. Można przeciwstawiać go zgniętemu liberalizmowi, usychającemu socjalizmowi itd. Lecz większość Polaków reagowała na komunizm „narodowo” ponieważ komunizm wywodził się z Rosji, a Rosja była naszym tradycyjnym wrogiem.

Koestler analizując swe „nawrócenie” pisze, że popełnił błąd pod impulsem słusznych pobudek. I dodaje, że... przepaść dzieli rozczarowanego kochanka od tych, którzy w ogóle niezdolni są do miłości. Podkreśla, że jeszcze dziś jest zdania, że był to błąd honorowy, nie przynoszący ujmy (an honourable error) i uważa, że ci co odrzucili rewolucję rosyjską od samego początku, uczynili to z pobudek znacznie mniej szlachetnych niż te, które jego skłoniły do popełnienia owego błędu.

Dla Koestlera istniał tylko ginący liberalizm weimarskiej republiki, faszyzm lub komunizm. Nie istniały ani Niemcy, ani Austria, ani Węgry ani „jego” kraj. Ale dla polskiego inteligenta w r. 1930 istniała Polska, której los był punktem wyjścia wszelkich politycznych rozważań. Koestler był sam i mógł szukać filozofii a lekceważyć politykę.

Osobiście uważam za możliwe, że mój stosunek do początkowej fazy rewolucji komunistycznej byłby przybrał inną formę gdyby komunizm wybuchł w Australii lub w Brazylii. Lecz o stosunku do komunizmu, który wybuchł w Rosji, już w pierwszym okresie przesądziła instynktowana nieufność do wszelkich politycznych inicjatyw rosyjskich. Owa nieufność stanowiła część atmosfery narodowej, w której wzrosłem.

To są imponderabilia, które nie tylko wiążą jednostkę, ale w znacznym stopniu wykreślają orbitę indywidualnych reakcji. Innymi słowy stanowią ważny element charakterologiczny.

Kultura środkowo-europejska jest pojęciem teoretycznym i książkowym. Istnieją narodowe kultury czeska, węgierska, niemiecka, itp., które w sumie składają się na obraz kultury środkowo-europejskiej. To samo można powiedzieć o kulturze całej Europy. Graficznie kulturę europejską można by przyrównać do snopa promieni, które wychodząc z szerokiej i nie jednolitej podstawy zbiegają się wysoko w górze. Im wyżej, tym różnice narodowo-kulturalne maleją — im niżej, im bliżej podłoża, tym różnice większe. Ale nie ma innej realnej drogi do kultury europejskiej jak poprzez jedną z jej kultur narodowych. Można kulturę europejską studiować i poznać będąc Chińczykiem czy Senegalczykiem, ale być kulturalnie Europejczykiem jest równoznaczne z przynależnością do jednej z narodowych kultur europejskich. W chwilach kryzysu ważną rolę odgrywają emocje

i instynkty. W takich momentach każdy z nas jest przede wszystkim Polakiem, Niemcem, Francuzem. Nie mam nawet na myśli nacjonalizmu czy egoizmu państwowo-narodowego ale narodową interpretację wspólnej nam kultury europejskiej.

Koestler pisze, że „...„ ruch komunistyczny wydawał się logicznym przedłużeniem postępowej humanistycznej ideologii. Wydawał się kontynuacją i spełnieniem wielkiej żydowsko-chrześcijańskiej tradycji — nową świeżą gałęzią na rozwijającym drzewie Europy — poprzez Renesans, Reformację — poprzez francuską rewolucję i liberalizm XIX wieku, ku socjalistycznemu millenium”.

Jestem głęboko przekonany, że — żaden polski komunista w ten sposób nigdy komunizmu nie pojmował. W ten sposób mógł rozumować tylko człowiek dla którego Europa to są miasta — Wiedeń, Budapeszt, Berlin, Paryż, ale nie kraje spośród których jeden jest własny.

Dla polskiego komunisty jest oczywiste, że rewolucja oznaczać musi unicestwienie przeszłości a nie jej kontynuację. Polak musi wyprzeć się całej swej narodowej kultury i dziesięciu wieków Chrześcijaństwa, które do tego stopnia uformowało naszą świadomość narodową, że tylko na drodze wynarodowienia możliwa byłaby u nas kompletna laicyzacja. Polska nie miała ani Lutra ani Voltaira — ani wielkich racjonalistów ani wielkich liberałów. Nie mieliśmy potężnych laickich filozofii jak Francja, Anglia czy Niemcy. W sensie duchowym jesteśmy zdumiewająco monolityczną kulturą i Chrześcijaństwo, które nas „odkryło” dla Europy, dziś, po tysiącu lat jest nadal kardynalnym sprzęgłem wiążącym Polskę z Zachodem. Nasza „zachodniość” w oderwaniu od Chrześcijaństwa jest wysoce wątpliwa.

Takie są elementy dramatu „nawrócenia” Polaka. A Koestler stwierdził po prostu, że liberalizm zgnął (w Niemczech), socjalizm zawiódł, że wszystko jest przeszłością a jedynie komunizm przyszłością. Dokonał wyboru z wolnej stopy nie obciążony żadnymi imponderabiliami. Koestler kilkakrotnie podkreśla „palenie za sobą mostów” jako charakterystyczny motyw w jego życiowej historii. W rzeczywistości jednak przechodząc na komunizm nie palił za sobą żadnych mostów. Mógł każdej chwili wrócić skąd przyszedł tj. do postawy liberalno-lewicowego kosmopolity. Nie palił za sobą mostów i nikogo i niczego nie zdradził. A gdy wracał — wracał tylko do siebie a nie do porzuconej i zdradzonej lojalności narodowej.

Jul. MIER.

Problemy międzynarodowe w literaturze U. S. A.

Już na długo przed rozpoczęciem kampanii wyborczej przygotowawali się Republikanie do generalnego ataku na politykę zagraniczną Demokratów. Zbyt wiele w niej wdzięcznego dla krytyki materiału, a ponury obraz sytuacji międzynarodowej jest aż nadto ponętym dowodem niepowodzeń w tej dziedzinie, by można było nie uczynić z niej głównego terenu walki wyborczej. Zwiastowały to prace ogłoszone na przełomie lat 1951 i 1952 i dające rodzaj poważnej podbudowy dla przyszłych mów przedwyborczych. Wystąpił przede wszystkim Robert Taft. Ze względu na jego osobistą pozycję w partii Republikańskiej oraz rolę, jaką będzie niewątpliwie odgrywał bez względu na to, czy zostanie formalnym przywódcą większości w Senacie czy też nie, — poglądy jego zasługują na baczną uwagę. W książeczce swojej *A FOREIGN POLICY FOR AMERICANS* wychodzi z założenia, że w umysłach amerykańskich panuje całkowity chaos co do celów Stanów w świecie, że podstawowym celem polityki zagranicznej Stanów musi być obrona wolności ludu amerykańskiego. Dopiero na drugim planie stawia zabezpieczenie i utrzymanie pokoju. Dodaje wszakże z miejsca, że wojna jest katastrofą zarówno dla pokonanego, jak i dla zwycięzcy, że jest matką dyktatur i totalizmu. Toteż nie wolno wojny podejmować ani ryzykować — chyba jedynie w obronie wolności ludu amerykańskiego. Tradycyjna polityka amerykańskiej neutralności nie oznaczała jego zdaniem, izolacjonizmu, a była jedynie metodą unikania przymierzy i wtrącania się do sporów zagranicznych, które by mogły wplątać Amerykę w wojnę. Zawsze był zdania, że należało odstąpić od polityki neutralności, gdyby się udało stworzyć organizację międzynarodową, zabezpieczającą pokój światowy a więc i pokój Ameryce. Dlatego był za przystąpieniem do Ligi Narodów. Narody Zjednoczone mają na celu zaprowadzenie w świecie rządów prawa i zabezpieczenie Stanów Zjednoczonych przez karanie agresji w zarodku. To zawiera w sobie koncepcję wojny prewencyjnej — rzecz ryzykowną. Do takiej organizacji należeć warto wtedy tylko, gdy jest skuteczna i gdy jest przedsięwzięciem łącznym wszystkich narodów. Narody Zjednoczone zawiodyły w obronie pokoju, ponieważ są oparte na niezdrowych zasadach z prawem weta pięciu mocarstw i na ich zgodnym działaniu. Fakt, że Narody Zjednoczone zawiodyły i zmusiły do stosowania innych środków celem obrony przed niebezpieczeństwem, nie powinien jednak zrażać do koncepcji bez-

bezpieczeństwa zbiorowego. Autor zgadza się, że istnieje obecnie realne niebezpieczeństwo dla Stanów Zjednoczonych ze strony Rosji, że to niebezpieczeństwo jest tak poważne, iż Ameryka musi udzielać gospodarczej i wojskowej pomocy wielu krajom, ale tylko o tyle, o ile w każdym przypadku da się udowodnić, że pomoc ta będzie skutecznym środkiem zwalczania agresji komunistycznej. Najsukuczniejszą przed nią obroną będzie potężne amerykańskie lotnictwo i panowanie nad morzami. Ograniczyć należy ściśle do niezbędnego minimum zobowiązania wysyłania wojsk lądowych do Europy, gdyż Stany nie są zdolne do wysłania ilości wystarczającej do skutecznej obrony starego kontynentu na lądzie. Polityka rządów demokratycznych doprowadziła do niepotrzebnego i niebezpiecznego wzmocnienia Rosji w Europie i w Azji a więc przyczyniła się do zagrożenia bezpieczeństwa Stanów. Teraz chodzi o stworzenie najlepszej strategii w celu odparcia tego niebezpieczeństwa. Na ogół zgodność poglądów obu partii jest w tej dziedzinie daleko większa — pisze Taft — aniżeli się powszechnie przypuszcza. Różnice zaczynają się, gdy chodzi o nacisk na poszczególne posunięcia taktyczne. Zgoda istnieje co do tego, że walka z komunizmem ma zasięg światowy, ale Taft sądzi, że nie należy jej koncentrować na obronie lądowej w Azji czy w Europie, gdyż nie jest mądre podejmowanie walki na terenie obranym przez przeciwnika, na którym jest najsilniejszy. Stąd koncepcja silnego lotnictwa i zapewnienia panowania nad morzami. Europa ma znaczenie szczególne i wymaga ze strony Stanów akcji wzmożonej. Nie można jednak nawet Europy Zachodniej traktować jak gdyby była krajem jednolitym. Przymierze z W. Brytanią i obrona jej wysp ma daleko większe znaczenie aniżeli przymierze z jakimkolwiek państwem kontynentalnym. Zagadnienie Włoch stanowi kartę odrębną, a zmiana traktatu z tym krajem jest konieczna. Tak samo sprawa niemiecka wymaga odrębnego podejścia. Amerykańskie żądanie, by Europa się zjednoczyła jest przeciwne naturze ludzkiej i sytuacji geograficznej. Ameryka powinna mieć właściwą politykę wobec każdego kraju europejskiego z osobna. Pomimo to zgadza się z ogólną dotychczasową linią polityki wobec Europy, popiera pomoc gospodarczą i wojskową, ale tę ostatnią chce tak wymierzyć, by nie drażniła Rosji. Pomimo zastrzeżeń co do Paktu Atlantyckiego, przyznaje, że musi być wykonany, że jednak kontyngenty amerykańskie w Europie należy ilościowo ograniczyć i nie zaciągać zobowiązań dalszych, natomiast tak wzmocnić Europę, by była zdolna do samoobrony i by można było wojska amerykańskie wycofać. A w ogóle nawet przy pomocy Ameryki Europa będzie do obronienia tylko wtedy, jeżeli sama będzie chciała się bronić. Komunizmowi trzeba się wszakże przeciwstawić przede wszystkim na polu ideologicznym i rozwinąć pozytywną kampanię w imieniu wolności. Nie zgadza się z twierdzeniem, jakoby Europejczycy emigrowali do Ameryki głównie ze względu na wysoki poziom życia: uciekają tutaj,

szukając wolności, której w Europie nie znajdują. Stąd konieczność głębszych studiów nad propagandą i jej organizacją. Rosyjska metoda infiltracji powinna być naśladowana. W stosunku do krajów podbitych przez Rosję ta metoda nadaje się szczególnie. W niejednym z tych krajów istnieje już czynne podziemie. „Jakkolwiek to przedsięwzięcie niebezpieczne” — mówi — „zdolny i odważny przywódca potrafi wypracować system, który by sprawił kłopot rządowi sowieckiemu za żelazną kurtyną”. Za mało się w tym kierunku robi. Za mało a dobrze wydane pieniądze, można „umocnić miłość wolności w krajach podbitych przez Rosję” a to może prowadzić do zrucenia komunistycznego kierownictwa przez rządy niektórych z tych krajów. Te pobożne złudzenia prowadzą Tafta do ostatecznego wniosku, że walkę z komunizmem można wygrać „w umysłach ludzkich”, unikając trzeciej wojny światowej. Pozytywna filozofia wolności jednostki ma być tą właściwą bronią. Mądra taktyka i odważne kierownictwo — to właściwe środki.

Felix Morley, autor szeregu prac z dziedziny stosunków międzynarodowych, nadał swej krytyce polityki Demokratów charakter nieco bardziej zasadniczy i historyczny, jakkolwiek dotycząc spraw chwili bieżącej nie mógł go utrzymać. Jego praca THE FOREIGN POLICY OF THE UNITED STATES opiera się na takich stwierdzeniach, jak np. czysto ilościowe i matematyczne obliczanie prawdopodobieństwa wojen w zależności od ilości państw suwerennych: im ich więcej, tym wojna bardziej możliwa. Polska i Litwa mogą się łatwo znaleźć w zbrojnym konflikcie, gdy są niepodległe, nie mogą gdy są razem pod panowaniem Rosji. Stąd wniosek, że podboje — moralnie godne potępienia — sprzyjają utrzymaniu pokoju. Wniosek drugi: historia i doświadczenie wykazują tendencję stałą do „polaryzacji politycznej” czyli koncentracji terytoriów i siły w wielkich jednostkach politycznych. Tę tendencję trzeba uznać za „prawo polityczne”. Z drugiej strony polaryzacja prowadzi do „eksplozji” — starcia pomiędzy wielkimi interesami. Ponieważ państwo jest z natury rzeczą organizmem a-moralnym, a wszystkie rządy w stosunkach z innymi rządami nie kierują się względami na moralność, jedyna droga do uzdrowienia stosunków międzynarodowych, to wprowadzenie rządów prawa popartego przez sankcje odpowiednie. Współpraca międzynarodowa, oparta na prawie, musi uszanować suwerenność narodową, jeżeli ma się w ogóle udać. Kłopoty dnia dzisiejszego wynikają z błędnej polityki Stanów, które popierały Rosję dopóki nie przekonały się — zbyt późno — jakie są jej istotne zamiary, oraz z wadliwej organizacji Narodów Zjednoczonych, niezdolnych zupełnie do zapobieżenia agresji. I w tym zawiniłi Demokraci, kiedy nie dopuszczali do krytyki projektu Dumbarton Oaks czy Karty San Francisco, a kiedy był czas po temu. Dzisiaj trzeba szukać ratunku w porozumieniach międzynarodowych poza ramami tej nieudanej organiza-

cji. Rząd amerykański, spostrzegłszy własne błędy, odwrócił kierunek swej polityki i z pro-rosyjskiej uczynił ją anty-rosyjską. Błędów byłoby uniknąć, gdyby Prezydent — Roosevelt i Truman — nie brał na siebie wyłącznie odpowiedzialności za politykę zagraniczną, a prowadził ją w porozumieniu i zgodzie z Senatem — jak Konstytucja nakazuje — i z opinią publiczną, jak dyktują zasady demokracji. Decentralizacja władzy w tej dziedzinie jest równie konieczna jak we wszelkich innych. Jest to więc raczej uderzenie w sposób formułowania amerykańskiej polityki zagranicznej, aniżeli pozytywne przeciwstawienie własnej koncepcji polityce dotychczasowej. Przywrócenie równowagi sił w Europie — a to uważa autor za zadanie główne — wymagało by 1) prawdziwego zjednoczenia Europy; 2) woli ze strony Federacji Europejskiej rzucenia swej siły na stronę Rosji lub Stanów. Warunek pierwszy się nie spełnił. A nawet gdyby zjednoczenie nastąpiło — Europa Zachodnia nie zdołałaby zapewne utrzymać równowagi pomiędzy Ameryką a Rosją. Stąd musiałyby się zwrócić do Ameryki o pomoc. Gdyby wybuchła wojna, Rosja musi przegrać, ale komunizm pewno wygra. Stąd wniosek na użytek wewnętrzny amerykański: obecny stan rzeczy może trwać bez większej szkody dla Stanów, o ile tylko władza federalna ulegnie znakomitej redukcji i decentralizacji we wszystkich dziedzinach — politycznej, gospodarczej, oświatowej i kulturalnej. Stąd konieczność zwalczania „dyktatorskich” metod Trumana w prowadzeniu spraw międzynarodowych.

(Dok. nastąpi)

Zygmunt NAGÓRSKI, sr.

Notatki wydawnicze

Dziwnym zbiegiem okoliczności jeden z najlepszych współczesnych pisarzy francuskich, Jacques Audiberti jest niemal nieznaną zagranicą. Audiberti jest autorem kilkunastu powieści, kilku tomów wierszy, kilku utworów teatralnych, zawsze witańnych z wielkim uznaniem przez krytykę, ale które nie osiągnęły nigdy szerokiej publiczności. A przecież Audiberti jest nie tylko jednym z rzadkich dziś francuskich pisarzy, który stworzył całkowicie własny i oryginalny świat, który nie brnie torem utartych tradycji. Ostatnio ukazały się dwie jego książki, które jeszcze może dobitniej wykazują siłę i oryginalność jego talentu. Jedną z nich to powieść, „Marie Dubois”¹⁾, historia nieśmia-

1) Gallimard, Paris, 1952.

tego, biednego inspektora policji, który zakochuje się w niezycjącej młodej dziewczynie po jej samobójstwie. Inspektor Loup-Clair cierpliwie odtwarza niesłychane, skomplikowane życie ukochanej, i poprzez tę rekonstrukcję barokowy, wspaniały język Audiberti odtwarza poetycko Paryż, jego najbanalniejsze załamki, najdziwniejsze zakamarki ludzkie, i daje nową wizję melancholii i beznadziejności świata. Drugą książką Audiberti, napisaną jako dialog z malarzem Camille Bryen, to „L'Ouvre-Boîte”²⁾. Autorzy określają tę książkę jako „rozmowę ahumanistyczną”. Dziwna to książka, w której głęboka inteligencja graniczy z paradoksem, której językowe fajerwerki nie są celem samym w sobie. Książka która podobała się Witkacemu, która będzie się podobać Gombrowiczowi. Co to jest „ahumanizm”? To „świat bez człowieka. Bez człowieka takiego jakim go znamy”. Świat w formie pierwotnej (nie tylko chronologicznie, gdyż pierwotność może być również współczesna), bez klasyfikacji, „szufladek”: bez humanizmu.

Roger Peyrefitte, autor „Amitié Particulieres”, daje w „Du Vésuve à l'Etna”³⁾ zbiór notatek z podróży po południowych Włoszech, w których kultura klasyczna łączy się z żywą, anegdotyczną spostrzegawczością. Jeśli Peyrefitte świadomie szedł śladami Stendhala z „Promenades dans Rome”, to udało mu się to znakomicie.

Rzadko pojawia się książka, która stanowi prawdziwy wkład do poznania człowieka. Taką książką są niewątpliwie esseje Dr Roger Godel „Essais sur l'Expérience Libératrice”⁴⁾. Godel jest lekarzem i biologiem, którego naukową rzetelność i powagę potwierdza Mircea Eliade w przedmowie i Julian Huxley w zawartej w książce korespondencji. Jako biolog postawił on sobie pytanie czy funkcje psychiczne i umysłowe, którymi dysponuje „homo sapiens” naszej kultury w dziedzinie poznania są rzeczywiście ostateczną granicą ludzkich możliwości. Jako uczyony obrął „laboratorium” w Indiach, obserwując hinduskich mędrców, którzy na skutek szeregu doświadczeń „oczyszczających” osiągnęli „pozycję centralną świadomości osiowej”, w której, uwolnieni od czasu i przestrzeni, uczestniczą już dziś w pewnego rodzaju kosmicznej nieśmiertelności. Rezultat tych badań jest nierówny, miejscami niejasny i mglisty, ale zawsze interesujący i pobudzający do myślenia. Godel przeprowadza porównanie pomiędzy fizykiem współczesnym, zachodnim mistykiem i hinduskim mędrcem, stwierdzając, że łączy ich zastawiające pokrewieństwo duchowe, które zresztą coraz bardziej

2) Gallimard, Paris, 1952.

3) Flammarion, 1952.

4) Gallimard, 1952.

zwraca uwagę współczesnych filozofów: „Wspólnym mianownikiem łączącym ich w jedną rodzinę jest *bezosobowe stanowisko ich świadomości*”.

Admiratorzy „Adolfa” mają, po „Cécile” nową niespodziankę: Gallimard wydał w tym roku „Journaux Intimes” Benjamin Constant. Jest to pierwsze pełne wydanie „Dzienników”, z którego usunięto szereg przeróbek wynikłych z pietyzmu pierwszego wydawcy — Adrien de Constant. „Dzienniki” są wspaniałą lekturą, która zbliża nas jeszcze do Constanta, patrona liberałów, człowieka niekiedy okrutnego dla innych przez swoją obojętność, ale zawsze okrutnego dla samego siebie przez całkowity brak zakłamania. Słusznie pisał François Mauriac w październikowym numerze „Table Ronde”: „Zainteresowanie samym sobą, nawet jeśli przechodzi w manię, czyni nas jednakże bardziej wrażliwymi na zamachy przeciw osobowości ludzkiej... (Benjamin Constant) byłby dziś wrogiem tych intelektualistów „służących linii”, których religia pochodzi z zewnątrz... Nie obawiałbym się go jako politycznego przywódcy, gdyż nie można być zarazem autorem „Adolfa” i nieludzkim władcą”.

Jury złożone z najwybitniejszych współczesnych pisarzy francuskich wybrało w listopadzie „Dwanaście najlepszych powieści XIX wieku”. Wybór jest nieoczekiwany i ciekawy jako przyczynek do historii ewolucji smaku literackiego. Oto dokonany wybór, chronologicznie: „Adolf” Benjamin Constant; „Czerwone i Czarne” Stendhala; „Madame Bovary” Flauberta; „Ojciec Goriot” Balzaca; „Germinal” Zoli; „Dominique” Eugène Fromentin, „L'Enfant” Jules Vallès; „L'Écornifleur” Jules Renard; „Les Pléiades” Gobineau; „La Double Méprise” Mérimée; „W Drodze” Huysmansa i „Uczeń” Paul Bourget.

Inne poważne kandydatury, odrzucone w ostatnim głosowaniu: „Sylvie” Gérard de Nerval; „Nędznicy” Victor Hugo; „Trzej Muszkieterowie” Alexandre Dumas; „Tajemnicza Wyspa” Jules Verne.

Wybór był oczywiście ograniczony do jednej powieści na autora i to jedynie może tłumaczyć brak „Pustelni Parmeńskiej”, „Cousine Bette” i „Education Sentimentale”. Ale i tak selekcja przedstawia się dość oryginalnie. Oto (słusznie zresztą) Jules Verne i Aleksander Dumas ojciec przechodzą z biblioteki młodzieżowej na pierwsze miejsca półki klasyków. Oto ukochany przez nasze babki i pogardliwie odrzucony od trzydziestu lat Paul Bourget doczeka się uznania jako jeden z twórców współczesnej „powieści psychologicznej”. I wreszcie — szereg książek dotychczas znanych tylko literackim erudytom, jak „Les Pléiades” Gobineau, lub „L'Enfant” Vallès doczeka się teraz olbrzymich nakładów. „Les Pléiades” są zresztą piękną i po-

etyką książką, w której widzimy innego Gobineau niż w „Inégalité des Races Humaines”. Jest to historia przyjaźni „konsolidacji” kilku wyjątkowych osób, międzynarodowych Europejczyków XIX wieku. Polakom przypadają tam najważniejsze bójki: Polką jest bohaterka, piękna, ambitna i destruktywna i Polakiem najciekawsza postać książki, mistyk, który rozdał swój majątek i żyje w małym domku na przedmieściu Wilna we wschodniej kontemplacji przypominającej „ziwan-mukti”, o którym pisze Godel.

(j)

Przeгляд miesięczników

„The Twentieth Century” (6, Henrietta Street, London W.C. 2), miesięcznik kontynuujący od niedawna tradycję „Nineteenth Century and After” poświęca listopadowy numer — po 19 Kongresie partii komunistycznej — „Związkowi Sowieckiemu po 35 latach”. W artykule „Moscow has a Plan” specjalny korespondent przeprowadza wnikliwą analizę piątego planu pięcioletniego, przedstawionego 19 kongresowi przez Saburowa. Porównując piąty plan z poprzednimi i analizując sowieckie statystyki, autor dochodzi do wniosku, że oficjalne zapewnienia znacznego powiększenia produkcji dóbr konsumpcyjnych nie zgadzają się z prawdą. Natomiast postępy sowieckiego przemysłu w dziedzinie dóbr produkcyjnych, wprawdzie mniejsze niż twierdzi Saburow, są i tak ogromne: sowiecki potencjał przemysłowy jest w tej dziedzinie półtora razy większy niż przed wojną, będzie zaś za dwa razy większy w r. 1955. Potencjał przemysłowy Zachodniej Europy jest wciąż jeszcze większy, ale margines się kurczy i w 1955 roku Związek Sowiecki prześcignie Zachodnią Europę w kilku ważnych sektorach. Amerykański potencjał przemysłowy jest dziś trzy razy większy od rosyjskiego, ale podczas gdy w ciągu ostatnich trzech lat sowiecka produkcja przemysłowa wzrosła o 40%, produkcja amerykańska wzrosła zaledwie o 20%. „Nie zawierając otwartego programu wojennego, piąty plan nie jest również programem pokojowym. Stanowi gospodarczy odpowiednik koncepcji politycznej, która dotychczas waha się pomiędzy zimną wojną i zimnym pokojem”. Z ciekawych spostrzeżeń autora:

W Rosji rośnie krytyka jaskrawych różnic w rozdziale dochodu społecznego. Nie jest bez znaczenia, że sam Stalin tłumaczył na 19 kongresie dalsze istnienie różnic społecznych, zaś Malenkov gromił nieudolność biurokracji i polityczny nepotyzm. Niektórzy urzędnicy zostali na przykład oskarżeni o zajmowanie wspólnego gruntu i zmuszenie administracji kolchozów do dostarczania im bezpłatnie produktów rolnych.

Jedną z najsłabszych stron sowieckiej gospodarki planowej jest brak mechanizmu cen. Planowanie odbywa się poprzez materialne, ilościowe regulowanie produkcji i konsumpcji, ceny zaś i stosunek pomiędzy cenami nie jest używany jako element planowania. Stalin ostro napiętnował nieudolność sowieckich ekonomistów w tej dziedzinie.

Jedno tylko zdanie wytycznych piątego planu odnosi się do handlu zagranicznego. Obecny plan, tak jak poprzednie, jest dziełem ludzi operujących pojęciami produkcji wewnętrznej i gospodarki narodowej.

W tym samym numerze znajdujemy artykuł Stuart A. Rice'a o „Sowieckiej Teorii Statystycznej”, napisany na podstawie sprawozdań z konferencji metodologicznej sowieckich statystyków, na której sowieccy uczeni stwierdzili, że statystyka jest „nauką społeczną”, że nie dotyczy ona masowych fenomenów w dziedzinie przyrody, że teoria prawdopodobieństwa i prawo wielkich liczb są źródłem wielu „burzących odchyłań”. „The Twentieth Century” zawiera wreszcie interesujące artykuły o armii sowieckiej, o sowieckim lotnictwie, o pracy przymusowej i o „Rosyjskim Imperium Kolonialnym”, w którym Prof. Hugh Seton-Watson opisuje ucisk „sowieckich narodów” przez Kreml. Numer zamykają znane zresztą wyjątki z pism Marksa o Polsce, w których, jak zwykle, Marks utożsamia sprawę proletariatu z wolnością Polski i ostrzega przed niebezpieczeństwem rosyjskiego imperializmu.

„Critique” (7, Rue Bernard Palissy, Paris 6^e) jest mało znanym, doskonałym miesięcznikiem, zawierającym krytyki ważnych książek z całego świata, a raczej eseje poruszające problemy zawarte w różnych książkach. Komitet redakcyjny jest międzynarodowy o takich nazwiskach, jak Raymond Aron, Louis i Maurice de Broglie, Etienne Gilson, Julian Huxley, Mario Praz itd. Listopadowy numer zawiera ciekawy artykuł Pierre Naville o psychotechnice, oparty na ostatnich amerykańskich i europejskich pracach na ten temat i sprawozdaniu z ostatniego międzynarodowego kongresu psychotechnicznego; artykuł Maurice Blanchot „La Mort Possible” o zagadnieniu śmierci i samobójstwa; doskonale udokumentowany artykuł Max Beloffa o sowieckich studiach w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych; artykuły Georges Bataille o Sartre i Genet oraz Alain Clément o protestantach niemieckich.

„Preuves” (41, Avenue Montaigne, Paris 8^e) daje bogaty numer listopadowy, zawierający między innymi artykuł André Garmand o „Kaukazie lub Wydziedziczonej Cywilizacji”, świetny, krótki artykuł Ignazio Silone, określający różnice między państwem wyznaniowym i państwem totalitarnym, artykuł Maxime Leroy o „Myśli Społecznej André Gide'a”, artykuły poświęcone pięćdziesięcioleciu zgonu Zoli, niewydaną korespondencję pomiędzy Valery, Gide i Rilkiem i artykuł Jana Ulatowskiego o Rouault.

„La Table Ronde” (8, Rue Garancière, Paris 6^e) otwiera numer listopadowy zabawnymi wyjątkami z „Journal Littéraire” Paul Léautaud, „straszego dziadunia” literatury francuskiej. Léautaud, do niedawna zgorzkniały i zapomniany starzec zwrócił na siebie uwagę całej Francji przez radio, które przez długi czas nadawało rozmowy z nim. Złośliwy, zgryźliwy Léautaud, wierzący materialista, zakochany w języku francuskim i jego czystości, mówiący o polityce jak przeciętna „concerte”, zawsze wrażliwy na kobiece uroki, wymyślający na wszystkie strony i nigdy nie wdrygający się przed zaprzeczeniem tego co powiedział przed chwilą, dziwnie przypadł do gustu młodej generacji francuskiej. W przytoczonych wyjątkach starszy pan wymyśla innym pisarzom i oblicza ile razy zadowolili wymagania młodej i zakochanej przyjaciółki.

W tym samym numerze Thierry Maulnier świetnie reasumuje dyskusję pomiędzy Camusem i Sartre'em. Najciekawsze może są notatki Jean Wahla z wrześniowego Geneewskiego Spotkania Międzynarodowego, poświęconego „Człowiekowi wobec Nauki”, w którym wzięli udział uczeni tej miary co Erwin Schroedinger, Max Born, Leon Rosenfeld (fizycy), Emile Guyenot (biolog), filozof i uczony Gaston Bachelard i wielu innych. Nie sposób streścić tych notatek, które same są pełne błyskawicznych skrótów, jak na przykład:

„Stoimy dziś wobec etapu wiedzy, w którym dominują pojęcia prawdopodobieństwa, nieciągłości (discontinuité) i uzupełnienia (complementarité). Istnieją na pewno więzy pomiędzy tymi pojęciami. W każdym razie biologowie i fizycy myślą za pomocą prawdopodobieństw i nieciągłości (pensent par probabilités et discontinuité). Napotykamy wciąż to samo pytanie: nauka nie jest nigdy niczym innym jak nauką danej chwili: czy pojęcia do których nas prowadzi są pojęciami ostatecznymi?”

Albo: „Inne pytanie, na które musielibyśmy się natknąć: czym jest człowiek? To istota, która dba zarówno o swoją przeszłość jak o swoją przyszłość (Eric Weill); to istota która ma dar słowa (Ojciec Dubarle, Pierre Auger); to istota która ma luźne związki (luźny związek z wszechświatem) — (coupling lâche avec l'univers) — i dla której wobec tego istnieje margines gry z wszechświatem (pour qui il y a donc jeu entre lui et l'univers) (Santillana, O. Dubarle); która ma wolną wolę (Guyenot). I oto wolność zjawia się znów na swoje miejsce, chociaż Fernand Chodak ostrzegał Emile Guyenot, że nie można dowieść tej wolności: czyż prawdopodobieństwo nie jest jeszcze jedną formą fatum?”

„Liberté de l'Esprit” (69, Rue de l'Université, Paris 7^e), pod redakcją Claude Mauriac, jest doskonałym miesięcznikiem o niewielkim formacie, poruszającym zagadnienia polityczne, społeczne i w mniejszym stopniu literackie. W listopadowym numerze na pierwszy plan wybija się artykuł James Burnhama o „Prymacie polityki” (ustęp z jego ostatniej dotychczas niewydanej książki). Burnham zwalcza dwie tezy amerykańskiej polityki: „że komunizm jest wynikiem nieprzychylnych warunków ekonomicznych” i że „o wyniku każdego konfliktu decyduje ostatecznie siła ognia”. Zdaniem Burnhama obie te tezy (mimo że są ze sobą do pewnego stopnia sprzeczne), są podwaliną polityki amerykańskiej. Przy pomocy szeregu konkretnych przykładów Burnham stara się wykazać, że obie te tezy są nie tylko całkowicie fałszywe, ale i zgubne, oraz że jedynie świadoma polityka („mająca wyraźny cel polityczny i polityczną wolę dążenia do tego celu”) może być przeciwstawiona komunizmowi. Krytykując politykę amerykańską wobec Francji Burnham pisze: „State Department popiera kontynuację tych słabych, niezdecydowanych, temporyzujących rządów i czynnie zwalcza pojawienie się rządu, który potrafiłby się okazać silnym i stawić czoło zagadnieniom — czego we Francji w tej epoce mógłby dokonać jedynie rząd generała de Gaulle”. W tym samym numerze znajdujemy ciekawe „Rozważania geopolityczne na temat moskiewskiego kongresu”, pióra Manuel Bridier i wnikliwy artykuł Jean-José Marchand o psychologii dzisiejszej Francji „La Fin de l'après-Libération”.

Listopadowy zeszyt „Esprit” (27, Rue Jacob, Paris 6^e), poświęcony jest „lewicy amerykańskiej”, z którą grupa katolickich neutralistów chciałaby nawiązać „dialog”. Tak jak zwykle się dzieje w „Esprit”, sporo jest złej wiary (specjalnie irytującej z powodu pozy na obiektywizm), sporo ciekawych naświetleń, sporo pożytecznych informacji, zwłaszcza dla czytelnika interesującego się bliżej życiem amerykańskim.

Poza grupą ogólnie znanych miesięczników i kwartalników ukazuje się w Paryżu cała masa wydawnictw pomniejszych. Niektóre z nich zawierają czasem ciekawe artykuły, lub mogą zainteresować specjalistów. Do takich należy „Revue Métapsychique” (89, Avenue Niel, Paris 17^e), kwartalnik poświęcony zagadnieniom „metapsychicznym”, w którym można znaleźć ciekawe krytyki bieżącej literatury „ezoterycznej”. W ostatnim numerze znajdującej się między innymi artykuł Dr M. Martiny o fenomenach metapsychicznych w świetle świata czterowymiarowego („L'Entité espace-temps et les phénomènes métapsychiques”).

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

HOELDERLIN (F.). *Correspondance complète*. Traduit de l'allemand par Denise Naville. Pp. 388. (Ed. Gallimard, Paris, 1948).

DOKUMENTY CHWILI

ALAIN. *Propos d'un Normand*. 1906 — 1914. Pp. 342. (Ed. Gallimard, Paris, 1952).

RÓŻNE

FELSZTYN (T. dr). *Zmierzch materializmu w naukach przyrodniczych*. Str. 54. (Skład Gł. Veritas Foundation, Londyn, 1952).

DALMAS (L.). *Les secrets de la médecine moderne*. Pp. 290. (Ed. René JULLIARD, Paris, 1952, fr. 500).

WAGNER (F.). *Geschichtswissenschaft*. Str. 468. (Wyd. Verlag Karl Alber Freiburg, Monachium, 1952).

RADULSKI (W.). *Inscenizacja wierszy i pieśni*. Str. 40. (Wyd. Polska Sekcja YMCA w W. Brytanii oraz Żarz. Gł. SPK, Londyn, 1952).

BUDZYŃSKI (W.). „*Noc przemienęła...*”, Sztuka w 3 aktach. Str. 45. (Wyd. Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1952).

SMOLEŃSKA (H.). *Z biegiem Wiśły*. Obrazek sceniczny dla dzieci i młodzieży. Str. 30. (Nakł. Stow. Polsk. Komb., Londyn, 1952).

Państwo i partia w Polsce. Opr. Głosator. Str. 15. Materiały Oświatowe Dział odczytów. Nakł. Wyd. Kultury i Ośw. Zarz. Gł. SPK, Londyn, 1952.

Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie w latach 1939 — 1946. Str. 370. (Wyd. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1952, cena 600 fr.).

OSTROWSKI (K.). *O filles du Liban !...* poème publié par le soins de Mohammad Saleh el-Bondack a l'occasion du 70-e anniversaire de la mort de l'auteur. Pp. 16. Ed. Flambeau, Beyrouth, 1952).

RELIGIA

ŚW. AUGUSTYN. *Pisma Katechetyczne*. — Str. 258. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1952).

ELIADE (M.). *Images et symboles*. Essais sur le symbolisme magico-religieux. Pp. 235. (Ed. Gallimard, Paris, 1952).

Do prenumeratorów „Kultury”

Przypominamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji w międzynarodowych kuponach pocztowych lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego „Kultura” jest prenumerowana — w znaczkach pocztowych.

Listy do Redakcji

23 września 1952

Szanowny Redaktorze,

Wstępne uwagi z zamieszczonego w „Wiadomościach” odczytu „O Literaturze Polskiej i Literaturze w Polsce”, w których mowa o życiu kulturalnym nowej emigracji w Stanach Zjednoczonych, że mianowicie „smutno nawet i mówić” skłaniają mnie do zgłoszenia pewnych zastrzeżeń w odniesieniu do tego bardzo jednostronnego wizerunku, w jakim przedstawia nas wszystkich tutaj Jan Lechoń.

Nie sposób przecież przyjąć tego świadectwa polskiej nędzy kulturalnej w Ameryce bez zbadania czy jest ono słuszne, czy może autor drukowanego na łamach „Wiadomości” odczytu, własnych swoich nastrojów, defetyzmu i rozczarowania nie używa przypadkiem jako przyzmatu, przez który widziane być musi wszystko inne?

Nie wydaje się bowiem jakoby istotą sytuacji była tutaj potrzeba „walczenia heroicznego organizacji, pism, klubów” z „obojętnością zasobnych i bogatych”. Na obszarze Stanów istnieją dzisiaj liczne próby i objawy normalnego zaspakajania ambicji kulturalnych i pięcia się ich w społeczeństwie, żyjącym polskimi przywiązaniami. Istnienie ich i niewątpliwý rozwój przypisać wypada pewnej dozie wyobraźni i wiary jednostek, należących zarówno do dawnej jak i do nowej emigracji, ich pracy nad pozyskaniem zaufania, ich zdolności mówienia językiem zrozumiałym dla odbiorcy, pokazaniem że można i że trzeba, zamiast żeby załamywać ręce nad obojętnością obojętnych i pustką pustych.

Każda skuteczna akcja kulturalnego pionierstwa oparta być musi jednak także na znajomości terenu i wyciąganiu z tej znajomości wniosków. Pociąga to za sobą konieczność nie tylko poznania jego potrzeb ale także umiejętność przystosowania się do jego warunków.

Warunki, wiadomo, nigdzie w świecie dla Polaków nie są dzisiaj wygodne ani łatwe, ale możliwości na terenie amerykańskim są niewątpliwie szersze i na daleką metę wdzięczniejsze pewno, niż gdziekolwiek, z jednym być może wyjątkiem, mianowicie sąsiedniej Kanady.

Przedstawia Lechoń upadek pism i organizacji polskich, założonych tutaj w czasie wojny jako dowód ostatecznej nieomal klęski. A przecież nie można było spodziewać się ani przyjąć, aby organizacje lub pisma powstałe w czasie wojny i żyjące niemal wyłącznie z doświadczeń propagandowych, mogły się z ich wyschnięciem utrzymać, skoro każda kolejna dotacja uwalniała redaktorów czy organizatorów od obowiązku przystosowania się do tutejszego terenu, od liczenia się z potrzebami tutejszych odbiorców, od wyciągania praktycznych wniosków z doświadczeń, aby budować aparat kulturalnej propagandy polskiej na długiej, a nie tylko do rażnej fali chwilowych i przede wszystkim pieniężnych pomyślności.

Wspomnę tylko jako przykład, że w roku 1946-ym przywiozłem z Włoch egzemplarze wydawanego przez Bau'a i Kleszczyńskiego „Zycia Tygodnia” (ponad 20 tysięcy nakładu w II-gim Korpusie). Wychodził wówczas jeszcze w New Yorku „Tygodnik Polski”, redagowany przez Lechonia. Ktoś bystry, porównując oba te pisma zauważył wówczas, że istnieje zasadniczo

nieporozumienie w nastawieniu ich i prezentacji — byłoby z większym o wiele pożytkiem dla pism i dla terenu, powiedział, gdyby „Zycie Tygodnia” ukazywało się w New Yorku, a „Tygodnik Polski” — w Rzymie.

Ale wróćmy do ocen i uwag w odczycie Lechonia. Powiada np.: „Nasi uczeni w piśmie przez to, że przeważnie *tylko polskim zajęci*, nie mogli spełnić zadania wyznaczenia naszej literaturze właściwego miejsca wśród ówczesnych, znalezienia światowej rangi dla naszych arcydzieł”.

Wymienia tylko dawnych, Brzozowskiego i Matuszewskiego, mówiąc, że nie wyszli „poza nasze oplotki”. Ale co z współczesnymi? Co z pisarzami nowej emigracji, którzy usiadłszy i siedząc od przeszło 10 lat w New Yorku nadal „przeważnie *tylko polskim zajęci*” nie kwapią się bynajmniej z owych oplotków wychodzić...

Miarą tego co zrobić można jest amerykańskie wydanie książki Wierzyńskiego o Chopinie.

Miarą tego co robić by należało nie raz i nie od święta, ale że tak powiem na co dzień, jest *essay* tegoż Lechonia pt. „Polish Literature” będący tekstem odczytu, wygłoszonego po angielsku i przedrukowanego w r. 1943 w kwartalnym biuletynie Polskiego Instytutu Naukowego — dostępny wskutek tego jedynie garstce wybranych.

Przykładem inteligentnej, ba znakomitej techniki mówienia o nieznanym tu nikomu literaturze polskiej do szerokiej publiczności amerykańskiej jest *essay* Józefa Wittlina o „Panu Tadeuszu”, zamieszczony w sympozjone Kridla i który podobnie przeszedł niezauważony lub przemilczany po prostu, jeśli idzie o przeciętnych, ale interesujących się sprawami literatury odbiorców, których w Ameryce jest więcej na pewno niż wszystkich razem prenumeratorów pism polskich na emigracji.

Nasuują się już tutaj dwa wnioski. Jeden, że potrzebna jest i możliwa, jak się okazuje, ze strony współczesnych pisarzy, żyjących w Ameryce, popularyzacja literatury polskiej, która w swoich najwyższych wlotach jest literaturą hermetyczną i nieczytelną właściwie dla każdego, kto nie zna historii i atmosfery polskiego patriotyzmu. Drugi: że nie podobna marzyć o sukcesie i wpływie takiej popularyzacji bez uwzględnienia warunków życia i obyczaju tego kraju masowej produkcji i propagandy. Innymi słowy: produkcja takich *essay*ów jak dwa wyżej wspomniane nastawiona być winna na publikację przez poważne czasopisma amerykańskie, o wielkich nakładach, (Harper's Magazine, Atlantic Monthly — że wymienię dwa tylko) w których wiele z tego np. co powiedział Lechoń w swoim odczycie, pod warunkiem przerobienia jego tekstu na język amerykański, może zostać nie tylko przyjęte, ale na pewno także nieźle zapłacone.

Jeżeli nie jest ani drukowane ani płacone, winne są temu przede wszystkim przeniesione tutaj owe oplotki, nad których istnieniem ubolewają niewymownie ci, którzy od lat tu mieszkając, nie zdołali dotąd wyrwać się na szerokie wody nurtów kulturalnych Ameryki, ani wziąć twórczego udziału w jej życiu.

Nie tylko jednak środowiska amerykańskie, ale nawet polonijne ośrodki pracy kulturalnej, nie koniecznie i nie zawsze oparte o znajomość języka polskiego, ale zdradzające często tym żywsze zainteresowania dla tradycji, obyczaju i sensu kultury polskiej i szukające podbudowania tej racji głębszego i solidniejszego intelektualnie, niż patriotyczne albo polityczne manifestacje, stanowią przecież grunt o zdrowej pożywce rozwojowej, zapraszając otwarty pod pilniejszą niż kiedykolwiek uprawę i pełniejsze niż dotąd ziarno.

To ten sam grunt, o którym mówi Roman Dyboski w wydanej przed 22 lata książce pt. „Stany Zjedn. Ameryki Północnej — Wrażenia i refleksje”. Na stronie 300 tej książki znajdujemy wspomnienie z czasu jego kontaktów z członkami Polskiego Klubu Artystycznego w Chicago. „Zawsze

gdym do nich przemawiał, miałem przed sobą młode twarze, pełne uniesienia i zapału dla rzeczy pięknych i wzniosłych i nigdy bym żadnego trudu nie żałował by mieć znowu szczęście rozbudzać i podniecać ten zapał”.

Otóż to właśnie — ruch kulturalny i artystyczny Polonii, jakiego objawy coraz wyraźniej poczynają się rozwijać już dziś w drugim i trzecim jej pokoleniu, przyspieszony być może twórczo większym niż dotąd udziałem talentów nowej emigracji — pod warunkiem jednak że „nigdy by żadnego trudu nie żalowali”. Ze wyszliby natomiast z oplotków swoich uprzedzeń i rozczarowań pamiętając, że istnieje tu dla każdego nieograniczone wprost „zamówienie” już nie tylko „społeczne” ale historyczne, w postaci stałe pożądanego i potrzebnej interpretacji i popularyzacji wielkich prądów ideowych kultury polskiej, aby wyrobić jej miejsce i wpływ w pasjonującym konglomeracie twórczych działań i potencjałów Ameryki.

Gmach Fundacji Kościuszkowskiej w New Yorku, dzieło i własność dawnej emigracji, nieraz dzisiaj określa się mianem Ambasady Kultury Polskiej. Wystarczy jednak pociągnąć za język jej zapamiętałego budowniczego i twórce, prof. Mierzwę, aby dowiedzieć się, że w drodze do osiągnięcia swojego, zdawało się nad miarę ambitnego, celu przez 25 lat napotykał na tę samą obojętność „zasobnych i bogatych”, jaka postanawiać ma i dzisiaj o polskim życiu kulturalnym w Ameryce, jeśli przyjąć określenie go słowami goryczy i rezygnacji: „smutno nawet i mówić”.

Aleksander JANTA

◆
Londyn to miasto węgla
Pył cegły różowej...

C. K. NORWID

Pan Stanisław Mackiewicz napisał bardzo krzywdzący artykuł o Londynie. wolno mu mieć swoje zdanie. P. Mackiewicz, jako, że tak powiemy, specjalista od spraw wschodnich, nigdy nie zrozumie specyficznego czaru tej metropolii, w której zamieszkuje zapewne z niechęcią i odrazą i przekonywać go — a zapewne i tysiące innych — byłoby stratą czasu. Chodzi jednak o co innego: o ten specyficzny sposób argumentowania tak typowo polski, o technikę chwytów słownych soczystych, kawiarnianych, nieodpartych bo bezsensownych, których użył do narzucenia czytelnikowi swojej opinii. Oto próbki „koń nie imponuje na fotografii, lew jest paskudny (?), a natomiast króluje na niej gęś, krowa, świnia lub osioł”. „Katedra gotycka... na fotografii nie robi żadnego wrażenia (?), natomiast od zdjęć architektury gotyckiej będą się zawsze więcej podobały łódki na stawie... z kaczkami lub bez”. Po tym liście goebbelsowskim wstępie, przygotowani na to, że czarne nazwane zostanie białym i na odwrot, czytamy posłusznie, że wprawdzie zdjęcia londyńskie p. Arvaya są piękne, ale w rzeczywistości jest właśnie odwrotnie, bo fotografia niczego nie dowodzi, a „fotografia jako dokument nie ma żadnego znaczenia”. (Ciekawe jakby bez fotografii, wyglądała strona dowodowa, powiedzmy kacetów niemieckich). Jeżdżąc wraz z koniem p. Mackiewicz przenosi z Londynu do Gątczyny..., a gwardzistę do Kopenhagi. N. b. czapy futrzane na Amalienborgu w Kopenhadze są słabym naśladownictwem właśnie grenadierów gwardii angielskiej, o czym mówią sami Duńczycy, a Napoleon III, entuzjasta wszystkiego co angielskie na Horse Guard'ach wzorował mundury kawalerii swojego orszaku.

Na kilka lat przed wojną, w księgarni przy Mazowieckiej w Warszawie, wystawiona była mapa karykatur londyńskich Czermańskiego. Był tam m. in. policeman londyński w pelerynce, stojący we mgle pod gazową latarnią. Otóż p. Czermański widzi i rozumie a p. Mackiewicz nie.

Słowacki pisze w jednym z listów do Matki, że Londyn zrobił na nim olbrzymie wrażenie, wobec którego Paryż to wioska. Paul Morand przezeciwi stawia Londyn temu co mu, jako Francuzowi, jest najdroższe tj. Paryżowi, p. Mackiewicz wolał schlaść go po dziennikarsku, a to mu jako wybitnemu publicyście nie przystoi.

Pamiętam na jakiejś Lower Thames Street, wśród składów ryb i charakterystycznych wozów konnych, był na kilka lat przed wojną kościół szary i zamknięty jak twierdza, niepiękny i oschły, na którym widniała czarna tablica z napisem: „The King can make a Nobleman but he cannot make a Gentleman”. Czy istotnie jest to miasto pozbawione jakiegokolwiek „wielkopańskości”, pomimo, że nie widać w nim szlagonów, padających sobie na ulicy w objęcia i ośliniających się w czułych pocałunkach?

Anglicy zrazili do siebie Polaków i na tę niechęć i rozczarowanie w pełni zasłużyli, ale i w goryczy i nienawiści zachować trzeba umiar. Na łamach „Wiadomości” atakowano już język angielski, „bo nie posiada odpowiednika jakiegoś „dziewczyniátka”, ktoś nazywa go „bełkotem barbarzyńców”. A tymczasem język angielski to wspaniały instrument, bogaty i precyzyjny jak lancet i to pomimo ugody w Jałcie. Ktoś pisze mniej więcej, że pokolenia w Anglii, czekają w ponurym milczeniu na śmierć rodziców. Był i specjalista od Szekspira, który używając techniki „gaczyńskiej” p. Mackiewicza, odbiera go Anglikom, jako pisarza włoskiego raczej, bo renesansowego. My umiemy tylko kochać albo nienawidzić, cmokać z zachwytu albo pluć, schlebiać cudzoziemcom do młodości (m. in. naszą natarczywą gościnnoscią) lub wzgardzać tym od czego moglibyśmy się wiele nauczyć.

Kiedy w ostatnich godzinach przed wybuchem wojny 1914, zbliżał się okres upływu ultimatum do Niemiec, pod Parlamentem zebrały się samorzutnie tysiączne tłumy londyńczyków; odpowiedź nie nadeszła i Big Ben wybił godzinę i koniec epoki, a tłumy rozeszły się w milczeniu. Czy istotnie jest to miasto tak „szmatławie i pozbawione jakiegokolwiek wielkości”, jak pan Mackiewicz sądzi?

F. OSTROWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1952

Spis autorów

ABDANK Zbigniew, ADAMSKI M. D., A. J., ARCISZEWSKI M. — BABIŃSKI W., BARAŃSKI J., BĄCZKOWSKI Włodzimierz, BELINA M., BEO, BERLIŃCZYK, BERNIER Jean, BRADUNAS K., BREGMAN A., BRONARSKI Alfons, BURMEISTER Alfred — CIORAN E. M., CROCE Benedetto, CZ. J., CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZUCHNOWSKI Marian, CZYTELNIK — DIAMAND Wł., DOŁĘGA Wł., DRACHKOVITCH Milorad M., DUNIN Paweł, DZIEWANOWSKI M. K., — ELIOT T. S. — FELSZTYN T. — GAMM A., GILLIE Darsie, GOMBROWICZ Witold, GORDON Marek, GRABOWSKI Z., GRONOWSKI Roman — HAUPT Zygmunt, HERSCH Jeanne, HERTZ Aleksander, HEYDENKORN Benedykt, HOFFMAN J., HOLCMAN Jan, HONIGWILL Ludwik, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK K. — IWANŃSKA Alicja — J. M., JASIEŃCZYK Janusz, JELEŃSKI Konstanty A. — KAJ, KEKSTAS Juozas, KOLAJA Jiri, KOSARENKO-KOSAREWICZ W., KOVAL Alexander, KOWALEWSKI Janusz, KROGH M., KRYTYK, KUNCEWICZOWA Maria — L., LAZITCH Branko, LERSKI J., LEWICKI S. L., LEWYCKYJ Borys, LONDYŃCZYK — ŁOBODOWSKI Józef — M. B., M. S., MACKIEWICZ Józef, MACKIEWICZ Stanisław, MAJEWSKI Z., ks. MAKOMASKI Z., MAŁANIUK Jewhen, MAŁECKI Zbigniew, MARKIEWICZ Zygmunt, MASTALSKI J., MEKARSKI S., MIER. J., MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOŚZ Czesław, MUEHLSTEIN Anatol — NAGÓRSKI Zygmunt, jr. NAGÓRSKI Zygmunt, sr., NAGYS H., NILIUNAS N., — ORŁOWSKI Leon, ORTYŃSKYJ Lubomir Orest, OSTROGA Krystyn — PARNICKI Teodor, PIETRKIEWICZ Jerzy, PIOTROWSKI S., POGONOWSKI L., POLAKIEWICZ A., PR. J., PRĄDZYŃSKI Jerzy — RADZYMIŃSKA Józefa, REDFIELD Robert, RÍPKA Hubert, RODITI Edouard, ROMISZEWSKI Eugeniusz, RUSSOVICH A. — SAMBOR Michał, SCHOENFELD H., SERECH Jurij, SKÓ-

RZEWSKA Teresa, SLAITAS V., SOKOLNICKI Michał, SPERBER Manès, STARZYŃSKA B., STRASZEWICZ Czesław, SZEMBEK Jan, SZUKIEWICZ W., — T. S., TARNAWSKI Wit, TARNOWSKI A., TOKARSKI Jan — ULATOWSKI Jan, URSYN Józef, UZIEMBŁO Adam — VINCENZ Andrzej, VINCENZ Stanisław — „WACŁAW TRZECI”, WANKOWICZ Melchior, WASUNG A., WEIDLE Władimir, WESTFAL St., WIENIEWSKI I., WIERZBA M., WIERZBICKI Mirosław, WILK J., WITTLIN Józef, WITTLINOWA H. — Z. K., ZABORSKI J., ZAKRZEWSKI-WYSSOGOTA J., ZALESKI Wojciech, ZAREMBINA Natalia, ZBYSZEWSKI W. A., ZIELIŃSKI S. A. — ŻAGIELL E., ŻEROMSKA Olga, ŻOCHOWSKI S.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Sprawa ukraińska* (7/57-8/58).
 BEO: *Kronika polsko-ukraińska* (5/55).
 — *Kronika ukraińska* (12/62).
 — *Polonica w prasie ukraińskiej* (6/56).
 — *Z historii stosunków polsko-ukraińskich* (9/59).
 — *Z życia sowieckiej Ukrainy* (11/61).
 BERLIŃCZYK: *Kronika niemiecka* (6/56, 9/59, 12/62).
 — *Nauka idzie w las* (10/60).
 HERTZ Aleksander: *Przed amerykańskim listopadem* (9/59).
 — *Po amerykańskich wyborach* (12/62).
 KOLAJA Jiri: *Polityczne konsekwencje cech narodowych* (11/61), przeł. J. Mieroszewski.
 KOSSOWSKI Józef (tłumacz): *ob. Ripka* (12/62).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (4/54, 5/55, 6/56, 7/57-8/58, 9/59, 10/60, 12/62).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Przeciw upiorom przeszłości* (2/52-3/53).
 — (tłumacz) *ob. Serech* (5/55).
 M. B.: *List otwarty do A. N. Niemca-przyjaciela* (1/51).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Blednica partii politycznych* — List z Wyspy (11/61).
 — *Europy nie da się przesunąć* — List z Wyspy (2/52-3/53).
 — *Kontynent na emeryturze* — List z Wyspy (9/59).
 — *Literatura obłąconego miasta* — List z Wyspy (1/51).
 — *Nad grobem słońca ze „Sprawy Polskiej”* — List z Wyspy (12/62).
 — *O reformę zakonu polskości* — List z Wyspy (4/54).
 — *Problem „habsburskiego przedmurza”* — List z Wyspy (7/57-8/58).
 — *Prywatne inicjatywy polityczne* — List z Wyspy (10/60).
 — *Salto mortale „narodowych interesów”* — List z Wyspy (5/55).
 — (tłumacz) *ob. Kolaja* (11/61) i *Redfield* (4/54).

MUEHLSTEIN Anatol: *Próba wytłumaczenia nonsensu* (2/52-3/53).
 NAGORSKI Zygmunt, jr.: *Sprawa polska w U.S.A.* (11/61).
 OSTROGA Krystyn: *Marokański ruch niepodległościowy* (1/51).
 PRĄDZYŃSKI Jerzy: *Czy nieodwołalnie z Zachodem* — List z Niemiec (2/52-3/53).
 — *Duch Rapallo we wschodnim Berlinie* — List z Niemiec (6/56).
 — *List z Berlina* (5/55).
 — *List z Niemiec* (7/57-8/58, 9/59, 10/60, 12/62).
 — *Na otwarcie polskiej stacji Free Europe* (5/55).
 — *„Targi” frankfurckie* — List z Niemiec (4/54).
 REDFIELD Robert: *„Rząd światowy” w świetle nauk politycznych* (4/54), przeł. J. Mieroszewski.
 RIPKA Hubert: *O federację polsko-czeską* (12/62), przeł. Józef Kossowski.
 SERECH Jurij: *Pokój Nr 101* (5/55), przeł. Józef Łobodowski.
 TOKARSKI Jan: *Co nas dzieli?* (5/55).
 — *Kościół i wojna* (2/52-3/53).
 ZALESKI Wojciech: *Nowe oblicze Partii* (10/60).

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

CIORAN E. M.: *Dogodności i niedogodności wygnania* (6/56), przeł. Witold Gombrowicz.
 CROCE Benedetto: *Historiografia wyłącznie polityczna i pesymizm moralny* (6/56), przeł. K. A. Jeleński.
 CZAPSKA Maria: *„Fortuna Cezara”* (4/54).
 CZAPSKI Józef: *„Chcę mieć rację na naturze”* (5/55).
 GOMBROWICZ Witold: *Komentarz* (6/56).
 — *Risum teneatis* (1/51).
 — (tłumacz) *ob. Cioran* (6/56).
 HERSCH Jeanne: *Izolacja i związek z ludźmi* (7/57-8/58).
 HERTZ Aleksander: *Czym jest kultura amerykańska* (1/51).
 IWANŃSKA Alicja: *Dwa uniwersytety* (5/55).
 JASIEŃCZYK Janusz: *Teatr emigracyjny* (4/54).
 JELEŃSKI Konstanty A.: (tłumacz) *ob. Croce* (6/56).
 KOVAL Alexander: *Sondaże* (7/57-8/58, 9/59), przeł. W. i A. Zalescy.
 ŁOBODOWSKI Józef: *Ukraińska literatura emigracyjna* (4/54).
 MIŁOSZ Czesław: *Norwid* (12/62).
 — *Zoologiczne uwagi o Festiwalu* (7/57-8/58).
 SPERBER Manès: *O kilku błędach* (12/62).
 STRASZEWICZ Czesław: *Pióra w ukropie albo strach nami rządzi* (2/52-3/53).

- SZUKIEWICZ W.: *O kulturze amerykańskiej* (6/56).
 WITTLIN Józef: *Tragiczny Gogol* (7/57-8/58).
 ZALESCY W. i A.: (tłumacz) ob. Koval (7/57-8/58, 9/59).
 ZEROMSKA Olga: *Teatr w Kraju* (4/54).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- GAMM A.: *Pamiętnik szmuglerski* (5/55).
 HAUPT Zygmunt: „*Dziewczyna z nóżkami na książkach*” (6/56).
 KOWALEWSKI Janusz: *Śmierć tragarza Johna* (2/52-3/53).
 KUNCEWICZOWA Maria: *Leśnik* (7/57-8/58).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Małaniuk (11/61) i Weidle (11/61).
 MACKIEWICZ Józef: *Faux pas ciotki Pafci* (1/51).
 MACKIEWICZ Stanisław: *Kamil Arago* (9/59).
 — *Siżyś* (9/59).
 MAŁANIUK Jewhen: *Izaak Mazepa i St. Stempowski* (11/61), przeł. Józef Łobodowski.
 PARNICKI Teodor: *Mieszaniec* (2/52-3/53).
 ROMISZEWSKI Eugeniusz: *Z dna nocy powszedniej* (9/59).
 STRASZEWICZ Czesław: *Katedra Sandwiczów* (10/60).
 WANIKOWICZ Melchior: *Trzy pokolenia* (11/61, 12/62).
 WEIDLE Władimir: *Wansee-1811* (11/61), przeł. Józef Łobodowski.
 VINCENZ Stanisław: *Syrojidy* (dok.). (1/51).

Utory poetyckie

- BRADUNAS Kazys: *Pragnienie*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).
 CZUCHNOWSKI Marian: *Ceny* (5/55).
 — *Dojarka* (5/55).
 — *Ku latu* (5/55).
 — *Mimozoy* (5/55).
 — *Odpoczywająca* (5/55).
 — *Przędka* (5/55).
 — *Smaczne* (5/55).
 — *Spokój* (5/55).
 — *Śniadanie* (5/55).
 — *Wieczorny widok* (5/55).
 — *Wieści* (5/55).
 — *Woda* (5/55).
 — *Znak* (5/55).

- ELIOT T. S.: *Ziemia jałowa*, przeł. Czesław Miłosz (2/52-3/53).
 GORDON Marek: *Film* (11/61).
 — *Koncert* (11/61).
 — *Winda* (11/61).
 IWANŃSKA Alicja: *Z poematu o nas samych* (2/52-3/53).
 KEKSTAS Juozas: *Człowiek* (11/61).
 — *Wschód ziemi* (11/61).
 — (tłumacz) ob. Bradunas, Nagys, Niliunas, Slaitas (11/61).
 MIŁOSZ Czesław: *Faust warszawski* (6/56).
 — *Mittelsbergheim* (6/56).
 — *Na śmierć Tadeusza Borowskiego* (6/56).
 — *Niech nigdy...* (6/56).
 — *Paryż 1951* (6/56).
 — *Stracony przywódca* (6/56).
 — *W praojcach swoich pogrzebani...* (6/56).
 — (przekład) *Ziemia jałowa* ob. Eliot (2/52-3/53).
 NAGYS Henricas: *Dęby*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).
 NILIUNAS Alfonsas Nyka: *Dzieciństwo*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Sielanka stołeczna* (9/59).
 RADZYMIŃSKA Józefa: *Galąź kwitnąca* (2/52-3/53).
 — *Poranek* (2/52-3/53).
 — *Strzał partyzancki* (2/52-3/53).
 SLAITAS Vladas: *Arka przymierza*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).

Najnowsza historia Polski

- BURMEISTER Alfred: *Górnicy polscy w Donbasie* (4/54).
 — *Szyfowe prace* (11/61).
 — *Tragedia polskich komunistów* (1/51).
 HONIGWILL Ludwik: *Przyczynki do Berezy* (7/57-8/58).
 LEWYCKYJ Borys: *Ukraińcy a likwidacja Powstania Warszawskiego* (6/56).
 ORŁOWSKI Leon: *Wspomnienia z Budapesztu* (10/60).
 ORTYNSKYJ Lubomyr Orest: *Prawda o ukraińskiej dywizji* (11/61).
 SOKOLNICKI Michał: *Sprawa Józefa Becka* (1/51).
 SZEMBEK Jan: *Fragmenty pamiętników* (Wstęp W. A. Zbyszewskiego) (6/56).
 „WACŁAW TRZECI”: *Jeszcze N.S.Z.* (5/55).
 WIERZBICKI Mirosław: *Sprawa Brauweiller* (5/55).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Krym* (9/59).
 — *Przebudzenie Azji* (4/54).
 — *Przyszłość sowieckiej Azji* (1/51).
 BERNIER Jean: *Okres wielkich czystek* (4/54), przeł. W. A. Zbyszewski
 CZ. J.: *Łzy potęgi drugiej* (9/59).
 CZAPSKA Maria: (tłumacz) ob. Lazitch (5/55).
 CZAPSKI Józef: „*Głosy milczenia*” (11/61).
 DZIEWANOWSKI M. K.: *Polska w cywilizacji światowej* (6/56).
 DUNIN P.: *Trzy etapy niedorozwoju gospodarczego Europy Środkowej* (9/59).
 GILLIE Darsie: „*Osobny świat*” (2/52-3/53).
 J. M.: *Dzieje „czerwonej schizmy*” (1/51).
 — *Pamiętnik J. Forrestala* (2/52-3/53).
 KAJ: „*Le Messie*” (12/62).
 — *Na szlaku Benjamin Constant i Prousta* (7/57-8/58).
 — *Przedpotopowy prorok* (12/62).
 LAZITCH Brankor „*La guerre en question*” (2/52-3/53), przeł. W. A. Zbyszewski.
 — *Lenin, Trocki, Stalin* (5/55), przeł. Maria Czapska.
Lista poległych i umarłych (11/61).
 LONDYŃCZYK: *Gospodarka energetyczna wschodniej Europy* (5/55).
 — *Ludzie poza prawem* (12/62).
 — „*Oder-Neisse. Line*” (9/59).
 MAŁECKI Zbigniew: *Stalin a komunizm niemiecki* (4/54).
 MARKIEWIĆ Zygmunt: *Wiza do Moskwy* (6/56).
 — *Zbuntowany człowiek* (2/52-3/53).
 MIER. J.: *Pamiętnik „czerwonego” Bismarcka* (6/56).
 — „*Zaścianek” Zachodu* (4/54).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Wańkiewicz i „Ziele”* (4/54).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/51, 2/52-3/53, 6/56, 7/57-8/58, 10/60, 11/61, 12/62).
 NAGÓRSKI Zygmunt, sr.: *Problemy międzynarodowe w publicystyce U.S.A.* (11/61).
 RODITI Edouard: *List z Turcji* (6/56), przeł. W. A. Zbyszewski.
 SAMBOR Michał: *Literatura pod panowaniem „dyrektorów”* (9/59).
 — *O Wańkowiczu i jego nowej książce* (2/52-3/53).
 — *Pochwała powieści* (6/56).
 SOKOLNICKI Michał: *Archiwum min. Szembeka* (9/59).
 — *General Catroux* (9/59).
 — *Książki polemiczne* (4/54).

- TARNAWSKI Wit.: *Nagrody literackie „Veritasu”* (7/57-8/58).
 TOKARSKI Jan: *Papież pokoju* (1/51).
 ULATOWSKI Jan: *Bunt romantyczny nihilisty* (12/62).
 URSYN Józef: „*Indulgence plénière*” (6/56).
 — *Literatura włoska* (1/51).
 — „*Molloy*” (1/51).
 — *Nowości paryskie* (11/61).
 — „*Ostatni” Goncourt* (4/54).
 — „*Si quelqu'un tue Cain*” (9/59).
 VINCENZ Andrzej: *Toponomastyka polska* (6/56).
 WANKOWICZ Melchior: *Poszerzenie polskości* (10/60).
 ZBYSZEWSKI W. A.: (tłumacz) ob. Bernier (4/54), Lazitch (2/52-3/53), Roditi (6/56).

Kronika kulturalna

- BRONARSKI Alfons: *Tłumacze literatury polskiej* (1/51).
 CZ. J.: *Wystawa Kulisiwicza* (6/56).
 DOŁĘGA W. i TOKARSKI Jan: *O pewnym zjeździe* (6/56).
 DRACHKOVITCH Milorad M.: *Instytut europejski w Bruges* (11/61), przeł. Zofia Romanowicz.
Festiwal sztuki „Dzieło XX. w.” (7/57-8/58).
 GOMBROWICZ Witold: „*Przekłete zdrobnienie znowu dało mi się we znaki*” (7/57-8/58).
 — *Refleksje na marginesie Straszewicza* (7/57-8/58).
 HERSCH Jeanne: *Kilka uwag o współczesnym ateizmie filozoficznym* (1/51), przeł. Józef Ursyn.
 HOLCMAN Jan: *Montaże* (11/61).
 HOSTOWIEC Paweł: *Na marginesie nagród literackich* (4/54).
 KRYTYK: *Chaplin jako Andersen filmu* (12/62).
 L.: *Polskie kluby artystyczne* (2/52-3/53).
 MIŁOSZ Czesław: *Dwa wiersze z komentarzem* (10/60).
 ROMANOWICZ Zofia: (tłumacz) ob. Drachkovitch (11/61).
 T. S.: *Z notatnika* (10/60).
 TARNAWSKI Wit.: *Jeszcze w obronie poetów* (1/51).
 ULATOWSKI Jan: *Raj utracony Fernanda Leger* (10/60).
 — *Rouault zbuntowany i odkupiony* (10/60).
 — *Wystawy paryskie* (12/62).
 URSYN Józef: (tłumacz) ob. Hersch (1/51).
 ZAREMBINA Natalia: *Jeszcze w obronie poetów* (1/51).

Sprawy krajowe

- BERLIŃCZYK: *Kronika krajowa* (9/59, 12/62).
 — *Kronika niemiecka* (4/54, 7/57-8/58).
 — *Książki polskie drukowane w Lipsku* (2/52-3/53).

- *Nastroje wśród robotników* (5/55).
- *Ofensywa prawostawia* (2/52-3/53).
- *Przemysł filmowy w Polsce* (4/54).
- *Szkolnictwo ogólnokształcące* (2/52-3/53).
- *Umowa kulturalna* (5/55).
- *Więzienie wrocławskie* (5/55).
- DUNIN P.: *Po VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR* (9/59).
- *„Przechowalnia wartości moralnych”* (12/62).
- M. S.: *Listy z Polski* (4/54).
- PR. J.: *Kronika polska* (6/56).

Sprawy i troski

- A. J.: *Życie kulturalne Polonii w U.S.A.* (5/55).
- ABDANK Zbigniew: *Jednak wracam z Kanady* (7/57-8/58).
- BABIŃSKI W.: *List z Kanady* (11/61).
- DUNIN Paweł: *Les Ageux i niektóre inne sprawy* (4/54).
- GRONOWSKI Roman: *Rok doświadczeń* (5/55).
- HEYDENKORN Benedykt: *Emigracja polska w Kanadzie* (4/54).
- LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (2/52-3/53, 4/54).
- MIEROSZEWSKI Juliusz: *Problem „drugiego” pokolenia — List z Wyspy* (6/56).
- SAMBOR Michał: *O polski „trzeci program”* (6/56).
- SKÓRZEWSKA Teresa: *Pięciolecie „beczek”* (5/55).
- URSYN Józef: *Kolegium Wolnej Europy* (1/51).
- ZIELIŃSKI S. A.: *Pośpieszne sądy* (11/61).
- ZAGIELL E.: *Kronika australijska* (4/54).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- ELIOT T. S.: *Ziemia Jałowa*, przeł. Czesław Miłosz (2/52-3/53).
- KOLAJA Jiri: *Polityczne konsekwencje cech narodowych*, przeł. Juliusz Mieroszewski (11/61).
- REDFIELD Robert: *„Rząd światowy” w świetle nauk politycznych*, przeł. Juliusz Mieroszewski (4/54).
- RODITI Edouard: *List z Turcji*, przeł. W.A. Zbyszewski (6/56).

Z języka czeskiego

- RIPKA Hubert: *O Federację polsko-czeską*, przeł. Józef Kosowski (12/62).

Z języka francuskiego

- BERNIER Jean: *Okres wielkich czystek*, przeł. W. A. Zbyszewski (4/54).
- CIORAN E. M.: *Dogodności i niedogodności wygnania*, przeł. Witold Gombrowicz (6/56).
- DRACHKOVITCH Milorad M.: *Instytut europejski w Bruges*, przeł. Zofia Romanowicz (11/61).
- HERSCH Jeanne: *Kilka uwag o współczesnym ateizmie filozoficznym*, przeł. Józef Ursyn (1/51).
- LAZITCH Branko: *„La guerre en question”*, przeł. W. A. Zbyszewski (2/52-3/53).
- *Lenin, Trocki, Stalin*, przeł. Maria Czapska (5/55).

Z języka litewskiego

- BRADUNAS Kazys: *Pragnienie*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).
- NAGYS Henrikas: *Dęby*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).
- NILIUNAS Alfonsas Nyka: *Dzieciństwo*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).
- SLITAS Vladas: *Arka przymierza*, przeł. Juozas Kekstas (11/61).

Z języka niemieckiego

- KOVAL Alexander: *Sondaże*, przeł. W. i A. Zalescy (7/57-8/58, 9/59).

Z języka rosyjskiego

- WEIDLE Władimir: *Wansee — 1811*, przeł. Józef Łobodowski (5/55).

Z języka włoskiego

- CROCE Benedetto: *Historiografia wyłącznie polityczna i pesymizm moralny*, przeł. Konstanty A. Jeleński (6/56).

Z języka ukraińskiego

- MAŁANIUK Jewhen: *Izaak Mazepa i St. Stempowski*, przeł. Łobodowski (11/61).
- SERECH Jurij: *Pokój Nr 101*, przeł. Józef Łobodowski (5/55).

Listy do Redakcji

- ADAMSKI M. D. (12/62). ARCISZEWSKI M. (6/56). BARANSKI J. (2/52-3/53). BELINA M. (4/54, 9/59). BREGMAN A. (11/61). CZYTELNIK (10/60). DIAMAND Wł. (12/62). FELSZTYN Tadeusz (9/59). GOMBROWICZ Witold (2/52-3/53). GRABOWSKI Zbigniew (9/59, 12/62). HOFFMAN

Jakub (4/54). HRABYK Klaudiusz (9/59). JASIEŃCZYK Janusz (9/59). JELEŃSKI Konstanty A. (10/60). KOSARENKO-KOSAREWICZ W. (2/52-3/53). KOWALEWSKI J. (2/52-3/53). KROGH Maria (10/60). LERSKI Jerzy (5/55). LEWICKI S. L. (12/62). MACKIEWICZ Józef (4/54). MAJEWSKI Z. ks., (2/52-3/53, 11/61). MAKOMASKI Z. dr. (4/54). MASTALSKI J. (10/60). MEKARSKI St. (12/62). PIOTROWSKI S. (6/56). POGONOWSKI Leszek (6/56, 11/61). POLAKIEWICZ A. (5/55). PRADZYŃSKI Jerzy (12/62). RUSSOVICH A. (2/52-3/53). SAMBOR Michał (11/61). SCHOENFELD Henryk (9/59). STARZYŃSKA B. (6/56). STRASZEWICZ Czesław (11/61). TARNOWSKI A. (4/54). UZIEMBŁO Adam (2/52-3/53). WALSUNG Aleksander (2/52-3/53, 9/59). WESTFAL Stanisław (11/61). WIENIEWSKI Ignacy (9/59). WIERZBA M. (5/55). WILK J. (6/56). WITTLINOWA H. (9/59). Z. K. (2/52-3/53). ZABORSKI J. (6/56). ZAKRZEWSKI-WYSSOGOTA J. (5/55). ZOCHOWSKI S. (4/54).

Różne

Ankieta „Kultury”: *Nasze życie na emigracji* (9/59).

CZAPSKI Józef: *Łańcuszek* (4/54).

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za r. 1951 (1/51).

Oświadczenie w sprawie nowej emigracji (1/51).

REDAKCJA: *Krajowe Zeszyty „Kultury”* (7/57-8/58).

Résumé en langue française des principaux articles parus dans les numéros: 1/51, 2/52-3/53.

Noty biograficzne autorów

CIORAN E. M. (6/56). CZUCHNOWSKI Marian (5/55). GILLIE Darsie (2/52-3/53). HAUPT Zygmunt (6/56). HERSCH Jeanne (1/51). HEYDENKORN Benedykt (4/54). HOLCMAN Jan (11/61). IWANŃSKA Alicja (2/52-3/53). JELEŃSKI Konstanty A. (6/56). KOLAJA Jiri (11/61). KUNCEWICZOWA Maria (7/57-8/58). LAZITCH Branko (2/52-3/53). LEWYCKYJ Borys (6/56). MACKIEWICZ Stanisław (9/59). MAŁANIUK Jewhen (11/61). MAŁECKI Zbigniew (4/54). MUEHLSTEIN Anatol (2/52-3/53). ORTYNSKYJ Lubomir Orest (11/61). PARNICKI Teodor (2/52-3/53). PIETRKIEWICZ Jerzy (9/59). REDFIELD Robert (4/54). RIPKA Hubert (12/62). ROMISZEWSKI Eugeniusz (9/59). SERECH Jurij (5/55). SPERBER Manès (12/62). URSYN Józef (1/51). WANKOWICZ Melchior (12/62). WEIDLE Władimir (11/61). WITTLIN Józef (7/57-8/58). ZALESKI Wojciech (10/60). ŻEROMSKA Olga (4/54).

RÉSUMÉ DES PRINCIPAUX ARTICLES PARUS DANS CE NUMÉRO

Czesław MIŁOSZ : *Deux procès*. Le procès de Prague dépasse selon l'auteur le domaine de la politique et appartient plutôt à celui de l'anthropologie. Milosz évoque à ce propos l'histoire d'un autre procès qui eut lieu en 1929 en Afrique Occidentale Française et dont le compte-rendu fut publié par la « Nouvelle Revue Française » en Juin 1939. Un indigène — Maliki C. — porte plainte contre sa sœur Sokona et une voisine, Fukumata pour avoir tué et mangé sa fillette de trois ans, Aminata. Les deux femmes font des aveux détaillés pendant le procès : elles ont volé et tué l'enfant, elles l'ont mangé ensuite. Le tribunal local les condamne à la peine de mort. Cependant, la Cour d'appel de Dakar, qui doit confirmer la sentence n'est pas satisfaite par les faits qui lui sont présentés et demande des preuves à l'appui. Le nouveau procès d'instruction apporte des révélations sensationnelles : les deux femmes n'ont commis aucun crime. L'enfant est mort à la suite d'une maladie et c'est Maliki C. lui-même — comme il le reconnaît — qui l'a enterré. Quelle a été l'origine des aveux ? C'est le sorcier d'un village voisin qui — interrogé par Maliki quant à la cause du décès (ou « disparition ») — a désigné les coupables. Sokona déclare : « Je n'ai pas essayé de protester, car cela n'aurait servi à rien. Quand le sorcier parle, tout le monde le croit, et *puisqu'il a dit que j'étais coupable, j'aurais du croire que je l'étais* ». Maliki admet avoir assisté à la mort de sa fille et conduit les juges à l'endroit où il l'a enterrée. Cependant il continue à maintenir que c'est bien Sokona et Fukumata qui ont tué l'enfant « à la façon des sorcières », sans le tuer ni le manger d'une façon réelle, extérieure.

La mentalité primitive, continue Milosz, cherche à expliquer les phénomènes à sa façon. N'ayant ni la technique ni la science à sa disposition, elle a recours à la magie. Ainsi naît une double réalité. La première réalité, c'est la maladie et la mort de la petite Aminata, enterrée ensuite par son père. La deuxième réalité, c'est une réalité *construite*, qui contient la « clef » de la disparition de l'enfant : deux femmes ont volé, tué et mangé Aminata, sans avoir pour cela eu recours à des instruments matériels qu'on aurait pu produire au cours du procès. L'élément de la faute subjective n'y est pour rien. La « subjectivisation » de la faute est d'ailleurs d'origine assez récente dans le droit criminel. Durant des siècles les peines étaient dictées par la loi du sang versé qui appelle un autre sang (les procès d'animaux « criminels » en sont la preuve). Dans une civilisation primitive, l'individu est entièrement soumis à la collectivité et à ses lois. Ce sont les sorciers, les magiciens qui détiennent les clefs de la vérité de cette collectivité. En usent-ils parfois pour inculper de magie certains membres récalcitrants de la collectivité ? Sans doute. Ils n'auraient d'ailleurs peut-être pas entièrement tort. L'individualisation, la différenciation des membres de cette collectivité peuvent être en effet des signes extérieurs par lesquels apparaît le mal — cet élément du mal qui conduira à des meurtres commis sans instruments visibles.

Milosz souligne qu'il ne voudrait pas pousser ces analogies trop loin. Cependant la question des deux réalités se pose d'une façon évidente dans le procès de Prague.

Slanski et ses compagnons coupables *parce* qu'on a décidé de les liquider. Si cette décision a été prise, cela veut dire qu'ils étaient nuisibles, que leur existence présentait une entrave aux desseins du Kremlin ou du parti qui détient la vérité absolue (« scientifique »). Peu importe quels crimes ont été commis. Ce qui compte, c'est « l'élément du mal ».

Le crime est ainsi dénoncé dans son devenir, *tel qu'il aurait dû être, pas tel qu'il a été*. Que les inculpés ne soient pas « coupables » selon une interprétation « superficielle », ceci n'a guère d'importance. Leur exemple sert à démontrer toute la route que doit faire celui qui a donné lieu à des soupçons — même s'il n'a pas eu le temps ou les moyens de la parcourir.

Milosz souligne aussi l'élément antisémite du procès de Prague.

Du moment que sur une grande partie du globe l'étude des degrés de la connaissance a été abolie, et qu'on y a érigé la science en absolu, la théorie économique-sociale a commencé à vivre d'une vie individuelle. Une nouvelle langue est née, dans laquelle A est A et, en même temps, n'est pas A.

Dans *Un drame polono-juif*, Stanislaw VINCENZ évoque, à propos du livre de Manès Sperber, « „qu'une larme dans l'océan », ses propres souvenirs d'une amitié avec un jeune Khasside, le désarroi dans l'attitude polonaise envers la tragédie du ghetto, l'histoire d'une école polonaise en Hongrie où des orphelins juifs trouvèrent un refuge clandestin. Vincenz voit dans le livre de Sperber « l'annonce d'une grande littérature juive ».

Dans une étude intitulée *Et que deviendra l'âme*, Jan ULATOWSKI étudie le dilemme de l'homme contemporain et de son travail dans le cadre d'une civilisation technocratique; il se base principalement sur les travaux de Simone Weil et de Georges Friedmann.

Konstanty A. JELENSKI essaye, dans *Abstraction ou non-objectivité*, de démontrer les dangers et les limitations de la peinture non figurative.

Bertram D. WOLFE décrit dans *L'Agonie de l'historiographie soviétique* la manière systématique dont l'histoire est faussée en Russie et tâche de retracer les principes qui y gouvernent la « fabrication de l'histoire ».

Juliusz MIEROSZEWSKI consacre sa *Lettre anglaise* à une analyse psychologique de l'Occident dans « la guerre froide ». C'est aux Allemands mêmes qu'est adressée la *Lettre allemande* de Jerzy PRADZYNSKI. L'Allemagne n'est pas située entre la France et la Russie, mais entre la France et la Pologne.

Ce cahier contient encore des chroniques sur la vie en Pologne, sur l'émigration polonaise en Grande-Bretagne, une correspondance d'Allemagne sur la menace d'une renaissance nazie et des polémiques sur la question des relations polono-ukrainiennes et sur le fonctionnement de la section polonaise de Free Europe.

Dans la section consacrée à la plus récente histoire de Pologne, « Kultura » publie dans le présent cahier une étude de J. MARLEWSKI sur la question de Gdansk dans les relations polono-allemandes entre 1934 et 1939.

La chronique des livres contient une étude de la discussion Sartre-Camus, une évaluation de l'œuvre de François Mauriac, une revue de la *Seconde Chance* de Gheorgiu, accompagnée d'une interview avec l'auteur, etc.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4^e trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg . . .	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires . . .	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney . . .	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Gsaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20 . . .	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana . . .	15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV ^e . . .	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont. . .	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin. . .	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54 . . .	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève, Tel. 2-23-58 . . .	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm . . .	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin . . .	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokolowski, 4856 E. Stiles St Philadelphia 37, Pa. . .	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11 . .	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632. . .	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

PLON

Un grand livre

LA SECONDE CHANCE

par

C. V. GHEORGHIU

Roman traduit du roumain par LIDIA LAMOURE

« *Cette seconde chance
qu'est la terre d'Occident.* »

L'auteur de *LA VINGT-CINQUIÈME HEURE* nous présente une fresque encore plus saisissante du monde de la Terreur et de l'Absurde auquel conduisent le déchaînement des fanatismes politiques, la division du monde contemporain en deux blocs monolithiques entre lesquels risquent fort de périr l'individu, la personne humaine, la liberté, le droit de chaque homme à la vie.

Collection « FEUX CROISÉS »

In-16 690 fr

PLON